

**KAROL MAY**

# **ŚMIERĆ JUDASZA**

**SATAN UND ISCHARIOT**

## KU SKALE

Ani nam przez myśl nie przeszło pożegnać się z Judytą. Zwrócono nam rumaki. Meltona przytroczyliśmy do jego wierzchowca i zaopatrzeni w zapas suszonego mięsa, puścili się w drogę, uprzednio oświadczywszy Yuma, że zabierzemy swoje lassa, na które nie powinni wobec tego liczyć. Pozwolili nam odjechać, nie stawiając żadnych przeszkód. Ale widać było, że nie są zadowoleni z przymusowego zawarcia pokoju. Mogliśmy być pewni, że przy ponownym spotkaniu zachowają się wobec nas nie bardzo przyjaźnie.

Właściwie trzeba było teraz wyjechać szybko z kanionu Flujo blanco; ale wszak powinniśmy byli wstąpić do Indianki i wywiązać się z przyrzeczenia, a poza tym chcieliśmy zabrać lassa. Pojechalśmy więc na dół rzeki, potem zaś skręciliśmy na wschód, w kierunku domku. Dotarliśmy doń po dwóch godzinach. Indianka stała przed drzwiami, ujrzała nas bowiem z daleka.

— Czy w nocy nikt nie odwiedził mej czerwonej siostry? — zapytałem.

— Owszem — odparła. — Młody biały, którego chcieliście pojmać, był u mnie, aby zabrać mego konia.

— Dałaś mu?

— Nie; sam wziął. Usiłowałam przeszkodzić, ale zagroził mi śmiercią.

— Czy pojechał bez siodła?

— Nie. Zabrał je również.

— Czy nie dał ci jakiegoś polecenia?

— Owszem. Mam powiedzieć białej *squaw*, że uciezka się powiodła i żeby rychło doń przyjechała. Następnie pojechał na południe, śledziłam go ukradkiem.

— Wiemy dokąd zbiegł. Jesteśmy z ciebie zadowoleni i ofiarujemy co przyrzekliśmy.

Każdy z nas ją obdarował. Zebrała tak sporą sumę, że wróciwszy do swoich, mogła wśród nich uchodzić za zamożną. Następnie pojechalśmy na południe po lassa.

Kiedy dotarliśmy do krawędzi kotliny, zobaczyliśmy Yuma, spoglądających ku górze. Wypatrywali nas. Na najwyższej platformie stała Żydówka. Uwolniono ją więc po naszym wyjeździe. Zemsta, którą nam poprzysięgła, nasunęła jej myśl złośliwą. Mianowicie, odcięła część lassa, do której mogła sięgnąć i, wydając okrzyki zwycięstwa, pokazywała nam ostentacyjnie.

— Co za zemsta straszliwa! — roześmiałem się szczerze.

Emery wysunął flintę nad otchłań i skierował lufę w Judytę. Krzycząc ze strachu, wzięła nogi za pas i zniknęła w otworze, wiodącym do wnętrza pueblo.

Wyciągnęliśmy lassa, nie rozpaczając bynajmniej, że zamiast trzech, mamy dwa i pół. Po czym puściliśmy się w dalszą drogę, a raczej dopiero rozpoczęliśmy właściwy pościg za Jonatanem Meltonem.

Od czasu, jak wyjechalśmy z pueblo, upłynęły cztery godziny. Należało przypuszczać, że Jonatan ubiegł nas przynajmniej o osiem godzin drogi.

— Jak daleko do Jasnej Skały? — zapytałem Apacza.

— Ponieważ dosiadamy szybkich rumaków, przeto, jeśli nic nam nie stanie na zawadzie, dojedziemy za trzydzieści godzin.

— Liczę więc na więcej niż trzydzieści, gdyż koń Meltona nie dotrzyma kroku naszym. Dwanaście godzin dziennie, zatem przyjedziemy pojutrze. Czy Winnetou mniema, że Silny Wichur przyjmie nas przyjaźnie?

— Mogollonowie nie żyją w przyjaźni z Apaczami, ale nigdy im nie wyrządziłem żadnej krzywdy. Czemu miałyby spotkać nas wrogość?

— Melton naszczuje go na nas.

— Tak, o ile prędzej przybędzie, niż my.

— Na pewno. Zajedzie konia na śmierć, byle jak najprędzej stanąć u celu.

— Czemu by się tak spieszył? Jest przekonany, że Judyta w żadnym razie nic nam nie zdradzi.

— Ale mógł powziąć zamiar nader dla nas niebezpieczny. Przypuszczając, iż przez dłuższy czas zabawimy w pueblo, zechce podbechtać Mogollonów, aby nas napadli.

— To być może. W takim wypadku natkniemy się na nich w drodze, przy czym staniemy na ścieżce wojennej.

Rozmawialiśmy, aby stary Melton nic nie słyszał. Nie raczył na nas spojrzeć. Myśli, które zasepiły mu twarz, musiały być bardzo ponure. Od czasu do czasu wydawał głębokie westchnienia lub gniewne jęki. Dopiekał mu dotkliwy ból w owej części ciała, którą dotykał konia.

Nie mogło być mowy o dośnięciu Jonatana. Zrozumieliśmy to w końcu. Konie Vogla i Meltona nie były biegunami Komanczów a nadto nasz jeniec starał się ze wszechmiar opóźnić jazdę. Byłby wszak idiotą, gdyby nie odgadł, że ścigamy jego syna. Dlatego czynił, co tylko mógł, byle zwłokę spowodować.

Winnetou znał okolicę i był nader pewnym, jak i w wielu innych wypadkach, przewodnikiem. Mieliśmy przed sobą trop Jonatana, który znalazł się tu po raz pierwszy w życiu i kierował wyłącznie wskazówkami Judyty, a przecież jechał drogą właściwą, jak gdyby już wiele razy ją przebył.

Droga prowadziła wciąż pod górę. Wieczorem dotarliśmy do płaskowzgórza między Sierra Blanca a górami Mogollon. Wjechaliśmy na teren niezalesiony. Rosła tu jedynie trawa, przypominająca *puna* Alp peruwiańskich. Przypominał je również wiatr zimny i ostry, który dał z zachodu i wkrótce nas zmroził do szpiku. Odzwyczailiśmy się już od tak świeżego powiewu.

Gdybym jechał tylko w towarzystwie Emery'ego i Winnetou, to na pewno byśmy się nigdzie nie zatrzymywali, ale mknęli po nocy, aby wyprzedzić Jonatana. Lecz Vogel nie był wytrwałym jeźdźcem, a stary Melton zdawał się co chwila spadać z konia. Jeśli symulował, to tylko w połowie, gdyż ból mu istotnie dokuczał.

— Czy zatrzymamy się jeszcze przed nocą? — zapytał Emery.

— Nie radziłbym — odrzekł Winnetou.

— Ale do rana nie możemy jechać jednym ciągiem. Lepiej przeto, póki czas, poszukać miejsca odpowiedniego do postoju, niż zatrzymać się tam, gdzie mrok nas dopadnie.

— Mój brat ma słuszość. Znam takie miejsce.

— Musi przy tym osłaniać przed wichrem, który nas mrozi.

— Jest tu skała, o którą wiatr się rozbija. Przybędziemy do niej za jakiś kwadrans.

W oznaczonym czasie zobaczyliśmy przed sobą pagórek. Podnosił się powoli od zachodu i tworzył niejako kulisy, przez które mroźny wicher nie mógł przeniknąć. Rosło tu wiele drzew i krzewów, a zatem nie zbywało na paliwie. Zziębnięci, marzyliśmy o ciepłym ognisku.

Zsiadliśmy z koni i rozwiązyaliśmy starego Meltona. Tak skostniał z zimna, że nie mógł stać, ani chodzić. Musieliśmy go zanieść do ściany skalnej, którą nazwałem kulisami i ułożyć na ziemi. Być może to także była symulacja. Bądź co bądź, należało mieć go na oku.

Skoro umieściliśmy konie, poszukaliśmy suchego drzewa rozpalili ognisko i położyli się w pobliżu. Po czym zabraliśmy się do posiłku. Melton dostał porcję mięsa pokrajaną na drobne kawałki, które wkładałem mu do ust. Nie chciałem uwolnić mu rąk nawet do jedzenia.

— Będziemy czuwać? — zapytał Emery.

— Być może nie zajdzie potrzeba czuwania — odparł Winnetou. — Nie ma tu nigdzie wrogów.

— Dobrze, więc wszyscy będziemy spali. Przyda nam się wypoczynek

— A jednak lepiej będzie czuwać — rzekłem. — Po pierwsze musimy strzec Meltona, a po drugie, nie ufam jego synkowi. Nie jest wprawdzie *westmanem*, ale i w ciemność go nie bito.

Przypuszcza pewnie, żeśmy się dowiedzieli dokąd pojechał. Raz już mu się to przytrafiło. A w takim razie — rozumuje — jesteśmy na jego tropie. Cóż więc, jeśli mu strzeli głowy, żeby na nas czekać?

— Hm! — mruknął Emery — Nie jest aż tak doświadczony.

— Nie jest doświadczony, ale sprytny.

— To już nie spryt, to byłaby odwaga!

— Nie jest tchórzem i rozumie się, że potrafi okazać odwagę tam, gdzie stawką jest życie, majątek i miłość. Skoro chcecie spać — dobrze, śpijcie ja będę czuwał przez całą noc.

— Nic podobnego! Jeśli uważasz, że to konieczne, to będziemy czuwać na zmianę.

Losowaliśmy. Pierwsza kolej wypadła na Winnetou, druga na Emery'ego, trzecia na mnie, ostatnia na Vogla — każda na przeciąg półtorej godziny. Sześć godzin przeznaczono na nocleg; następnie mieliśmy wyruszyć. Teraz była godzina dziewiąta wieczór.

Po tak licznych zdarzeniach i po częstym czuwaniu podczas nocy ostatnich spałem tak twardo, że Emery musiał dwukrotnie mnie potrząsać, zanim się przebudziłem. Położył się, ja zaś dorzuciłem do ogniska dla rozgrzania śpiących. Cisza panowała dookoła głucha; wszelako z obu stron naszego schroniska wicher zrywał się chwilami, zawodząc i świszcząc. Aby nie wpaść w drzemkę powstałem i przechadzałem się tam i z powrotem. Tak przeminał czas mojej straży i nastąpiła kolej na Vogla. Lecz było mi żal pocziwego chłopca, nieprzywykłego do naszych wysiłków. Sen sprawiał taką ulgę — pozwoliłem mu tedy leżeć i postanowiłem czuwać za niego.

Wyczerpywało się paliwo. Oddaliłem się, aby zebrać trochę gałęzi i drzewa. Ponieważ ogołociliśmy najbliższe miejsca, więc musiałem szukać gdzie indziej, posuwając się z powodu mroku po omacku. Macając tam i ówdzie palcami pośród gęstych krzewów oddalałem się coraz bardziej od ogniska. Oczywiście, nie mogłem zapobiec mimowolnym szmerom. Gałązki i gałęzie, które znajdowałem, trzeszczały i trzaskały i ... cóż to znowu był za dźwięk, który teraz się rozległ? To nie było trzeszczenie gałązki, to brzmiało zgoła inaczej: to było ... hm! Czy to wicher zawył i świsnął? Lub może to koń zarżał?

Nateżyłem słuch. Szmer, czy raczej dźwięk, nie powtórzył się więcej. Ale powziąłem podejrzenie. Jeśli się nie myliłem, gwizdanie czy rżenie rozległo się z prawej strony. Odłożyłem chrust i zacząłem pełzać na brzuchu naprzód, w kierunku szmeru.

Przedsięwzięcie było połączone z wielkimi trudnościami ze względu na to, że musiałem się przekraść przez zagajnik. Gdyby między krzewami leżeli wrogowie, to w tych ciemnościach mógłbym ich znaleźć wyłącznie wówczas, jeślibym się posuwał szerokim zygzakiem, tak, aby przynajmniej raz jeden wyminąć każdą grupę krzewów. Ale wtedy upłynęłyby długie godziny, zanim by dokonał połowy roboty. Ponieważ nie mogłem inaczej postępować, przeto pełzałem w wyżej opisany sposób dalej, z początku na prawo, dopóki nie dotarłem do skały, a potem znów na lewo, dopóki nie doszedłem do skraju zagajnika. W ten sposób posuwałem się powoli, ale nieustannie naprzód, aż ... Ach! rozległ się ten sam dźwięk! Teraz rozpoznałem już wyraźnie rżenie konia. Domyśliłem się, gdzie koń mógł stać — w pobliżu stromej ściany górskiej, co chroniła przed wiatrem. A zatem jeździec nieznany, tak samo, jak i my, szukał osłony przed wichurą.

Ale któż to mógł być? Jeśli przybył przed nami, to musiał nas widzieć. Czemuż więc, o ile nie żywił złych zamiarów, nie zbliżył się do nas, albo jeśli się nas lękał, nie umknął stąd? Czemu został? Jeśli zaś przyjechał po nas, to musiał zobaczyć nasze ognisko. Niewątpliwie się podkradł, aby wiedzieć, kogo ma przed sobą. Mimo to pozostał w pobliżu, z czego wynikało, że... Tak, właśnie co z tego wynikało? Można było wnioskować zarówno o przyjaznych, jak i o wrogich zamysłach. A co, jeśli miałem przed sobą nie jednego, lecz wielu ludzi. W takim razie groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Musiałem bezwarunkowo zbadać sytuację! Przy czołgałem się do ściany skalnej, a potem wzdłuż niej. Sądząc z rżenia, mogłem być oddalony od konia najwyżej na pięćdziesiąt kroków.

Czołgałem się na czworakach, aż wreszcie przebyłem tę odległość. I słusznie! Na lewo ode mnie stał koń, niejeden — dwa, trzy, pięć i więcej! Stały na uwięzi. Jeźdźcy musieli leżeć w pobliżu. Pełzałem dalej, między skałą a końmi. I zobaczyłem pomiędzy dwoma krzewami w wysokiej trawie jak gdyby długi, okrągły tłumok. Cóż to znowu być mogło?

Nie lada odwagą było pełzać dalej i dotknąć tego przedmiotu końcami palców. Macałem bardzo ostrożnie i powoli. To był człowiek, zawinięty w liczne pledy. Ale gdzie byli inni? Skoro tu stało tyle koni, musiało być również wielu jeźdźców.

Ponieważ nie mogłem pełzać między skałą a leżącym, przeto musiałem zakreślić łuk, dopóki nie zbliżyłem się do małej polanki, gdzie siedzieli ci, których szukałem. Słyszałem, jak po cichu się porozumiewali. Z wątku rozmowy mógłbym wnioskować, kogo mam przed sobą. Odważyłem się tedy przysunąć bliżej aż pod głaz, przy którym siedziały dwie postacie. Tuż obok rósł zagajnik. Byłem więc dosyć osłonięty, aby się nie lękać. Wsunąłem głowę między krzewy i zacząłem podsłuchiwać.

To było narzecze Yuma! Czyżby ścigali nas mieszkańcy pueblo? Co za domysł! A jednak nie leżał poza granicami możliwości. Jeden z siedzących rzekł:

— Powinniśmy nie czekać, ale napaść na nich bezzwłocznie.

Aczkolwiek szeptali, poznałem głos Indianina, w którego domku zaskoczono nas onegdaj wieczór. Moje przypuszczenie sprawdzało się zatem. Byli to Pueblosi.

— To nie jest wskazane — rzekł drugi. — Nasze kule mogłyby ugodzić Meltona.

— Bynajmniej! Wszak płonie ognisko. Widzi się wyraźnie cel.

— Ale straż, pomyśl o straży! Bodajby to nie był Old Shatterhand! Należy się lękać jego i Winnetou, mniej za to trzeciego, a wcale nie młodego białego, któregośmy schwytali. Old Shatterhand na pewno nas usłyszy!

— Nie słyszał ciebie, mimo że byłeś tak blisko ogniska.

— Wówczas nie czuwał jeszcze. Właśnie budzono go, kiedy się podkradłem. Siedział przez chwilę, po czym podniósł się i zbliżył do miejsca, gdzie przyległem. Musiałem szybko umykać, inaczej byłby mnie zauważył. Na szczęście nic nie słyszał. Ale jeśliby nas więcej podeszło, usłyszy niechybnie. Musimy czekać na kolej następnego.

Naraz wtrącił się trzeci Yuma:

— Usłuchajmy rady białej *squaw*. Odłożymy atak do świtu. Musimy widzieć cel wyraźnie. Jest ich tylko czterech, jeżeli więc będą widoczni, sprzątniemy ich w ciągu jednej chwili. Natomiast jeśli teraz napadniemy, ciemności i miganie ogniska łatwo nas mogą zmylić; nie trafimy na pewno, a skoro zaś tylko zranimy, cała nasza wyprawa w łeb weźmie.

— Za bardzo się ich lękacie! — mruczał nasz zdradziecki gospodarz.

— Nie jest to strach, lecz ostrożność. Pomyśl o srebrnej strzelbie Apacza, a następnie o broni Old Shatterhanda, której sprawność dała się już nam we znaki. Nie, uderzymy na nich dopiero ze świtem. Biała *squaw* pragnie widzieć upadek wrogów; pragnie tak, bardzo, a my możemy jej sprawić przyjemność, ponieważ była *squaw* naszego wodza.

— Słusznie — rozległ się głos białej *squaw*, która wydzwignęła się spod pledów, wstała i podeszła do mówiących. — Pragnę być przy tym. Chcę widzieć, jak te psy, te łotry zginą od naszych kul! Wszak po to porzuciłam wszystko w pueblo i szybko wraz z wami gnałam, aby ich doścignąć. Jeśli mnie usłuchacie, sowicie was wynagrodzę. Skoro zwolnimy ojca mego męża i zabijemy jego nieprzyjaciół, dostaniecie ich skalpy — najbardziej wartościowe skalpy, jakie istnieją. A także ich broń i wszystko, co posiadają. Następnie pojedziemy dalej do Jasnej Skały, do mego męża, który tak was obdaruje, że będziecie posiadali więcej, niż kiedykolwiek w życiu marzyliście! Zgoda?

— Tak, zgoda, tak! — rozbrzmiało dookoła.

— Jak daleko do ogniska owych szubrawców?

— Może jakieś trzysta kroków — rzekł Indianin, który nas podpatrywał.

— Podkradnę się do nich, muszę ich zobaczyć.

- To niebezpieczny krok.
- Nie dla mnie. Wiem, jak należy skradać się niepostrzeżenie. Nauczył mnie tej sztuki mój mąż, a wasz wódz.
- Ale jeśli Old Shatterhand czuwa, to niewątpliwie cię usłyszy.
- Nie. Wszak i ciebie nie słyszał.
- Pozwól przynajmniej, abym ci towarzyszył.
- Niepotrzebna mi opieka.
- Nie pozwolę ci pójść samej. Gra toczy się nie tylko o twoje, lecz także, o nasze życie.
- A więc chodź!

Wiedziałem więcej, niż pragnąłem, czym prędzej się więc wycofałem. Ta niespodzianka zakrawała na dziki żart! Judyta wraz z Indianami ścigała nas, aby przyjrzeć się naszej zagładzie. Musiała, jako małżonka wodza, przyzwyczaić się do konnej jazdy, skoro tak szybko nadążyła. Jąką nienawiścią musiała ku nam pałać, jak płomienną, nieprzepartą nienawiścią! Skoro byśmy tu polegli, Jonatan miałby ręce rozwiązane. Szczęśliwie się złożyło, że skończył się nam zapas opału. Gdyby mogło starczyć do rana, pozostałbym na miejscu, nie przeczuwając, że śmierć czyha w pobliżu.

Wszyłem się w zagajnik, podniosłem, aby szybko bieć i wyprzedzić oboje zwiadowców. W pewnej odległości zatrzymałem się i czekałem na nich w miejscu, które musieli wyminąć.

Niebawem usłyszałem chrzęst gałęzi; zbliżali się oboje. Schyliłem się i przepuściłem ich naprzód, aby iść za nimi. Doszli na trzydzieści kroków do naszego ogniska, które tymczasem już prawie zupełnie wygasło. Rozdzielili się, aby sobie nawzajem nie przeszkadzać. On odsunął się nieco na lewo ode mnie, Judyta zaś na prawo. Musiałem schwytać przedtem jego, a później ją. Skradałem się za nimi z boku i zbliżałem szybko, nie mogłem jednak uniknąć lekkiego szmeru, który obudził czujność Yuma. Zatrzymał się i jał nasłuchiwać. Stał w pozycji dla mnie nader dogodnej. Jeden skok, a trzymałem go za gardło i dwukrotnie, trzykrotnie uderzyłem kolbą rewolweru w skronie, po czym pozwoliłem mu runąć. Póki trwał w omdleniu, nie mógł nam szkodzić.

Teraz przyszła kolej na „dame”. Mogła się łudzić, że jest bezpieczna, gdyż z tamtej strony góry wicher wył z podwójną siłą i zagłuszał jej kroki. Wszakże musiałem przyznać, że nie najgorzej wywiązywała się z zadania. Tak sprawnie korzystała z cienia krzewów, że nie wiem, czybym ją spostrzegł, gdybym był pozostał przy ogniu.

Przysunęła się tak blisko, że mogła dojrzeć śpiących. Uklękała w trawie i spoglądała przez gałęzie. Cichaczem dobrałem się do niej na odległość stopy. Wyciągnęła szyję i coraz bardziej wysuwała głowę; nie słyszała mnie. W tym momencie odezwałem się:

— Nie ma mnie tam, seniora! Tu powinna pani spojrzeć.

Odwróciła głowę. Nigdy jeszcze na niczyjej twarzy nie widziałem takiego przerażenia. Zdawało się, że rysy jej ścięły się w kamień — język stanął kołkiem. Odłożyłem rewolwer, wyciągnąłem za to nóż i, grożąc, rzekłem:

— Niech pani tylko słowo wyrzeknie, a nóż mój przeszyje pani serce! Podkradła się pani, aby widzieć owe psy i łotry. Nuże, zobaczy ich pani dokładnie. Podnieś się i idź za mną!

Podniosłem się. Klęczała wciąż jeszcze i wpierała we mnie skamieniałe spojrzenie.

— Podnieś się pani! — powtórzyłem.

— Pan... pan... pan... jest... — wyjąkała wreszcie.

— Tutaj i owszem, wszak widzi pani. Ale chodźże, seniora! Naprzód!

— Co, mam... mam... mam...?

— Co ma pani czynić? Przyszła pani, aby zobaczyć, jak padniemy od kul Yuma. Pragnę ci to ułatwić. Będzie pani siedziała przy nas, kiedy padną strzały. A zatem, naprzód, do ogniska!

Mówiłem głośno. Winnetou ocknął się i zerwał na równe nogi. Ująłem ją z tyłu za kołnierz bluzki i popchnąłem ku ognisku.

— *Uff!* — zawołał zdumiony Apacz — Oto jest *squaw*.

— Ze swoimi Yuma, którzy mieli nas zastrzelić — wyjaśniłem, przypierając Judytę do ziemi, tak, że usiadła plackiem przy ognisku.

Emery i Vogel obudzili się za snu. Stary Melton wcale nie spał. Jego przerażone spojrzenie spoczywało na nieszczęsnej zbawczyni.

— Któż to jest? — zapytał Anglik, przecierając oczy. — Wszak to znów nasza nadobna Judyta! Czyżby nie mogła się z nami rozstać?

Wyjaśniłem im w krótkich słowach sytuację, przyniosłem zebrany chrust, aby podsyć ogień i przytaszczyłem nieprzytomnego Yuma.

— Czy nie lepiej będzie zgasić? — zapytał Emery.

— Jeszcze nie teraz — odparłem.

— Ale skoro się zbliżą, będą mogli dobrze celować.

Nie przyjdą jeszcze. Zastanówmy się, co mamy teraz począć.

— Zwłaszcza z tą niewiastą, z tą dziką krwiożerczą kotką. Należy jej odciąć pazury.

— Co mój brat powie? — zapytałem Apacza.

— Nic. Winnetou istotnie nie wie, co powiedzieć o podobnej *squaw*. Należy ją zgładzić, podobnie, jak się tępi grzechotniki.

— Tylko nie to! — rzekłem. — Mimo wszystko, jest kobietą. Pozwolimy jej umknąć. Wiemy już, jak się rzeczy mają. Czy wyruszymy natychmiast?

— Nie pojmuje ciebie. Co się stanie z Yuma? Czy nie damy im żadnej nauczki?

— Tych już nic nie potrafi nauczyć. Czas nagli. Musimy pędzić. Przywiążcie Meltona do rumaka.

— A ta seniora, która się mieni „dama”? Nie do wiary, żeby mimo...

— Poczekaj! Przytroczcie tylko Meltona do siodła, a potem sprowadźcie mego konia.

Uspokoilo go to, że zostałem przy Judycie. Wnosił stąd, że nie ujdzie kary. Wziąłem pół łoża, którego drugą połowę odciąłem i przywiązałem jej ręce do ciała, po czym zawiesiłem u siodła broń i dosiadłem rumaka.

— Tak, teraz podajcie mi naszą dobrą przyjaciółkę. Skoro tak chętnie z nami przebywa, to wezmę ją w objęcia.

Emery i Winnetou uchwycili ją, aby podnieść do góry. Wówczas zaczęła krzyżeć na całe gardło. Położyłem ją w poprzek konia; pozostali wskoczyli na siodła. Winnetou uchwycił cugle rumaka Meltona i — popędziliśmy wzdłuż skały, a potem na równinę, po której hulał mroźny wichur. Z nieba zwisały ciężkie obłoki. Noc była ciemna, choć oko wykol, aliści Winnetou był przewodnikiem, na którym, można polegać.

Judyta nie mogła poruszać rękami. Z początku więc szamotała się nogami, ale wnet uspokoiła się i bez ruchu leżała przede mną niby bagaż. Strach i nieświadomość losu sparaliżowały ją i uciszyły. Emery i Vogel z pewnością nie zrozumieli, w jakim celu zabrałem ją ze sobą. Natomiast Apacz, który zawsze mnie rozumiał i tym razem dowiódł, jak umie przenikać moje ukryte zamiary.

— Na bezdroża? — zapytał mnie zwięźle. — Aby zbłądziła?

— Tak, i nie mogła zobaczyć góry.

— *Howgh!*

Ten okrzyk wyrażał zgodę. Mimo mroku zauważyłem, że skręcił w kierunku, którego trzymaliśmy się od chwili wyjazdu z doliny Flujo Blanco.

Mogła być czwarta nad ranem; a ciemność dłużej trwała, niżby należało się o tej porze roku spodziewać. Kiedy zaczęło szarzeć, mieliśmy za sobą chyba przeszło milę niemiecką. Jechaliśmy wciąż przez płaskowzgórza. Na lewo od nas, a więc na południu, wznosił się las, który biegł w dal i okalał zachodni widnokrąg wąskim pasmem. Zatrzymaliśmy się dopiero w tym lesie. Kazałem opuścić Judytę na ziemię, po czym zeskoczyłem z konia i uwolniłem ją z połowy łoża. Wbiła spojrzenie w ziemię i milczała.

— Czy wie pani, gdzie jesteśmy, seniora? — zapytałem. Nie odpowiedziała.

— W strasliwym gniewie pokrajała pani nasze łąso — musiałaś więc odczuć, że i połowa na coś się przydaje. Wiemy, jak chętnie pani z nami przebywa, ale niestety, musimy zrezygnować z rozkoszy, jaką nam sprawia towarzystwo pani. Bądź seniora zdrowa!

Skoczyłem na konia i ruszyliśmy dalej. Kiedyśmy się po pewnym czasie odwrócili, stała wciąż jeszcze na tym samym miejscu.

— Nie wie, gdzie się zwrócić, — rzekł Emery.

— O to mi właśnie chodziło — odparłem.

— Czy znajdzie powrotną drogę?

— Prawdopodobnie; ale jeśli mądra, to nie ruszy się z miejsca. Jej Yuma zarządzą poszukiwania, naturalnie z początku w kierunku gór Mogollon. Skoro się spostrzegą, żeśmy wcale tam nie pojechali, wrócą i prędzej czy później odnajdą Judytę. Lęk przed samotnością na odludziu i obawa, że Yuma nie zdołają jej odnaleźć, będą dla niej karą, acz nie tak wielką na jaką zasługuje.

— Ale jeśli Yuma istotnie jej nie znajda, wówczas zginie marnie!

— Nie warto się kłopotać. Na poszukiwaniach zejdzie najwyżej dzień jeden. Być może, dzięki temu zaniechają dalszego pościgu.

Okazało się później, że miałem rację; podobne chwasty niełatwo zgładzić.

Posuwaliśmy się wciąż mimo lasu, aż na zachodzie zabiegł nam drogę. Wjechaliśmy pomiędzy drzewa co nie utrudniało drogi, gdyż las był przerzedzony. W południe znów wjechaliśmy na zieloną równinę, na której tu i ówdzie wznosił się pagórek lub wzgórze. Urządziliśmy godzinny postój, aby konie mogły się wyspać, po czym chcieliśmy ruszyć, gdy naraz wyłoniła się w oddali, gromada jeźdźców. Szybko cofnęła się do lasu.

Skoro się zbliżyli, poznaliśmy w nich Indian. Dosiadali wspaniałych rumaków. Nie mieli ani oszczepów, ani też luków.

— Wywiadowcy — powiedział Winnetou.

Podzielałem jego zdanie. Zwiadowcy muszą mieć szybkie konie, aby się prędko poruszać. Broń, o której wspomniałem, może tylko zawadzać przy tego rodzaju wyprawach.

— Zwiadowcy? — zapytał Emery. — Można o nich mówić tylko podczas stanu wojennego. Czy słyszeliście, aby któreś z tutejszych plemion wykopało topór wojenny?

— Nie — odparł Winnetou. — Ale tu zbiegają się granice wielu plemion. Spory nigdy nie ustają i łatwo mogą wynikać utarczki między sąsiadami.

— Ci trzej nie mają na twarzy żadnej farby — rzekłem. — Dlatego nie widać, z jakiego są plemienia.

— Mój brat niech poczeka, aż się zbliżą. Zdaje się, że są to trzej młodzi i jeden starszy wojownik. Być może, widziałem go już kiedyś.

Nie jechali wprawdzie wprost ku nam, ale zbliżyli się na tyle, że mogliśmy rozpoznać ich twarze. Rzeczywiście, — trzej młodzi, jeden zaś stary.

— *Uff!* — zawołał Apacz. — Wszak to mój brat, Szybka Strzała, wódz Nijorów! Ten może nas zobaczyć.

Wyjechał z lasu ku wywiadowcom. Sadziliśmy za nim. Skoro Nijora nas zobaczyli, sięgnęli po noże. Ale już po chwili krzyknął starszy Indianin.

— *Uff!* Mój brat Winnetou! Wielki wódz Apaczów zjawia mi się, jak promień słoneczny choremu, który tęskni do ciepła.

— A widok Szybkiej Strzały jest dla mnie niczym źródło dla spragnionego. Mój brat zostawił w domu oręż. Czyżby więc wyruszył na przeszpiegi?

— Tak. Szybka Strzała wyjechał wraz z tymi wojownikami, aby się dowiedzieć, z jakiej strony będą ujadać psy Mogollonów.

— Czemu to powstała zwada między nimi a mężnymi Nijorami?

— Trzej nasi wojownicy jechali przez teren tych szakali. Zabito ich. Wysłałem posłów, aby się dowiedzieli, dlaczego podniesiono topór na naszych wojowników. Ale i oni nie wrócili.



Wówczas posłałem wywiadowców i dowiedziałem się, że Mogollonowie ponieśli wielkie straty w koniach, które mór wytrzebił, wobec czego zamierzają pociągnąć przeciwko nam i zagabić nasze rumaki. Przeto wyruszyłem sam, aby pytać własnych oczu, i teraz oto wracam z powrotem.

— Jaką wiadomość przynosi mój brat swoim wojownikom? Szybka Strzała otworzył usta, aby przemówić, ale zawarł je z powrotem, obrzucił nas badawczym spojrzeniem i rzekł:

— Wódz Apaczów jest w towarzystwie obcych białych i nawet związanego jeńca. Jakże więc mogą odpowiedzieć na jego pytanie?.

Wówczas Winnetou wskazał na Vogla i rzekł:

— Ten oto młody człowiek nie jest wprawdzie wojownikiem i nigdy nie walczył z wrogiem, ale jest władcą dźwięków, radujących serce. Kiedy gra na strunach, uszy wszystkich, którzy go słyszą, napętnia zachwytem. Winnetou ofiarował mu przyjaźń i ochronę.

Wskazując zaś na Emery'ego, rzekł:

— Ten biały mąż jest wielkim, silnym i odważnym wojownikiem. Jego kamienne namioty wznoszą się z tamtej strony morza. Posiada wielkie stadniny i ogromne bogactwa. Mimo to wyruszył, aby dokonać mężnych czynów. Winnetou jest jego przyjacielem. Poznałem go już dawniej w górach i w sawannach, a przed kilkoma miesiącami, za dwoma wielkimi morzami, byłem świadkiem jego walk bohaterskich.

— A ten oto? — zapytał Wielka Strzała, wskazując na mnie palcem.

Sądziłem, że Winnetou będzie się nade mną rozwodził w pochwałach, ale odparł tylko:

— To jest mój brat Old Shatterhand.

Oko Nijora drgnęło. Dotychczas siedział na koniu, ale teraz zerwał się z siodła, wbił klingę w ziemię, usiadł przy nożu i rzekł:

— Dobry Manitou spełnił największe moje życzenie, widzę Old Shatterhanda. Moi znakomici bracia mogą zejść z koni usiąść przy mnie. Jeńca zaś swego powierzcie moim młodym wojownikom, którzy go pilnie strzec będą.

Skoczyliśmy na ziemię. Właściwie ani oni, ani my nie powinniśmy byli mitrężyć. Ale miałby powód rzetelny do obrazy, gdybyśmy nie spełnili jego życzenia. Zresztą, nie wiadomo było, jaką korzyść może nam przynieść to spotkanie. Usiedliśmy przy wodzu, tworząc okrąg wokół noża. Na skinienie Apacza trzej młodzi Nijorowie zdjęli Meltona z konia, związali mu nogi i położyli w trawie, przy sobie, tak daleko od nas, że nie mógł nic słyszeć.

Teraz Szybka Strzała zdjął *kalumet* z rzemienia, nabił go i zapalił tytoń zapałką, którą mu podałem. Mogę opuścić opis powszechnie znanego ceremoniału palenia fajki pokoju. Skoro nastąpiło ostatecznie pociągnięcie, byliśmy przyjaciółmi, i teraz dopiero odpowiedział wódz na poprzednie pytanie Winnetou:

— Psy Mogollonów za cztery dni wyjdą ze swoich nor, aby wyruszyć przeciw mojemu plemieniu.

— Skąd mój brat może znać tak dokładnie termin? — zapytał Winnetou.

— Widziałem, jak poprawiali swoje leki. Zwykle potem mijają cztery dni, zanim się wyrusza na wyprawę.

— Czy mój brat poczeka na nich, czy też wyruszy im naprzeciw?

— Nie wiem jeszcze. Uchwała zapadnie na radzie starszych. Mój brat Winnetou pojedzie ze mną, aby przemawiać na zebraniu. Moi wojownicy będą dumni też z obecności mądrego i mężnego Shatterhanda.

— Chętnie byśmy natychmiast z tobą pojechali — odrzekłem — ale śpieszy nam się do Mogollonów.

— Do nich, do wrogów mego plemienia? — zapytał zdumiony. W krótkich słowach wyjaśniłem powód. Namyślając się, opuścił powieki i rzekł:

— Moi bracia mogą przecież jechać ze mną. Skoro zły biały, którego zwą Melton schronił się pod opiekę Mogollonów, zostanie przy nich na pewno.

- A jeśli odmówią mu obrony?
- Wówczas uda się do Jasnej Skały, aby czekać na swoją *squaw*.
- Ta już wyruszyła w drogę. Może się jutro z nim spotkać. Widzisz zatem, że nie wolno nam tracić czasu.
- Widzę istotnie. Mój brat Shatterhand powiedział, że Melton opuścił pueblo na koniu?
- Tak.
- Ale nie w powozie?
- Nie.
- Czy była przy nim biała *squaw*!
- Jeszcze nie teraz.
- I woźnica?
- Nie.
- I biały myśliwy, który jest przewodnikiem?
- Też nie. Czemu Szybka Strzała stawia te pytania?
- Albowiem widziałem, jak Mogollonowie napadli na powóz. Zastrzelili woźnicę i schwytali w niewolę białego mężczyznę, białą kobietę i przewodnika.
- Dlaczego mieli napaść na nich?
- Wszak wykopali topór wojny. Kiedy te psy wojują z czerwonymi, i białych uważają za wrogów.
- Niepodobna, aby to był Melton. Ale teraz tym bardziej nie możemy zwlekać, życie napadniętych wisi na włosku. Musimy się rozstać z mężnym wodzem Nijorów; być może, zobaczy nas prędzej, niż sądzimy.
- Czy Old Shatterhand ma istotnie nadzieję?
- Tak. Może będziemy potrzebowali twej pomocy do schwytania Meltona. Czy mamy liczyć na ciebie?
- Tak. Wypaliliście ze mną fajkę pokoju, zatem wasi wrogowie są moimi. Skoro będziecie mnie potrzebowali, przyjdźcie do mnie. Bardziej cenię towarzystwo Winnetou i Old Shatterhanda, niż pomoc mnóstwa wojowników. Będziecie mile widziani i sprawicie nam wielką radość.
- Czy przypuszczają Mogollonowie, że wiecie coś o ich planach?
- Zdają sobie sprawę, że znamy ich wrogie zamiary, ale nie spodziewają się, że wiemy, kiedy mają wyruszyć.
- Szczęśliwa to dla was okoliczność; zaskoczy ich wasze zbrojne pogotowie. Jakie plemię jest silniejsze, wasze, czy ich?
- Liczebnej przewagi żadne z nas nie ma.
- Mam nadzieję, że będę mógł wam się przydać. Czy byłbyś łaskaw wyświadczyć nam wielką przysługę?
- Powiedz, jaką. Wyświadczę, o ile będzie w mojej mocy.
- Moja próba jest zarazem dowodem przyjaźni i wielkiego zaufania, jakie do ciebie powziąłem. Nie wiemy, co nas oczekuje w najbliższych dniach. Prawdopodobnie nasza roztropność i odwaga zostanie wystawiona na ciężką próbę. Gdybyśmy musieli wlec ze sobą jeńca, nie moglibyśmy ręczyć za powodzenie.
- Chcecie mi go powierzyć. Czy mam go strzec?
- Prosiłbym cię o to.
- Twej prośbie stanie się zadość. Jestem z niej dumny, gdyż dowodzi, że uważasz mnie za swego przyjaciela. Jeniec będzie przy mnie tak samo pewny, jak gdybyś sam go własnym okiem doglądał.
- Dziękuję. A teraz spójrz na młodego człowieka, który siedzi przy mnie. Wódz Apaczów powiedział, że to nie jest wojownik. Ten biały nie przywykł do niebezpieczeństw, które nas

zapewne oczekują. Czy mógłby z tobą jechać? Czy chciałbyś go wziąć pod swoją opiekę? Wrócilibyśmy później po niego.

— Będzie mieszkał u mnie w namiocie niby mój własny syn. Jego obecność będzie mi rękojmą, że wkrótce was zobaczę. Czy moi bracia mają jeszcze jakieś życzenia?

— Nie. Za twoją przychylność chcę ci powiedzieć, że odtąd będziemy myśleli o tobie i o twojej korzyści. Zbadamy Mogollonów.

— Ta usługa będzie dla mnie warta tyle, jak gdybym wysłał dziesięciokrotnie po dziesięciu wywiadowców, którzy mają za nas patrzeć, myśleć i działać. Chwałę dobrego Manitou, że mnie z wami zetknął. Sprawি również, aby moje oczy niebawem znów się radowały widokiem waszych twarzy. *Howgh!*

Stary Melton był wielce zdumiony, kiedy się dowiedział, że zabierają go ze sobą Nijorowie, a jednak ta zmiana nie wydawała mu się nieprzyjemną. Od nas nie mógł się spodziewać żadnego pobłażania — zdawał sobie z tego sprawę aż nazbyt dobrze. Nijorom zaś nic złego nie wyrządził; być może, będą go strzegli opieszale; być może, uda mu się przekonać ich, że jest niewinny; być może nawet, znajdzie się ktoś, kto omamiony przyrzeczeniem, dopomoże mu w ucieczce. W żadnym zaś razie ta zmiana nie mogła pogorszyć jego sytuacji. Dlatego malowało się na jego twarzy zadowolenie, kiedy przywiązaliśmy go ponownie do konia. My natomiast mogliśmy być pewni, że Nijorowie nie zawiodą naszego zaufania. Wszak byłby to dla nich wstyd nie lada, gdyby nie mogli nam na nasze żądanie zwrócić jeńca. Lepszą był u nich strażą otoczony, niż u nas, mimo że pojechał z nimi z większą ochotą, niż nasz młody przyjaciel i wirtuoz.

Franciszek bowiem całym darem swej wymowy starał się nas odwieść od zamiaru. Na próżno zwracałem mu uwagę na niebezpieczeństwa wyprawy; brał nam za złe, iż odmawialiśmy mu zdolności do ich zwalczania. Groził, że wbrew naszej woli pojedzie w ślad za nami. Wreszcie wpadłem na dobrą myśl. Powiedziałem, że jeden z nas musi bezwarunkowo zostać przy Meltonie, aby go strzec, gdyż Nijorom nie można całkowicie ufać. To go uspokoiło. Przejął się nawet doniosłością tej chwili i zgodził rozstać z nami na krótki czas. Pożegnanie trwało niedługo, ale było nader serdeczne. Przyjaciele nasi zniknęli wraz z Meltonem w lesie, a my trzej, Winnetou, Emery i ja pojechaliśmy przez równinę, z której Nijorowie przybyli.

Teraz nikt nie przeszkadzał nam rozwinać największej szybkości. Jak burza, przemknęliśmy przez zieloną równinę. Mogliśmy się spodziewać, że staniemy u celu najbliższego rana.

Droga Nijorów była najprostsza — trzeba było tylko jechać ich tropem, który później znikł, gdyż w pobliżu wroga starali się zatrzeć za sobą ślady. Wieczorem, oddaleni o siedem niemieckich mil od miejsca spotkania ze Szybką Strzałą, szukaliśmy dogodnego miejsca na postój. Z lewej strony wznosiło się wzgórze. Zagajnik świadczył o zasobie wody. Ominęliśmy pagórek i zobaczyli przed sobą krzewy, z których rozległ się nagle... głos:

— Stójcie, *messurs!* Jeśli pojedziecie o jeden krok naprzód, dostaniecie kulę w łeb!

To nie były przelewki. Nie wiedzieliśmy kto nam groził; tkwił w krzakach ukryty. Być może, niejeden, lecz kilku. Zatrzymaliśmy się zatem. Przemówienie świadczyło, że był to biały, ale nie Hiszpan.

— Gdzie jest właściwie surowy pan i władca tego pagórka? — zapytałem.

— Tu, za dziką wiśnią, zza której sterczy lufa mojej strzelby, — odparł.

— Czemu grozi pan nam kulą, *sir!*

— Będę was poty trzymał w oddaleniu, póki nie dowiem się, czy jesteście łotrami, czy gentlemanami.

— To drugie, to drugie, czcigodny *master*.

— Tak może się przechwalać każdy szubrawiec. Proszę mi dowieść należycie!

— Jak? Mniema pan, że tu się człowiek obnosi ze świadectwami chrztu lub szczepienia przeciw chorobom zakaźnym, a może nawet z zaświadczeniami podatku od psów?

— O tym nikt nie myśli! Wymieńcie tylko nazwiska! Kto jest ten czerwony *master*, który wam towarzyszy?

— Winnetou, wódz Apaczów. Mnie nazywają Old Shatterhand.

— Do piorunów! Winnetou i Shatterhand! Co za spotkanie! Spieszę, natychmiast śpieszę!

Gałęzie rozsunęły się i wystąpił bardzo długi i suchy mężczyzna. Wisiał na nim łachmany. Głowy nie okrywał. W rękę trzymał maczugę. Gdyby się taki pokazał na naszych gościach, zaaresztowaliby go natychmiast, jako włóczęgę spod ciemnej gwiazdy.

Z gestem naśladowującym zdejmowanie kapelusza, skłonił się i zawołał:

— Wielki honor, niezwykły honor, *messurs!* Przychodźcie na czas. Naprawdę, nie wiedziałem, gdzie was szukać.

— Czy szukał nas pan? — zapytałem zdumiony.

— Dotychczas jeszcze nie, ale miałem właśnie zamiar.

— Nie pojmuję. Czy jest pan sam?

— *Yes, master.*

— Jak należy pana nazywać?

— Jak wam się podoba. Nazywają mnie rozmaicie. Jeśli pan jest istotnie Old Shatterhandem, a wyglądasz mi na to, to na pewno słyszałeś o Willu Dunkerze.

— Słynny zwiadowca generała Granta?

— *Yes, sir.* Nazywają mnie również Długim Dunkerem lub Długim Willem.

Znów zdjął niewidzialny kapelusz.

— I chciał mnie pan odszukać?

— *Yes.* Pana, Winnetou i młodego muzyka, nazwiskiem Vogel.

— Zdziwiałe! Czy można było coś podobnego przypuścić? — rzekłem, zwracając się do Emery'ego i Winnetou.

— Słyszysz pan, że tak jest. Zresztą, wyłożę panom rzecz całą. Zsiądźcie tylko z koni i chodźcie ze mną do wody.

— A więc teraz możemy ruszyć z miejsca?

— *Yes.* Zresztą, możecie się zgodzić, abym was zastrzelił — roześmiał się. — Oto moja strzelba, *hihihihi.*

Wskazał na swoją pałkę.

— Czy nie używa pan godniejszej broni?

— Nie. Wysunąłem przez gałęzie maczugę, aby was oszukać.

— Ale wszak Will Dunker musi broń posiadać.

— Miał ją, posiadał i to jaką! Odebrali mi ją czerwoni, Mogollonowie.

— Ach, napadli pana?

— *Yes, sir, yes.* I na powóz czterokonny.

— Pan byłeś przewodnikiem, woźnicę zaś zastrzelono?

— Tak jest. Ale pan opowiada, jak gdybyś się temu przyglądał. Skąd to, *master?*

— Powiedz pan przedtem, kim jest ta *lady*, która siedziała w wozie?

— Powiem. Podejdźcie tylko do wody i rozgośćcie się, jak u siebie w domu. Witam was serdecznie, panowie, witam was! Wielki honor, nader wielki honor!

I znowu zdejmował przed nami niewidzialny kapelusz. Słyszałem już o tym dziwnym człowieku, ale widziałem go po raz pierwszy. Skoczyliśmy na ziemię, wprowadzili do zagajnika rumaki i zatrzymali się przed źródłem, chłodno i jasno bijącym z ziemi. Tu stał wspaniały po indiańsku okiełznany rumak.

— To pański koń, *master* Dunker? — zapytałem.

— *Yes!* — odpowiedział. — Właściwie, jeśli pan woli, pożyczyłem go sobie od Silnego Wichru, o ile pan zna tego czerwonego łotra.

— Aha, od wodza Mogollonów. Cóż go pobudziło do pożyczania panu takiego bieguna?

— On sam nie wie. To była pożyczka wbrew woli; zapomniałem go zapytać o pozwolenie.

— Nie słyszałem nigdy, aby Will Dunker był koniokrądem.

— Nie jest nim *sir*, istotnie nie jest! Może pan wierzyć. Ale Mogollonowie zabrali mi wszystko i podarli na mnie odzież, kiedy się broniłem. Chcieli mnie schwytać żywcem. Za to zabrałem konia.

— Niezła przygoda, jak sądzę. Musi pan opowiedzieć!

— Chętnie! Ale pożycz mi pan przedtem jakiejś broni, jeśli macie zbyteczną, abym się czuł człowiekiem.

— Masz pan rewolwer.

Wziął go, obejrzał dokładnie, spojrzął na markę i rzekł:

— Wspaniała broń. Słynna fabryka, *sir*! Teraz mogą nadejść szubrawcy, powitam ich godnie. I jeszcze coś! Może macie kęs lub dwa kęsy mięsa? Od wczorajszego rana nie miałem nic między zębami. A biedaki chcą się potrudzić, a jakże! Obejrzyj tylko, *sir*!

Otworzył usta i pokazał wspaniałe uzębienie.

— Może pan dostać również mięsa. Proszę, Emery, odkraj spory kawał!

Kawał suszonego mięsa, przeszło dwufuntowej wagi, zniknął między zębami Dunkera w ciągu krótkiej chwili. Ten dopiero był głodny! Rękami zaczerpnął wody ze źródła, wypił i rzekł, mlaskając językiem:

— To mi dogodziło! Nie sądziłem, że tak rychło jeść będę. Na pustkowiu, bez broni, którąby można było upolować zwierzynę, — to zła sytuacja, bardzo zła, *messurs*! Nie wiem, czy się wam coś podobnego przytrafiło. To szczęście, to prawdziwe szczęście, że was spotkałem, i nie tylko dla mnie, ale i dla reszty schwytych. Tylko panowie potrafią ich wydobyć!

— Cóż to za ludzie?

— Co za ludzie? Hm, *sir*, zdziwicie się, bardzo się zdziwicie!

— Powiedźcie wreszcie! Muszę wiedzieć, muszę wszystko wiedzieć

— Dowie się pan, *master*, oczywiście, że się dowiesz, to się samo przez się rozumie. Ale kiedy ktoś czyta piękną książkę, nie zaczyna jej od środka, ani od końca. Wszystko musi mieć swój porządek, *sir*! A zatem, siedziałem w forcie Belknar przy szklance miętówki, powiadam wam, jest to najdelikatniejsza miętówka pod słońcem, i namyślałem się, dokąd skierować krok, czy aby do Red River, czy też nieco ku Estacado. Naraz zatrzymał się przed drzwiami powóz, zaprzężony w cztery konie. Wsiadł jegomość, w którym na sto kroków, z daleka poznałbyś gentlemana. Wszedł do izby, usiadł przy najbliższym stoliku i medytował, jak ktoś, kto nie wie, co ma wypić. Naturalnie, poradziłem mu, aby kazał sobie podać miętówki i dałem mu skosztować ze swej szklancy. Nie laliśmy za kołnierz, możecie nam wierzyć. Wyjaśniłem mu, kim jestem, wobec tego zapytał, czy nie znam jakiegoś dzielnego i pewnego przewodnika do Nowego Meksyku i dalej. Chciał się dostać do Frisco. Nieraz już przebyłem tę drogę, znam ją tak dobrze, jak własną czapkę, przeto zaoferowałem się na przewodnika. Wziął nowe konie i już po godzinie wyruszyliśmy w drogę. Czy domyśla się pan, kim jest ten człowiek? Zna go pan dobrze, *sir*!

— Istotnie? To przypadek!

— Przypadek, ale szczęśliwy. Ten *master* nazywał się Murphy, Fred Murphy i jest adwokatem w Nowym Orleanie.

— Adwokat Fred Murphy? Czy to być może! — krzyknąłem. — Dalej, szybko, spieszmy!

— No dobrze, pojedziemy, ale nie prędzej, aż panu wszystko wyłożę. Ze względu na pana skrócę opowiadanie.

— Czy wie pan, czego Murphy szukał we Frisco?

— Wówczas jeszcze nie, ale teraz wiem. Słyszałem w drodze, jadąc koło karety, kiedy rozmawiał z *lady*.

— Jakaż to *lady*! Cóż to była za dama?

— Chce pan wiedzieć? *Well*, dowie się pan, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie czas. Każda rzecz musi mieć swój porządek. Zanim będę mówił o *lady*, muszę napomknąć o Albuquerque.

— Albuquerque? Człowieku, panie, nie dręcz mnie dalej!

— Nie tak gorąco, *sir!* Dojedziemy do końca, nawet jeśli nie będziemy się śpieszyli na łeb i na szyję. A więc, musieliśmy czekać w Albuquerque przez cały dzień; trzeba było naprawić powóz. Siedzieliśmy i jedli w salonie, zdaje się, że właściciel nazywał się Plener, siedzieli i jedli również inni ludzie. Rozmawiali o niedawnych koncertach pewnego skrzypka i śpiewaczki. Oboje występowali pod nazwiskami hiszpańskimi, ale powszechnie wiadano, że pochodzą z Niemiec. Wypaplała to gospodyni, u której mieszkali.

— Czy ci ludzie wymienili rzeczywiste nazwiska rodzeństwa?

— Naturalnie! To właśnie słysząc, adwokat zerwał się na równe nogi. Brat nazywał się Vogel, a siostra Werner.

— Ach! Domyślałem się!... Dalej!

— Podchwycić nazwisko, dopytać się o adres śpiewaczki i pędzić z *saloonu*, to było dla adwokata dziełem jednej chwili. Gdyby nie był adwokatem, wierzyłbym, że oszalał. Ale, jak wiadomo, adwokaci nigdy nie wariują. Bo czy widział pan jakiegoś, który wyjątkowo miał bzika w głowie, *sir!*

— Nie... tak..., tak... nie!... Dalej, tylko dalej!...

— Dalej? Nic więcej nie mogę powiedzieć, jak to, że następnego ranka *lady* Werner wsiadła do powozu i pojechała z nami. Jechaliśmy zwykłą drogą ku San Jose, przez Sierra Madre, do Wiganta i następnie do Rio Puerto, gdzie przeprawiliśmy się przez Colorado, aby wejść na gościniec do Cerbat. Ale tu naraz *lady* nie chciała z nami jechać. Mówiła o swoim bracie, który gdzieś się ugania, o Old Shatterhandzie, o Winnetou, o pewnym *sir* Emery' m, który wydaje się Anglikiem...

— Jest nim! Widzi go pan przed sobą.

— *Well!* Wielki honor, nadzwyczaj wielki honor, *sir!* Znowu zdjął niewidzialny kapelusz, uklonił się i rzekł:

— Dowiedziałem się z ich rozmowy o wspaniałej kradzieży. Śpiewaczka i jej brat byli poszkodowani, a złodzieje nazywają się Meltonowie, jeśli mnie pamięć nie myli. Old Shatterhand, Winnetou i Emery wyjechali, aby pojmać tych opryszków. Przebywają w zamku, który wznosi się gdzieś nad dopływem małej Colorado.

— Nad Flujo Blanco.

— *Well!* Może, nie wiem. *Lady* też chciała z nimi jechać, ale nie pozwolili. Teraz oto przybyła w te strony i upierała się, że musi zobaczyć brata. Nie ja mogłem o tym zdecydować; było mi zresztą wszystko jedno, czy droga zaprowadzi do Meksyku, czy do Kanady. Nie zabrałem więc głosu. Adwokat, aczkolwiek był adwokatem, zrozumiał, że trzeba skapitulować wobec woli *lady*. Skręciliśmy z dotychczasowej drogi ku górcom Mogollon.

— Czemu tam właśnie?

— Mała Colorado nigdzie nie ma tyle dopływów, ile tam. Nie bałem się znaleźć tak zwanego zamku.

— Lecz *master* Dunker, zapuszczać się w takie pustkowia z damą w powozie, w którym tutaj daleko nie ujedziesz! Wszak nie mógł pan za to brać odpowiedzialności!

— Wcale sobie nie wyobrażałem, że mogę, *sir!* *Lady* wyraziła życzenie, a zatem musieliśmy je spełnić; nic na to nie można było poradzić. Sądzę, że gdyby zapytano adwokata z Nowego Orleanu, co woli studiować, czy księgi praw, czy piękne oczy śpiewaczki, to na pewno wybrałby ostatek. Ja za to nie mogłem odpowiadać. Skoro tylko zeszlismy z gościńca, zaczęły się piętrzyć ogromne trudności.

To zapadaliśmy się w głąb, że omal wóz nie przykrywał się kołami, to znów droga biegła pod górę, że biedne konie ledwie go mogły dźwignąć, to wreszcie trzeba było się przeprawiać przez strumyki, w których wóz grzązał godzinami. Tkwiłszy wczoraj po południu w takiej dziurze, gdy nas zaskoczono. Setka czerwonych przeciwko mnie jednemu. Woźnica runął zestrzelony z kozła, na adwokata zaś nie można było liczyć. Zanim zdążyłem odwieść kurek

rewolweru uchwyciło mnie dwadzieścia, trzydzieści pięci. Waliłem dookoła siebie, ile sił, ale to nie mogło mnie ocalić. Podarto na mnie odzież, przygnieciono do ziemi, związane i sprowadzono do uroczej miejscowości, zwanej Klekie–Tse, czyli Jasna Skala.

— Ach! Tam właśnie jedziemy!

— Sprowadzono również powóz. Czy był pan już kiedyś na Jasnej Skale?

— Nigdy.

— Wyobraź pan sobie małą górę. Ze szczytu widać okrągły zamek o białych murach, oknach, portalach, kolumnach, filarach, schodach, gankach i wieżach. Sądziłby pan, że to wybudował jakiś znakomity architekt, a jednak jest to tylko naturalna skała, biały kamień wapienny, który deszcz wydrążył i obrobił na kształt zamku. Wzdłuż płynie rzeczka, która jedną stroną przylega do skały; drugi brzeg jest gęsto zarośnięty krzewiną. Bliżej góry, o której wspominałem, rozciąga się łąka, i tam właśnie Mogollonowie rozbili namioty.

— Czy wojenne?

— Nie. Mieszkają w nich wraz ze swymi *squaws* i dziećmi. Sprowadzono nas zatem do tej pięknej miejscowości. Byliśmy spętani i leżeli chwilowo obok siebie. Tchorzem podszyty adwokat to omal nie pękał z gniewu, to znów łkał, blady ze strachu. *Lady* była milcząca i opanowana. Sądziła, że przybyłby pan i uwolnił ją, gdybyś wiedział o jej opresji.

— Podążymy tam niezwłocznie!

— Rozłączono nas wieczorem. Umieszczono mnie w namiocie, strzeżonym przez czerwonego. Podobnie adwokata. *Lady* dostała również namiot ale zdjęto z niej więzy, a nawet pozwolono swobodnie wychodzić z namiotu. Zdaje się, że to jej oczy urzekły wodza. Dziś koło południa zdarzyło się coś, co pana bardzo zainteresuje. Otóż wyciągnięto mnie i adwokata z namiotów, aby przeprowadzić coś w rodzaju śledztwa. Siedzieliśmy obok siebie a dokoła nas stali najprzedniejsi wojownicy Mogollonów. Naraz przyprowadzono jeźdźca, który chciał rozmawiać z wodzem. Był to biały. Skoro go ujrzał adwokat podniósł natychmiast krzyk opętańczy.

— Czy wymienił jego nazwisko?

— Tak. Z początku nazywał go Smallem, Smallem Hunterem, a następnie Jonatanem Meltonem.

— Jakie to wrażenie wyrwało na jeźdźcu?

— Z początku się przeraził, ale później uradował. Przemawiał długo do wodza — nic nie mogliśmy usłyszeć. Przebył zapewne długą drogę i jechał przez całą noc, gdyż z osłabienia musiał usiąść, a wierzchowiec pod nim był cały pokryty pianą i kurzem.

— Jak się z nim obszedł wódz?

— Z początku przywitał go posepnie, ale po przemowie wypogodził się i nawet wypalił z nim fajkę pokoju.

— Niedobrze!

— Tak! Wiem, że jest to jeden z trzech Meltonów i to najważniejszy oszust. Objął mnie adwokat.

— Czy Melton nie miał przy sobie torby?

— Owszem, miał torbę z czarnej skóry. Wisiała na rzemieniu, przeciągniętym przez ramię. Następnie wyznaczono mu namiot.

— Czy zauważył pan, który?

— Tak. Sąsiaduje z namiotem, w którym mnie umieszczono. Melton wszedł na chwilę do swego namiotu, po czym do nas wrócił.

— Czy miał na sobie torbę?

— Nie.

— A zatem zostawił ją w namiocie. To bardzo ważne! Dalej!

— Podeszedł do nas, pokpił sobie z adwokata i powiedział mu, że zginie przy palu męczeńskim, skoro tylko Mogollonowie wrócą z wyprawy wojennej.

— Planowano więc wyprawę wojenną?

— Słyszałem o tym jedno tylko słówko z ust Meltona, aliści poprzednio już zwąchałem, że święci się coś niezwykłego. Czerwoni chcą napaść na Nijorów i zrabować im konie.

— A ci o tym nie wiedzą?

— Wiedzą i gotują się do obrony.

— *Well*, w takim razie nasze akcje się podnoszą. Pojedziemy do Nijorów i sprowadzimy ich, aby odbić *lady* i adwokata.

— Musimy się przedtem zastanowić.

— Czemu to?

— Przede wszystkim muszą poznać obóz Mogollonów.

— Chce pan do nich jechać? Wprost w rozwartą paszczę wilka!

— Ani mi to w głowie nie powstało. Opowiadaj pan, jak zbiegłeś.

— Powiedziałem już panu, *sir*, że wyciągnięto z namiotów mnie oraz adwokata i że przybył zniecka Melton. Tak zaprzętał swoją osobą wodza, że ten nie mógł się nami zająć. Nie zwracano na nas uwagi. Nogi mieliśmy wolne, tylko ręce spętane. Już od wczoraj szarpałem i darłem rzemienie. W moim namiocie stał stary garnek z wodą do picia. Zmoczyłem rzemienie; zmiękły i zwiotczały. Ucisk zmałał. Wreszcie mogłem wyjąć ręce i czekałem tylko na chwilę odpowiednią, aby umknąć. Zaprowadzono mnie z powrotem do namiotu. Przechodziliśmy koło wigwamu wodza. Stał przed nim rumak, którego tu widzicie, wspaniały rumak, jakich niewiele na świecie. Oto była chwila, której wyglądałem! Zerwałem więzy, dopadłem rumaka i puściłem się w cwał.

— Co za echo musiał wywołać ten wyskok!

— Z początku żadne. Czerwoni po prostu zdrętwieli, tak że przemknąłem bez przeszkód przez cały obóz. Następnie dopiero zaczęło się widowisko, a jakich ogromnych rozmiarów! Zerwał się rwetes, krzyki i wycia! Zabrzmiały wystrzały, ale było już za późno, wszystkie chybiły. Nietknięty, wyjechałem z obozu, wyminąłem wartowników. Byłem wolny. Miałem wspaniałego bieguna, ale, niestety, żadnej broni. Przybyłem tutaj, napiłem konia i zamierzałem ruszyć dalej, gdy was ujrzałem. Tak, teraz wiecie o wszystkim!

— Jak długo pan jechał?

— Może z trzy godziny.

— Sądzi pan, że cię ścigają?

— *Yes, sir!* Oczywiście, że mnie ścigają. Jeśli im nawet na mnie nie zależy, to bądź co bądź rumak, którego porwałem, jest tak cenny, że nie będą szczydzili trudów, aby go odzyskać.

— Ścigający pędzą w trop za panem. Przybędą, ale wieczorem. Słońce już teraz skryło się za widnokrzem, a w ciemnościach czerwoni nie rozeznają śladów. Jednakże nie będziemy zwlekać. Jedziemy do Jasnej Skały

— *Well*, jadę z wami!

— Nie mogę tego od pana wymagać. Bądź zadowolony, żeś stamtąd umknął. Zuchwałością byłoby wracać.

— Już nie teraz, *sir!* Skoro Old Shatterhand i Winnetou są przy mnie, mogę się na wszystko ważyć. Jadę z wami! A może chcecie rozpowiadać o Długim Dunkerze, że się uląkł garstki Indian?

— To, co słyszałem o panu, nie pozwala posądzać cię o tchórzliwą duszę.

— Tak? Więc mówią o mnie nieźle? To mnie, starego urwisa, bardzo cieszy! To mi raduje serce! Jadę z wami i możecie się ważyć, na co wam się żywnie podoba, będę przy was, *sir!* Ale nie podążymy drogą, którą przybyłem, aby nie zderzyć się z moimi prześladowcami.

— To prawda! Winnetou jest obeznany z okolicą, on nas poprowadzi.

— Winnetou tak was poprowadzi, — odezwał się Apacz — że po dwóch godzinach ujrzycie przed sobą Jasną Skałę.



Napoiiliśmy konie, po czym pomknęli, kiedy na zachodzie nił już ostatni dnia odblask. Niebo było usłane chmurami i szybko zaległa ciemność. Winnetou jednak prowadził nas tak pewnie, niczym za dnia.

Stało się, jak przewidział. Po dwóch godzinach jazdy osadził konia na miejscu. Przed nami wznosiła się wysoka, ciemna masa. Winnetou rzekł:

— To jest góra, o której mówił Dunker.

— Czy istotnie? — zapytał wymieniony. — Nie poznałem jej w ciemnościach.

— To ona. Ze szczytu widać Jasną Skałę.

— Musimy wspiąć się na szczyt. A więc dalej!

— Stój! — ostrzegłem. — Obóz zaczyna się po tamtej stronie góry?

— Tak.

— A więc góra panuje nad obozem. Dziwiłbym się wielce, gdyby nie ustawiono na niej posterunku. Winnetou niech przedtem sam wejdzie i zbada.

Apacz zeskoczył z konia i zniknął w pomroce nocnej. Wrócił dopiero po półgodzinie.

— Moi bracia niech się mają na baczności — rzekł. — Na górze stoi podwójny posterunek.

— Więc nie możemy wejść?

— Wejść tak, ale nie wjechać.

— A zatem musimy konie umieścić z dala. Zdradziłoby nas rżenie, lub parskanie.

Cofnęliśmy się o szmat drogi i zostawili rumaki pod pieczą Emery'ego. Po czym wróciliśmy i ostrożnie zaczęli się wspinać. Przy posterunku płonęło ognisko, oświetlające wyraźnie dwie, postacie. Wartownicy, a raczej ci, którzy ich postawili, zasługiwali na chłostę.

## MOGOLLONOWIE

Staliśmy na zboczu wierzchołka i spoglądali na obóz. Niestety, Białej Skały nie mogliśmy rozpoznać; w nocy wszystko wygląda jednakowo. W obozie migotały liczne światła. Namioty rysowały się w niewyraźnych konturach.

— *Well*, jesteście na miejscu — rzekł Dunker. — Ale co dalej?

— Nie można rozeznaczyć namiotów — odparłem. — Tak, gdybyż to była pełnia i księżyc oświetlał każdy namiot z osobna. Wówczas moglibyśmy działać!

— Mrok ma swoje zalety.

— Rozumie się. Ale teraz przede wszystkim trzeba nam wiedzieć, w jakim namiocie jest Melton, a w jakim *lady*.

— Wiem dokładnie, ale nie potrafię ani określić, ani wskazać. Ale gdybym nawet mógł, cóżby pan wówczas począł?

— Podkraǳbym się do obozu.

— W jakim celu?

— Aby przynajmniej rozmówić się z *lady*, jeśliby niepodobna było ją wykraść.

— Byłby to jeden z tych świetnych porywów, które fama przypisuje tylko panu lub Winnetou. Ale musi pan wiedzieć, że dokoła obozu rozstawiono szeroko posterunki. Jakżeby się pan przedostał?

— Najzwyklejszą drogą, mianowicie przez wodę. Nie odejdę stąd, dopóki przynajmniej nie spróbuję pomówić z *lady*. Co to za namioty? Letnie, czy zimowe?

— Letnie.

— A zatem płócienne, umocowane na kołkach, które łatwo wyciągnąć. Czy obydwie namioty, których szukam, są bardzo oddalone od wody?

— Przeciwnie, stoją tuż nad rzeką.

— Dobrze więc, idę. Wróćcie do koni i oczekujcie mnie. Oto moja broń, mój pas i drobiazgi, które nie zniosą wody.

— A może mój brat nazbyt się naraża? — zapytał zatroskany Winnetou. — Lepiej będzie, jeśli Winnetou z nim pójdzie.

— Przecież i ty nie znasz namiotu. Naraz wtrącił się Dunker:

— Wchodzi pan do wody?

— Naturalnie! Na jednym brzegu wznosi się skała, na drugim zagajnik. Pod ich osłoną, w ich cieniu, przejdę niepostrzeżony przez cały obóz.

— To mi odwaga, ba, nawet zuchwałość, ale przypada mi do serca, *sir!* Jak pan mniema, czy mógłbym panu dopomóc?

— Hm, nie znam pana do tego stopnia, aby sąd o nim wydawać. Czy potrafi pan pływać, nurkować i chodzić we wodzie?

— Wcale znośnie.

— Czy rzeczka głęboka?

— Nie wiem.

— Czy bystra?

— Nie.

— Czy woda była dziś jasna, czy mętna?

— Mętna. Zamulona trawą i sitowiem.

— To nam bardzo na rękę. Spleciemy z sitowia pływające wysepki i pod nimi skryjemy się przed okiem Mogollonów.

— Wysepki? — zapytał zdziwiony.

— Tak.

— Wyjaśnij mi to *sir!* Nie mogę pojąć.

— Noc prostszego. Każde dziecko potrafi związać sitowie, zlepć je mułem, aby pływało po rzece na kształt wysepki, unoszonej nurtem wody. Pośrodku wysepki sklepia się kopułę pustą wewnątrz i przedziurawioną w wielu miejscach. Skoro włożę pod wysepkę i trzymam głowę we wnętrzu kopuły, mam nie tylko dosyć powietrza, aby oddychać, ale i widok wszechstronny poprzez dziury. A zatem, słyszę i widzę wszystko, sam niepostrzeżony przez nikogo.

— Dowcipny, nader dowcipny pomysł, *sir!* Tak, od Old Shatterhanda i Winnetou niejednen, nawet naszego pokroju wyga, może się wiele nauczyć.

— Trzeba mieć łeb na karku, *master* Dunker. Nieraz od takich rzeczy zależy nie tylko powodzenie przedsięwzięcia, lecz, co więcej, nietykalność własnej skóry. Co do mnie, to już nieraz takie sztuczne wysepki ocalały mi życie.

— Wysepki mają pływać, a więc trzeba pływać wraz z nimi?

— Pływać, kiedy głęboko; brnąć, gdy płytko. W ostatnim wypadku należy to się wyciągnąć, to znów przykucnąć, zależnie od stopnia płytkości. W pierwszym wypadku wygodniej jest pływać stojąco, co się nazywa „chodzeniem we wodzie”. Trzyma się głowę do góry, nogi w dół, wyciąga się nieco kolana i stąpa na przemian to prawą, to lewą nogą, podczas gdy wyciągniętymi rękoma macha się w wodzie, ale nie tuż pod powierzchnią, gdzie łatwo się zdradzić. Pod żadnym pozorem nie wolno wywołać najmniejszej fali, bo czujny widz może się w biegu domyślić, czy mnie pan zrozumiał, *master* Dunker?

— *Yes, sir*, bardzo dobrze, zupełnie dobrze! Ufam, że nie okryję swego imienia wstydem.

— Poczekajże *master!* To nie wszystko. Trzeba przypuścić, że będziemy mieli uważnych i przenikliwych widzów. Pływa się naprzód i zatrzymuje w miejscach, w których się chce poczynić obserwacje. Nie wolno się szybciej poruszać, niż woda, niż wszystko co pływa dookoła, a więc i wysepka. Nie należy iść przeciw nurtowi, ale zgodnie z prądem. W prądzie nie wolno się zatrzymywać, gdyż sprzeciwia się to prawom natury. W miejscach, gdzie są wiry, należy również wirować, a skoro się przybija do brzegu, to w miejscach stosownych, a więc tam, gdzie woda jest spokojna i gdzie wysunięty cypel brzegu może usprawiedliwić zatrzymanie się wysepki.

— Hm, trudniejsze to zadanie, niż sądziłem *sir!*

— Zastanowienie i skrupulatność może opłacać brak wprawy. A zatem, czy starczy panu odwagi?

— Ależ naturalnie! Pałę się do próby!

— Pięknie! Ale poczuwam się do obowiązku przestrzec pana, że kładziesz na szali życie. Jeśli nas spostrzeżą, jeśli powezmą podejrzenia, to prawdopodobnie zginęliśmy.

— Nie tak prędko. I nie tak pewnie, jak pan mniema! Możemy się bronić.

— Czym? Wszak rozstaniemy się z bronią palną, najwyżej możemy zabrać noże. Przy pierwszym alarmie setki Indian skupią się nad brzegiem i rozpoczną palbę. Jeśli nawet wyskoczmy z wody i zechcemy rzucić się na nich z nożami, to prędzej padniemy przedziurawieni jak rzeszoto, niż osiągniemy wroga.

— Czy będą mieli broń w pogotowiu?

— Nawet gdyby nie mieli broni, to w stu na jednego zgnieliby nas gołymi rękami. A zatem, jestem szczerzy, zastanów się pan!

— *Pshaw!* Nie mam się czego zastanawiać — idę! Chcę również tkwić raz w życiu pod pływającą wyspą i chełpić się, że nauczył mnie tego Old Shatterhand. Nigdy jeszcze takiej sytuacji nie doświadczyłem. Skoro więc nadarza się sposobność, nie chcę jej pominąć.

— Dobrze. Czy wie pan, w jakiej odległości rozstawiono strażę?

— Tak, o ile nie zmieniono układu.

— A więc może mnie pan prowadzić. Oczywiście, wejdziemy do wody daleko, a przed obozem, a wyjdziemy poniżej niego. Ponieważ później nie będę miał czasu, przeto powiem panu już teraz, jak się masz zachować. Lekkie młaśnięcie językiem oznacza chęć porozumienia się z towarzyszem. Wówczas obie wyspy zbliżają się do siebie tak, aby można było mówić i

słyszeć. Poza tym powinien pan trzymać się i to samo co ja czynić. Skoro przybiję do brzegu, przybij pan również. Skoro odbiję pójdiesz za moim przykładem. Tylko w tym wypadku nie naśladowuj mnie, kiedy opuszczę wysepkę i wyląduję, aby podkraść się do namiotu.

— Do piorunów! Odważy się pan może na to?

— Nie tylko może, ale na pewno. Zwróć moją uwagę na poszukiwane namioty, jeszcze zanim do nich dołyniemy, gdyż nie wolno będzie się cofać. Zresztą dla zachęty powiem panu, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Na tym brzegu rzeczutki, gdzie wznosi się skała, nikogo nie ma. Z tej strony więc nic nam nie grozi. Drugi zaś brzeg jest zarośnięty krzewami, które nas osłonią. Dodajmy ponadto zachmurzone niebo, mrok nocy dzisiejszej i drzenie ognia, które nie pozwala dostrzec wyraźnie w rzece żadnego kształtu. A zatem naprzód! Przede wszystkim zawiadomimy Emery'ego, a potem rozpoczniemy zawody pływackie.

— Czy nie lepiej poczekać, aż ogniska wygasną i czerwoni ułożą się do snu?

— Nie, bo cóż nam z tego przyjdzie? Wszak chcę się rozmówić z *lady* i podpatrzeć Indian, aby dowiedzieć się jakichś szczegółów o wyprawie na Nijorów. Albo poważamy się na wszystko, albo zaniechamy zamiaru.

Niepotrzebne drobiazgi i przedmioty, na które woda źle działa złożyliśmy w ręce Emery'ego. Za całą broń miały nam starczyć noże. Ponieważ Dunker nie miał własnego, przeto dostał nóż Apacza. Nie mogliśmy wyperswadować Winnetou, aby nie towarzyszył nam do rzeki. Chciał pomóc przynajmniej przy kłeceniu wysp, na co zresztą chętnie przystałem dla zaoszczędzenia sobie czasu.

Oczywiście, z największą przezornością trzeba było wziąć się do dzieła. Wyminawszy przedni, wysunięty nad obozem posterunek, szliśmy dalej naprzód, dopóki nie znaleźliśmy sitowia. Musieliśmy je ściąć tylko pod wodą, bo nazajutrz, w dzień, szczeliny w zaroślach mogłyby się Mogollonom wydać podejrzanymi. Wśród pobliskich krzewów było wiele suchego drzewa; mając więc pod ręką potrzebne materiały, wzięliśmy się do budowania wysepek. Musiały być lekkie, ale mocne, gdyż zerwanie się lub rozplątanie którejs wystawiłoby pływaka na najwyższe niebezpieczeństwo. Kształt nie powinien był zwracać na siebie uwagi — jak gdyby nurt wody zniósł i sklecił w jedną całość poszczególne składniki wysepki. Na przygotowaniach zbiegła nam godzina; pierwszy wszedł do rzeki Dunker, aby dokonać próby, która się istotnie udała. Winnetou oddalił się, oświadczywszy, że będzie czuwał z moim sztucерem w pogotowiu, aby w razie potrzeby skoczyć nam na pomoc. Zanurzyłem się w wodzie, podpełzaliśmy pod swoje wysepki i wsunęli głowy w kopulaste wydrążenia.

Nie jest przyjemne tkwić w wodzie w ubraniu. Wprawdzie zostawiliśmy u Emery'ego zbyteczny balast, ale ja, zwłaszcza z tego względu, że chciałem rozmówić się z Martą, miałem na sobie jeszcze tyle odzieży, że wnet zaczęła mi ciążyć i przeszkadzać w pływaniu.

Rzeczutka nie była szeroka, ale skoro tylko opuściliśmy brzeg, grunt uciekł nam spod nóg i musieliśmy pływać. Przystosowałem się do prądu, towarzysz mój zaś poruszał się o kilka łokci za mną. Było ciemno, a jednak po przebyciu pewnej odległości zobaczyłem pierwszą placówkę na brzegu. Wyminęliśmy ją szczęśliwie; w strażniku zwróconym twarzą ku rzece, oba skupienia gałęzi i sitowia nie wzbudziły żadnego podejrzenia. To mnie przekonało, że nasze wysepki wyglądają naturalnie, i mogłem się spodziewać, że również innym szczęśliwie zejdziemy z oczu.

Nie mieliśmy już przed sobą posterunków, prócz tego oczywiście, który zapewne stał za obozem. Niebawem ujrzeliśmy pierwsze oświetlone namioty. Stały na lewym, ocienionym zaroślami brzegu. Gdybyśmy się zatem tego brzegu trzymali, obserwację utrudniałyby nam gęste chaszczce. Dlatego podpłynęliśmy do brzegu prawego. Mogliśmy tu przepłynąć przez rzekę i przejrzeć na wskroś zagajnik, a poza tym mieliśmy pewność, że nikt na czatach nie stoi.

Teraz rzeka toczyła swe nurty wolniej, gdyż zakreślała daleki łuk na prawo, gdzie podmywała Jasną Skalę. Dzięki temu powstało wewnątrz łuku, po lewej od nas stronie, miejsce dla namiotów, które rozbito w pobliżu rzeki, aby wodę mieć pod ręką.

Wyminieliśmy już dwanaście, czy czternaście namiotów, gdy Dunker dał znak, że chce się ze mną porozumieć. Ponieważ pływał niedaleko ode mnie, więc zamiast się zatrzymywać, mogłem słuch jedynie natężyć.

— Wielki namiot, przed którym wbito dwie dzidy z lekami, to namiot wodza.

Ta wiadomość nie mogła mnie interesować. Ale spojrzałem w tę stronę i uczyniłem dobrze. Ognisko przed namiotem teraz zaledwie się tliło; dlatego rozpalono opodal, gdzie więcej było miejsca, drugie. Kilku czerwonych siedziało dookoła tak, że można było przypuścić, iż nadejdą jeszcze inni i dopełnią kręgu. Więc zapowiadała się narada. Gdybyśmy mogli podsłuchać, wynieśliśmy niewątpliwie wiele cennych wiadomości. Przybiłem do prawego brzegu, w ślad za mną Dunker. Obie wyspy zbiły się w jedną. Byliśmy do siebie tak zbliżeni, że mogliśmy się porozumiewać szeptem.

Podsłuchiwać można było u lewego brzegu, ale zagajnik zasłaniał widok. Dlatego chwilowo przybiłem do brzegu prawego; stąd widzieliśmy, co się dzieje w obozie. Nogi znów natrafiły na grunt, co więcej, woda była tak płytka, że mogliśmy usiąść na miękkim, wygładzonym piasku i dość znośnie przetrwać tu tyle czasu, ile nam było potrzeba.

— Dlaczego się pan tutaj zatrzymuje, sir? — zapytał cicho Dunker

— Czy nie widzi pan, — odrzekłem — że tam zanosi się na zebranie?

— Oczywiście! Czy chce pan podsłuchiwać?

— Tak, później, kiedy się rozpocznie narada. Tymczasem tu się zatrzymamy, aby zobaczyć, ilu i jacy wojownicy wezmą udział w zgromadzeniu. Czy nie widać stąd namiotu, w którym mieszka Melton?

— Nie. Jest to szósty, licząc od namiotu wodza poniżej.

— A namiot *lady*?

— Czwarty.

— A zatem sam już sobie poradzę, a ile się *master* nie przeliczyłeś. Poczekajmy i patrzmy, co się tam będzie dziać.

Narada tyczyła się w ważnej wielce sprawie. Poznać to było z wielkości koła, które miano utworzyć, a i z natfoku zwykłych wojowników, którzy się zbiegali zewsząd, aby się przysłuchać naradzie swoich najwybitniejszych przedstawicieli.

Pomyślnie się złożyło, że nie czekaliśmy długo. Staliśmy na kotwicy, a właściwie siedzieliśmy przeszło godzinę, gdy zobaczyliśmy wybujałego wzrostu atletycznego Indianina, który wyszedł z namiotu wodza i skierował się ku zgromadzeniu.

— Silny Wichur — szepnął Dunker.

Był to zatem wódz. Za nim szedł Jonatan Melton od stóp do głów uzbrojony. Usiadł koło Silnego Wichru. Nie tylko więc nie był uważany za jeńca, lecz miał uczestniczyć w naradzie. Widocznie doszedł do porozumienia z wodzem. Następnie, na głośny sygnał, nadeszło dziesięciu czy dwunastu starych, doświadczonych wojowników i wnet zasiedli w kole.

Rozpoczęła się narada, wobec czego przepłynęliśmy jeden po drugim ku lewemu brzegowi, lecz tak wolno i ostrożnie, jak gdyby prąd unosił nasze wyspy. Przy brzegu zwarliśmy je ponownie ze sobą. Minęło nieco czasu, zanim ułożyliśmy się znów wygodnie i mocno. Narada już się toczyła. Nie mogliśmy nic widzieć ze względu na dosyć wysoki brzeg, ale za to słyszeliśmy donośny, grzmiący głos mówcy.

— Czy wie pan, kto mówi? — zapytał Dunker.

— Wódz.

Głos rozbrzmiewał tak wyraźnie, że słyszeliśmy każde słowo:

— ... aczkolwiek moi bracia zamierzali wyruszyć za cztery dni, istnieją pewne powody, które przemawiają za wyruszeniem jutro rano. A następnie, powiedział mi ten mężny biały, że

w drodze możemy schwytać trzech słynnych mężów. Jeśli to prawda, wówczas po wszystkich namiotach i dolinach w pobliżu i z dala rozpowiadać będą o męstwie Mogollonów. Owi trzej wojownicy to Winnetou, wódz Apaczów, Old Shatterhand i jeszcze jeden wielki biały, który trupem położył wielu czerwonych wojowników.

— *Uff, uff, uff.* — rozbrzmiało w kole i szereg otaczających wojowników wtórowały temu okrzykowi radosnego zdumienia.

— Nasz biały brat — ciągnął dalej wódz — powtórzy moim czerwonym braciom to, co mnie powiedział.

Tymi słowy zagał obrady. Przemawiał, stojąc, a teraz zapewne usiadł z powrotem. Po kilku chwilach rozległ się głos Jonatana Meltona. Wygłosił długą zaciekłą filipikę przeciwko nam. Opowiadał, że byliśmy u niego w pueblo, klęliśmy Mogollonów i wygrażali się, że pojedziemy do Nijorów i podjudzimy ich do napadu na Mogollonów.

Ponieważ jest przyjacielem tego plemienia, przeto czym prędzej skoczył na konia, aby ich ostrzec. O jego lojalności mogą sądzić chociażby z tego, że przybył na spienionym i padającym ze znużenia rumaku. Teraz oto dowiedział się, że postanowiono wyruszyć na Nijorów, ale dopiero za cztery dni. Lecz przedtem Nijorowie prawdopodobnie napadną na nich. Trzeba natychmiast zarządzić wymarsz, tym bardziej, że Dunkerowi udało się zbiec. Ten biały słyszał wszak, że gotuje się wyprawa i należy przypuścić, że pospieszy do Nijorów, aby ich ostrzec.

Przytoczył jeszcze inne powody i kłamliwe wymysły, a czynił to tak sprytnie, że nie wątpię, iż uzyska poklask zgromadzenia. Istotnie, gdy skończył rozległy się w szeregach czerwonych przychylny szepty i pomruki. Zapanowała krótka cisza, po czym rzekł wódz:

— Mój biały brat dowiódł, iż jest przyjacielem naszego plemienia. Dziękujemy mu. Niech mi tylko odpowie na kilka jeszcze pytań. Czy Winnetou i Old Shatterhand byli jeszcze w pueblo białej *squaw*, kiedyś stamtąd wyjechał, i czy wiadomo ci, kiedy pueblo opuszczają?

— Nie.

— Czy wiedzą dokąd pojechałeś?

— Nie.

— A więc nie należy się spodziewać, że od razu puścili się za tobą w pościg. Być może, są jeszcze w pueblo?

— Istotnie, tak być może.

— Udaremnimy ich zamiary, wysyłając oddział wojowników, aby ich schwytać. Wówczas nie zdołają dotrzeć do Nijorów.

— A jeśli już tam są?

— W takim razie istotnie musielibyśmy wyruszyć jutro rano. Jeśli Nijorowie naprawdę targną się na nas, to nie chcąc nakładać drogi, muszą przebyć Tikh Nastla — Mroczną Dolinę. Tam możemy na nich czekać i wytracić co do nogi. Jeśli starzy wojownicy pozwolą, wyślę pięćdziesięciu mężów natychmiast na spotkanie Winnetou i Old Shatterhanda; pozostali wojownicy wyjadą jutro rano pod moim dowództwem do Tikh Nastla. Powiedziałem. Naradzimy się nad propozycją!

— Chodź, idziemy! — szepnąłem Dunkerowi.

— Jeszcze nie — odparł. — Skoro podsłuchujemy, musimy czekać, aż się narada skończy. Najważniejsze rzeczy dopiero nastąpią.

— Mianowicie jakie?

— Uchwała ostateczna.

— Znam ją. Zresztą, skupiło się tu mnóstwo wojowników i namiot Meltona jest pusty. Muszę działać, zanim skończy się zebranie.

A zatem, chodź *master!* Przybijemy do brzegu przy szóstym namiocie, gdzie zamierzam wylądować.

Popłynęliśmy dalej. Namiot stał, tak samo, jak wszystko inne, blisko brzegu i rzucał cień na krzewy i wodę. W cieniu tym zatrzymaliśmy się ponownie.

— Czekaj pan tutaj, — rzekłem do Dunkera — dopóki nie wrócę. W żadnym razie nie wyłaż z wody.

— Ale jeśli pan nie wróci, *sir!*

— Wówczas usłyszysz strzały Winnetou.

— A jeśli nie będzie strzelał?

— Na pewno będzie. Nie poddam się bez walki. Zgiełk, który wywołam, zawiadomi Apacza, że jestem w niebezpieczeństwie. Mogę pana upewnić, że nie będzie baków zbijał na swoim posterunku. Skoro usłyszysz jego wystrzały, uciekaj czym prędzej. Płyn pod wysepkę w dół, póki nie wymiesz ostatniej placówki, po czym wróc *sir* do Emery'ego.

— A pan? Co będzie z panem?

— Głowa w tym moja i Winnetou.

— *Sir*, łatwo wymówić! Mam zniknąć, podczas gdy pan zagląda śmierci w oczy?

— Tak. Pana podpora na nic mi się nie przyda, może mi tylko zaszkodzić. Zresztą jestem pewien powodzenia. Poczekaj, wrócę niebawem.

— *Well!* Ale powiadam panu, że drzę nie o własną skórę, tylko o pańską.

Przymocowałem wysepkę do krzaku, przy którym leżałem i dawszy nura wypłynąłem spod niej. Następnie wślizgnąłem się ostrożnie między krzewy po pochyłości wybrzeża. Nie wystawiałem się na niebezpieczeństwo, gdyż za mną nikogo nie było, z obu stron zaś kryły mnie chaszczce, a przede mną stał namiot. Wpełznąwszy na brzeg, obejrzałem się dookoła. Żywej duszy nie było widać.

Teraz należało zbadać, czy jest kto w namiocie. Podkradłem się i przytknąłem ucho. Ani dźwięku. Wyciągnąłem kołek z ziemi i uchyliłem ostrożnie dolnego rąbka. Na wprost siebie ujrzałem na wpół otwarte wejście. Blask ogniska wpadał tędy i oświetlał puste wnętrze.

Serce zabiło mi mocniej. Melton nosił przy sobie cały zrabowany spadek w skórzanej torbie. Nie miał jej na zgromadzeniu, a zatem zostawił w namiocie. Jednakże nie było jej widać. Uniosłem płótna i wlałem do wnętrza. Ale torby, jak dotąd nie zauważyłem. Może oddał ją wodzowi na przechowanie? To nie było prawdopodobne!

Przysunąłem się do postania z listowia, ściętej trawy i paru skór, podłożyłem pod nie rękę i grzebałem. Wówczas — wówczas wyczułem ją, ową torbę. Ręka mi zadrżała. Cofnąłem i począłem się zastanawiać, aczkolwiek moje położenie, nader niebezpieczne, nie dawało mi czasu do namysłu.

Opanowało mnie ogromne podniecenie. Tu leżały miliony, za którymi uganiał się po całym świecie! Czy miałem je wziąć? Pociemniało mi w oczach, mieszało się w głowie. Jakże musi się czuć przestępca, który, narażając życie wyciąga rękę po cudzą własność! Wkrótce jednak zmusiłem się do spokoju.

Gdybym wziął torbę, to Melton niebawem, spostrzegłby jej brak. Narobiłby hałasu. Szukanoby, znaleziono moje ślady, przetrząsnęto miejscowość i odkryto ślady moich przyjaciół. Ściągnąłbym na nas ogromne niebezpieczeństwo i gdybyśmy nawet uszli, miałbym pieniądze, ale nie złodzieja.

A zatem nie powinienem brać torby, ale otworzyć ją, wypróżnić, napelniając czym innym, aby Melton nie powziął podejrzeń. To wymagało czasu, jakiego przecież nie miałem. Bądź co bądź, nie należało się jednak cofać. Gdyby mnie zaskoczono, byłby to na pewno sam tylko Melton, a z nim jednym dałbym sobie radę. Koniec końcem, wyciągnąłem torbę spod postania. Kto wie, czy nie wyjął z niej cennej zawartości i nie schował przy sobie? W takim wypadku na próżno narażałem się na niebezpieczeństwo.

Była to torba skórzana z żelaznym kabłąkiem, wypchana i... zamknięta. To pogarszało sytuację. Wyciągnąłem nóż i podważyłem zamek. Zadanie było łatwe, ale nasuwało wątpliwości, czy zamek równie łatwo da się z powrotem zamknąć. Torba była otwarta — sięgnąłem ręką. Poczulem miękkie, drobne przedmioty. Potem wymacałem zwarty, napęczniały pugilares. Poza tym, nic innego. Wyjąłem pugilares. Aby przywrócić dawną

objętość, ściałem nożem pasmo płótna z namiotu u dołu i włożyłem na miejsce pugilaresu. Nacisnąłem zamek, trzasnął. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, jak to nastąpiło, dość, że zamek był zamknięty!

Teraz musiałem się wycofać. Odwrót nie odbył się tak szybko, jak można mniemać, gdyż musiałem zacierać za sobą ślady.

Odzież na mnie była wprawdzie mokra, ale nie tak, aby miała pozostawić wilgoć w namiocie. Odłożywszy torbę na miejsce, wziąłem pugilares w zęby, wypełzłem z namiotu wbiłem z powrotem kołek. Posuwałem się na kłęczkach ku wodzie bardzo powoli, wyprostowywałem ręką trawę, którą uprzednio przygniotłem.

Gdyby dziś w nocy padła na to miejsce rosa, nazajutrz nie byłoby już żadnego po mnie śladu. Skoro wreszcie dotarłem do brzegu, usłyszałem szept Dunkera, dobiegający z ukrycia:

— Bogu tysięczne dzięki!... Co to było za oczekiwanie!... Tyle razy dostawałem gęziej skórki, że zostałbym bogaczem, gdybym znalazł na nią nabywcę.

— I mimo to musi pan jeszcze poczekać — odpowiedziałem.

— Jeszcze? Dlaczego?

— Przyniosłem coś, co muszę uchronić przed zamknięciem, czyli przymocować do swej wysepki.

— Cóż to takiego?

— Kilka milionów dolarów.

— Co? A więc zagrabione pieniądze?

— Tak.

— Szczęśliwiec z pana! W torbie?

— Nie, w pugilaresie.

— Przymocuj go pan nader troskliwie, aby nie zatonął.

— Utworzę na wysepce z tyłu drugie wzniesienie. Odtąd będzie pan tylko na nim skupiał uwagę.

Potrzebne mi było drzewo, a nie mogłem odciąć gałęzi, gdyż białe karby mogły mnie nazajutrz wydać. Na szczęście pełno tu było połamanych gałązek, które dostarczyły nam obfitej ilości materiału. Skoro tylko zabezpieczyłem pugilares, wsunąłem się pod wysepkę i popłynęliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się koło czwartego namiotu, po czym znów wylazłem na powierzchnię.

— Miej się pan na baczności! — ostrzegał Dunker. — Należy przypuszczać, że *lady* nie jest sama w namiocie.

— W takim razie siedzi przed namiotem — brzmiała moja odpowiedź.

— Tak. Dlaczego?

— Ponieważ taka kobieta, jak ona, dopóki może, korzysta ze świeżego powietrza, zamiast tłoczyć ze starymi *squaws* w cuchnącym namiocie.

Wylazłem na wybrzeże. Istotnie, sprawdziło się moje przypuszczenie. O jakieś trzy kroki ode mnie stał namiot, a przed nim siedziała Marta, nieco z boku, gdyż przed wejściem usadowiło się parę Indianek. Nie mogłem ustalić czy dwie, czy trzy. Teraz należało przemówić do niej tak, aby się nie zlekła. Najlepiej więc było nazwać ją po imieniu w języku ojczystym.

— Marto! — szepnąłem.

Drgnęła i odwróciła się przerażona. Na szczęście nie wydała okrzyku. Podniosłem głowę i mogła ujrzeć moją twarz, oświetloną przez chwilę światłem dalekiego ogniska i dodałem szeptem:

— Cicho! Nie mów nic. Czy poznała mnie pani?

— Tak — szepnęła, przysuwając się nieco do mnie. Indianki skupiły uwagę na miejscu, gdzie odbywało się zgromadzenie.

— Przychodzę, aby pani powiedzieć, że jestem w pobliżu — rzekłem.

— Bogu dzięki! — szepnęła, składając dłonie. — Ale jakaż to odwaga...



— Przed wszystkim niech pani powie, jak się z nią obchodzą.

— Dostyc znośnie.

— A więc nic nie grozi pani życiu?

— A jednak... Jeśli Jonatan Melton... prawda, pan nie wie wcale, co nas...

— Wiem wszystko. Dunker, wasz przewodnik...

— Zniknął.

— I spotkał mnie i Winnetou. Tkwi teraz tam, w wodzie.

— Boże, i on się podkradł? A Franciszek, mój brat?

— Jest bezpieczny. Bawi u Nijorów.

— Tam nie jest bezpieczny! Mogollonowie mają napaść Nijorów. Melton powiedział mi też, że przyłącza się do wyprawy, aby pana schwytać.

— A więc spodziewa się naszego przybycia?

— Tak się zdaje. Groził mi. Kiedy będzie miał pana, Winnetou i Emery'ego, wówczas my wszyscy „zgaśniemy”. Tak się właśnie wyraził.

— To daje pewność, że chwilowo nic się złego nie stanie. Może być pani zatem spokojna. Co się tyczy wyprawy przeciwko Nijorom, to nasza w tym głowa, aby się nie powiodła. Zatem nie powinna się pani również lękać o los brata.

— Ale niech pan siebie oszczędza! Jakże się pan mógł tutaj podkraść i jak się stąd wydostanie? Umrę chyba ze strachu!

— Cicho, ciszej; stare Indianki usłyszą panią. Jestem bezpieczny, jak u siebie w domu. Chwilowo nie mogę pani pomóc. Chciałem cię przynajmniej zawiadomić, że wkrótce będziesz wolna. Gdzie jest Murphy, ten nieostrożny adwokat?

— Tam dalej. Melton kazał go strzec surowo. Jakże się panu powiodło? Zdaje się, że pan nie znalazł szukanego zamku?

— Znaleźliśmy. Później pani opowiem. To nie jest miejsce na towarzyskie pogawędki. Harry Melton nie żyje. Jego brat Tomasz jest w naszym ręku i tylko Jonatan czmychnął. Ale najpóźniej za dni kilka będziemy go mieli.

— A spadek? Jakże z pieniędzmi?

— Być może, już je mam.

— Ma pan...

— Ciszej, o wiele ciszej! Za wiele już mówiłem i za długo tu bawię. Tyle tylko dodam, że byłem w namiocie Meltona. Przekradłem się i wydobyłem jego pugilares, który prawdopodobnie zawiera wszystko co chcieliśmy odzyskać. To rzecz najważniejsza. Łotra złapiemy później. Teraz muszę umknąć. Wyzbij się troski i spełnij, skoro odejdę moją prośbę.

— Chętnie. Ale jaką?

— Przejdzie się pani parokrotnie stąd do wybrzeża, aby zatrzeć mój ślad. Mogollonowie pomyślą, że to pani zmięła trawę.

— Chętnie. Ale spełnij także moją. Nie narażaj na szwank życia! Jeśli pana zabiją, to i ja jestem zgubiona.

— Pozostaną jeszcze Winnetou i Emery. Ale zapewniam panią, że nie narażam się zbyt i że nic mi się nie stanie. Niech pani nie zwleka, nie trać otuchy i bądź przekonana, że cię na pewno wydostaniemy, gdyż...

Umilkłem, ponieważ w tej chwili rozdarł powietrze ostry krzyk. Stare Indianki skoczyły na nogi i podeszły w kierunku ogniska, tak . że nie mogły mnie zauważyć.

— Cóż to jest? Co to znaczy? — zapytała Marta.

— Jest to apel indiański, wódz zwołuje wartę. Z tego wnioskuje, że została uchwalona propozycja Meltona. W każdym razie niebawem wyruszy przeciwko nam. Muszę wracać. A zatem, odwagi! Bądź pani zdrowa!...

Był to szczególny traf, żeśmy mogli tak długo porozumiewać się niepostrzeżenie. Podała mi rękę, po czym ześlizgnąłem się do wody. Chciałem popęznąć pod wysepkę, gdy usłyszałem z miejsca, w którym dopiero co się znajdowałem, znany mi dobrze, donośny głos:

— Pani Werner, przychodzę się z panią pożegnać. Wprawdzie jestem przekonany, że rozstanie się pani ze mną z ciężką sercem, ale mogę panią pocieszyć, że rychło, nawet bardzo rychło się zobaczymy!

Jonatan Melton przemawiał tonem tak nikiemnie szyderym, że chętnie bym wyskoczył na brzeg i wciągnął go do wody. Sytuacja była sprzyjająca; mogłem wraz z nim wymknąć się niepostrzeżenie z obozu, gdzie nie było już wartowników, ale należało pomyśleć nie tylko o Marcie, lecz także i o Murph'ym i o pugilaresie. Skurczyłem się przeto w swej kryjówce i podśluchiwałem. Melton dodał:

— Nie sam wyruszam. Pani także opuści obóz.

— Ach, — pomyślałem sobie — gdybyż była przebiegła! Bodajby go pociągnęła za język.

I w samej rzeczy Marta pomyślała pewnie, że nie mogłem odbiec daleko i chętnie bym wysłuchał rozmowy. Zapytała więc:

— Ja? Kiedy?

— Skoro świt, Pojedzie pani wraz z Indianami, którzy wyruszają na Nijorów. Chcę pani dać dowód, jak mało się lękam pani i jej miłych przyjaciół. Moja szczerłość poświadczy, że już nie biorę was w rachubę. Czerwony Winnetou i tak zwany Old Shatterhand puścili się w pościg za nami. Pani i jej przemądrzały adwokat nie mogliście się doczekać rezultatu i pojechaliście również. To było wielkie głupstwo. Wszak Meltonowie niejednokrotnie udowodnili, że nic im nie robi cała wasza pseudomądrość. Pani wraz z adwokatem jesteście teraz w mojej mocy. Na czele oddziału, liczącego pięćdziesięciu wojowników, pojedę za kwadrans i wnet sprowadzę Old Shatterhan — da, Winnetou i Anglika. Skoro przebywają jeszcze na zamku, to łatwo ich tam zaskoczmy; jeśli zaś wyjechali, spotkamy ich po drodze. W tym, czy drugim Wypadku mamy ich jakby już w ręku. Pani i adwokat pojedziecie jutro, rano z Czerwonymi, abym miał was w pobliżu. Spotkam się z nimi, a zatem i z wami w pięknej miejscowości, zwanej Mroczną Doliną. Jak pani sądzi, co się wówczas stanie?

— Wypuści pan nas na wolność?

— Na wolność? Tylko kobieta może tak mówić! Ja jestem spadkobiercą starego Huntera. Uważaj pani — ja! Nie powinno być innych spadkobierców, czy wie pani, co to znaczy?

— Czyżby chciał pan nas zabić?

— Zabić? Ach, tak, tak, teraz mówi pani rozsądniej, niż poprzednio! Jest pani tak bliska prawdy, jakbyś ją trzymała za зуб.

— *Sir*, wszak może się zdarzyć inaczej, niż pan sądzi, jeśli nie spotkasz Winnetou i Old Shatterhanda.

— To niemożliwe. Albo są jeszcze w pueblo, a w takim razie w potrzasku, gdyż mogę się przedostać niepostrzeżenie do twierdzy, albo ścigają mnie, a w takim razie jest tylko jedna droga, na której musimy się spotkać. Tym przemądrzałym łajdakom nie przyjdzie na myśl, że ja, ścigany, mogę obrócić broń na ścigających.

— A następnie może się zdarzyć, że Nijorowie napadną na Mogollonów. A wówczas jeńcy wpadną do rąk zwycięzców.

— *Pshaw*, babskie gadanie! Nijorowie nie mają wyobrażenia o tym, co się na nich gotuje. Wpadniemy zniemacka, jak jastrzębie na stado gołąbków. Zarządziłem, aby pani i adwokata na chwilę nie spuszczano z oka. Przytrócą was do koni. Być może zresztą, że wódz łaskawie umieści panią w powozie, ponieważ nie umie pani dosiadać konia, a zatem będzie opóźniała jazdę. W żadnym razie nie spodziewaj się seniora, że będziesz mogła zbiec lub że pani przyjaciele potrafią nam umknąć i ocalić panią. Wracaj do namiotu! Strażniczki nie wypuszczą cię aż do samego rana.

Usłuchała widocznie rozkazu, gdyż zaległo milczenie. Przeczekawszy jeszcze chwilę, odbiliśmy od brzegu i popłynęli dalej. Aczkolwiek wiedziałem, że wszystkie posterunki zostały ściągnięte, to jednak dla pewności wypłynęliśmy poza ich obręb i następnie dopiero wynurzyli się z wody. Wydobylem z wysepki pugilares. Był zupełnie suchy.

Ognisko, płonące na górze, było nam w mrokach nocy drogowskazem. Za tym ogniskiem czekał na nas Emery.

— *Sir*, — rzekł Dunker podczas szybkiego marszu — to mi dopiero przygoda, którą będę z rozkoszą wspominał! Lepiej nie mogło się nam powieść.

— A zatem jest pan zadowolony?

— *Well!* I to jak zadowolony! Rozmowy pana z *lady* nie mogłem słyszeć. Ale w końcu Melton sam się zdradził, że zbyt ufnie w siebie wypaplał się ze wszystkim. Jak pan myśli, co teraz począć?

— Nie tylko my będziemy o tym decydowali. Dobrze się stało, żeśmy tyle się dowiedzieli; ale jeszcze miłszy mi pugilares. Melton niebawem wyruszy w drogę, nie należy się więc spodziewać, że zajrzy do torby i zauważy stratę. Nie sądziłem, że się tak prędko dobiore się do tych pieniędzy. Bądź co bądź spadek odzyskaliśmy.

— Czy istotnie są w pugilaresie pieniądze?

— Musiałbym się bardzo mylić, gdyby było inaczej. Skoro się rozwidni, zobaczymy.

Przystanąłem, ponieważ zdawało mi się, że widzę przed sobą ciemną postać. To nie mógł być Mogollon. Usłyszeliśmy głos Winnetou:

— Moi bracia mogą się zbliżyć. To nie wróg. Trzymał mój sztucer w ręku. Rzekł:

— Moi bracia weszli do wody, musieli płynąć z nurtem, dlatego stanąłem na tym miejscu, gdyż stąd najlepiej mógłbym pośpieszyć z pomocą. Chodźcie ze mną do Emery'ego.

— Czy nie napotkamy posterunku?

— Nie, skoro rozległ się okrzyk, strażnicy wszyscy zbiegli do obozu.

Emery promieniał z radości, kiedy nas zobaczył. Wyżęliśmy ubranie, jak mogliśmy, i zabrali wszystkie zostawione przed wyprawą przedmioty. Kiedy opowiadając jej przebieg, zatrzymałem się nad pugilaresem, rzekł Winnetou:

— Mój brat nie powinien był go zabierać. Melton spostrzeże stratę.

— Niech tam!

— I domyśli się naszej obecności.

— Może otworzy torbę dopiero jutro lub za kilka dni. A jeśli nawet zauważy zniknięcie pieniędzy, czy musi właśnie o nas pomyśleć? Czy nie mogli go okraść Mogollonowie wówczas, gdy lekkomyślnie zostawił torbę w namiocie? Kto wie, jak dawno do niej nie zaglądał. Może również pomyśleć, że już przedtem skradziono pieniądze. A jeśli nawet od razu się połapie i rzuci na nas podejrzenie, to zawsze lepiej, że mamy pieniądze, niż żeby były w jego rękach, narażone na wszelkie przypadki losu. Może się wszak zdarzyć, że kiedy go schwytały, już nie będzie ich miał przy sobie.

— Być może, zgodzę się z moim bratem, kiedy usłyszę dalszy ciąg przygody.

Opowiedziałem rozmowę Meltona ze śpiewaczką. Skoro skończyłem, rzekł zdziwiony:

— Winnetou uważał tego człowieka za mądrzejszego niż się okazał. Szyderstwo jest pokusą, której mężczyzna powinien się oprzeć. Zatem z pięćdziesięcioma ludźmi zabiega nam drogę? Cóż na to powie mój brat, Shatterhand?

— To, co by każdy rozsądny człowiek powiedział. Z taką wielką nierozwagą nic sienie da zmierzyć. Jeśli przypuści, że mogliśmy wytropić, dokąd zbiegł i że puścimy się za nim w pościg, to powinien pomyśleć, że możemy już być tutaj, albo przynajmniej w pobliżu. Dlatego popełnia głupstwo, zarządzając teraz wymarsz. Ciemności ukryją nasze ślady i zapobiegają spotkaniu. Powinien wyjechać dopiero rano, oczywiście uprzednio przetrząsnąwszy okolicę.

— Mój brat ma słuszość. A następnie, skoro świt, mają Mogollonowie wyruszyć przeciwko Nijorom? Czy są już przygotowani? Wszak spodziewali się dopiero wyprawy za

trzy dni. Trzeba się nie tylko uzbroić, ale i zaopatrzyć w prowiant. Czy Mogollonowie są istotnie zaopatrzeni? Czy mój brat spostrzegł, żeby wędzili mięso?

— Nie widziałem ani rzemieni, ani płócien, na których zawiesza się mięsiwa.

— Wielki błąd popełnili. Ani w drodze, ani tam, dokąd dążą, nie znajdują mięsa.

— Czyż nie ma zwierzyny w Mroczonej Dolinie?

— Albo wcale nie, albo bardzo niewiele. A czy wojownicy, którym w każdej chwili grozi napaść, będą mieli czas na łowy i przyrządzanie mięsa?

— Nie, ale ich błędy korzyść nam przyniosą. Czy wódz Apaczów zna Mroczną Dolinę?

— Tak.

— Jak daleko stąd?

— Jeśli zwykły jeździec rano wyjedzie i przenocuje po drodze, przybędzie następnego dnia w południe. Zaprowadzę tam moich braci.

— Jest inna ewentualność: zostać tu, aby uwolnić jeńców, kiedy wojownicy odjadą. To byłoby dla nas łatwe.

— Czy mój brat pomyślał o skutkach?

— Tak. Trzeba się dobrze zastanowić. Teraz nie wiedzą, gdzie nas szukać, ale potem będą wiedzieli.

— Tak. Wyślą gońców natychmiast i zawiadomią wojowników o zdarzeniu. Ale jeszcze coś: będziemy skazani na powolną jazdę.

— Tak. *Lady* i adwokat będą nam kulą u nogi.

— Po pierwsze, nie będziemy mogli pospieszyć Nijorom z pomocą, po wtóre, nie zdołamy umknąć przed Mogollonami, którzy rzucają się za nami. Czy mój brat myśli, że jeńcom się coś złego stanie pod nieobecność wojowników?

— Nie. Łękać się o nich należy dopiero po powrocie Meltona.

— A więc mogą pozostać. Są tu bezpieczniejsi, niż gdybyśmy się mieli wlec z nimi i opędzać przeważającej, liczbie wrogów. Jedziemy do Nijorów aby ostrzec ich i wspierać. Jeśli Mogollonowie poniosą klęskę zmusimy ich, aby wydali nam nie tylko *lady* i adwokata, ale także Meltona.

— Dobrze! Kiedy jedziemy?

— Kiedy Melton odejdzie ze swym oddziałem. Gdybyśmy już teraz pojechali, to, dążąc za nami odkryłby nasz ślad.

— Czy nie możemy obrać innej drogi?

— Tak, ale czy nie lepiej jest zostać, dopóki nie przekonamy się, że Melton istotnie wyruszył?

— Nie. Jestem święcie przekonany, że się tak stanie, jak zapowiedział. Skoro wyruszymy po nich, będziemy musieli dreptać im po piętach i marudzić, gdyż nie będą jechali tak szybko, jak my powinniśmy, o ile mamy zawczasu ostrzec Nijorów. Wszak po drodze muszą się za nami rozglądać. Proponuję więc, albo natychmiast opuścić to miejsce, albo zostać tutaj i odbić jeńców.

— Mój brat Old Shatterhand ma słuszość. Co powie mój brat Emery?

— Natychmiast jechać! — oświadczył Anglik — Pieniądze już mamy; teraz musimy bezwarunkowo schwytać kochanego Jonatana. Jeńcom nic złego się nie stanie. Jeśli zwyciężą Nijorowie, zmusimy Mogollonów do wydania jeńców, a jeśli walka przyjmie niepożądany obrót, to w każdym razie możemy się tutaj przekraść, aby dokonać tego, czego teraz zaniechamy.

Zapytaliśmy również Dunkera, raczej z uprzejmości, niż dla zasięgnięcia rady. Nie mogliśmy mu zawierzyć decydującego głosu. Zgodził się z nami, ale wyskoczył jak Filip z konopi:

— Musimy się strzec Czerwonych, których wysłano w pościgu za mną.

— Czyż nie wrócili już do obozu? — zapytał Emery.

— Nie wiem na pewno, ale sędzę, że nie. Ścigali mnie, póki było jasno. U źródła, gdzieśmy się spotkali, zauważą, że natknąłem się na kilku jeźdźców, po czym wróciłem wraz z nimi do Białej Skały. Z taką wieścią przyjadą do obozu. Można sobie wyobrazić, j aki podniosą alarm.

— Nie przyjadą z taką wieścią — wtrąciłem. — Miarkuj pan to sobie, *master* Dunker. Od kwadransa wieje silny wiatr; z góry zaczyna kroić. Trzeba dodać, że już się ściemniło, kiedy opuściliśmy źródło. Prześladowcy pana nie byli tam jeszcze. Noc zapadła, zanim mogli nadejść. Aby nie zgubić pańskiego tropu, musieli się tam zatrzymać, gdzie ich noc zastała; gdyby, mimo to, pojechali do źródła, bądź w przypuszczeniu, że tam pana schwytają, bądź po to, aby napoić konie, to już nie zdołają rozpoznać naszych śladów. Ognia nie mieli przy sobie, czy też nie zapalali. Nie mówię o tym, że koń, na którym pan umknął, jest najlepszy i najśmiglejszy, jak przypuszczam, a zatem sami rozumieją, że nie zdołają pana doścignąć. Zachodzą dwie możliwości: albo zawrócili z drogi i znajdują się już w obozie, zaniechawszy pościgu, albo zatrzymali się na pańskim tropie, ale nadaremnie, gdyż, zanim dzień nastanie, deszcz, który pada coraz gwałtowniej, zatrze i zmyje wszelkie ślady.

— *Well*, bardzo słusznie, *sir!*

— Sędzę więc, że nie trzeba zwracać na nich uwagi.

— Jest tak, jak rzekł Old Shatterhand, — potwierdził Winnetou. — Za kwadrans spadnie ulewa. Znikną również ślady, które po nas zostały. Dosiądźmy koni!

— Czy Winnetou potrafi tak nas prowadzić, aby Mogollonowie nie deptali nam po piętach?

— Tak. Oni pojedą drogą, którą przebyliśmy wczoraj do źródła. Jeśli skrećimy nieco na prawo, to nas nie wytropią.

Znaczyło to, że mamy jechać równolegle do drogi Mogollonów. Tak się też stało. Mogła być druga w nocy, kiedyśmy opuścili miejscowość, w której doznałem ciekawej przygody pływackiej. Jazda stawała się dosyć nieprzyjemna, gdyż wiatr wzrastał się, a deszcz padał tak ulewny, że już po krótkim czasie nie zostało na nas suchej nitki. Dunkerowi i mnie było to obojętne: już i tak poprzednio przemokliśmy do skóry, głębiej zaś deszcz nie mógł docierać.

## OCALONE MILIONY

Jazda, która nas oczekiwała, wymagała od koni wiele wysiłku, ale nie mogło się im lepiej powodzić, niż ich panom. Konie odpoczęły w pueblo, podczas gdy my byliśmy zmuszeni czuwać. Następnie pod górą, gdzie Yuma chcieli nas napaść, spaliśmy bardzo mało, dziś zaś znowu nie zmrużyliśmy oka, a czy najbliższej nocy będziemy mogli wypocząć, to było bardzo wątpliwe wobec konieczności pośpiechu. Deszcz miał swoje zalety — orzeźwiał wierzchowce. Natomiast jeźdźcy, przemoczeni, nie byli w różowych humorach. Jeśli pogoda nawet piecucha tak nastraja, że przy dobrej jest w dobrym humorze, a przy złej w złym, nie można się dziwić, że ludzie, mknący po pustkowiu wystawieni na srogie działanie zawieruchy i ulewy, ulegają ponuremu nastrojowi. Dlatego jechaliśmy milczący i markotni za Apaczem, który, mimo deszczu zasłaniającego wszystko już w odległości pięciu kroków, nie zatrzymał się ani razu dla orientacji. Długo i na próżno mógłbym grzebać w pamięci, a nie przypominałbym sobie wypadku, kiedy Apacz zbłądził w tych razach, gdy twierdził, że zna miejscowość.

Skoro świt, znaleźliśmy się na rozległej prerii. Winnetou wskazał na lewo, na wschód i rzekł:

— Tam, w odległości półgodzinnej, przebiega droga, którą wczoraj przebyliśmy przed spotkaniem z Dunkerem. Oto już jasno; możemy przyspieszyć jazdę.

Zamiast się forsować, przejeżdżaliśmy przez godzinę milę. Ku naszemu zadowoleniu przed południem wiatr się uspokoił. Deszcz przestał padać; chmury rozerwały się i rozproszyły przed słońcem. Ciepło świetnie na nas podziałało, deszcz zaś spełnił swoją powinność, zatarłszy nasze ślady. Na długo przed południem Winnetou wskazał na wschód, gdzie nic zresztą nie było widać i rzekł:

— O godzinę drogi stąd wznosi się las, na którego skraju spotkaliśmy wodza Nijorów. Moi bracia przyznają, żeśmy dobrze jechali.

Las, który niebawem ujrzelśmy, biegł na południe. Minęliśmy go na przełaj i w południe zatrzymaliśmy się na przeciwległym skraju, aby dać odpoczynek koniom. Po niespełna dwóch godzinach odpoczynku podjęliśmy jazdę, ale tym razem w kierunku południowo — wschodnim. Na moje pytanie Winnetou wyjaśnił powód zmiany kierunku:

— Ujechaliśmy szmat drogi i nie ma obawy, żeby Mogollonowie natknęli się dzisiaj na nasze ślady. Dlatego wyjechałem na ich szlak, gdyż poznanie go może się przydać moim braciom.

Kiedy używam słowa szlak, czytelnik nie powinien sobie wyobrażać utorowanej drogi. Wjechaliśmy teraz na wysoki step, pełen piasku i kamienia, a ubogi w trawę. Chwilami natrafialiśmy na wzgórza, które trzeba było omijać. Nie dojrzałyś prawdziwych gór Mogollon, a z północo-wschodu Sierra Blanca. Mknęliśmy ku obszarom górnej Gila, nie spotykając zresztą ani strumyka ani źródła.

Dopiero koło wieczora wjechaliśmy na małą prerię w wilgotnej okolicy. Ujrzelśmy wnet krzewinę; u stóp wzgórza biło źródło, zatem był to obszar, nadający się do obozowania.

— Zatrzymujemy się? — zapytał Emery.

— Nie — odparł Winnetou.

— Ale wszak moglibyśmy napić konie!

— Tego Winnetou nie broni; ale potem jedziemy dalej, aby jeszcze przed zapadnięciem mroku przebyć las, który widzicie tam na południu, ... *uff!* Prędeż z koni!

Mówiąc o lesie, leżącym na południu, skierował tam spojrzenie, a my w jego ślady. Otóż zobaczyliśmy pięciu zbliżających się jeźdźców. Nie spostrzegli nas jeszcze, ponieważ, bardzo oddaleni, a my staliśmy w zagajniku, otaczającym źródło. Zeskoczyliśmy z koni i chwycili za broń, chociaż nie sprawiłyby nam kłopotu tak nieliczna garstka. Wyczekiwaliśmy, ukryci za krzewami.

Dosiadali świetnych rumaków. Nie mieli broni palnej, ale po bokach wisały torby zapchane zapasem żywności:

— Zwiadowcy — rzekłem.

— Nijorowie — potwierdził Winnetou. — Nie noszą żadnej barwy, ale nie mogą należeć do innego plemienia. Mimo, że są naszymi przyjaciółmi, musimy im dać nauczkę.

Miał słuszość. Wywiadowcy powinni być szczególnie przezorni. A owi? Nawet z bliskiej odległości nie spostrzegli, że nad źródłem ukrywają się ludzie. Nas samych, oczywiście, nie mogli zobaczyć, ale doświadczone oko dostrzegłoby teraz ślad, wijący się wśród niskiej trawy krechą ciemną. Oni zaś jechali sobie tak pewnie, jakby byli w pobliżu swej wioski. Kiedy zbliżyli się na dwadzieścia kroków, wysunęliśmy lufy poprzez krzewy i Winnetou zawołał w narzeczu Mogollonów:

— Stój! Ani kroku naprzód i ani jednego w tył bo was zastrzelimy!

Przerażeni zwiadowcy osadzili na miejscu rumaki i spojrzeli bezradnie na zagajnik.

— Który zawróci konia, dostanie pierwszą kulę, — groził Winnetou. — Zejdźcie z koni i rzućcie na bok swoje noże!

Zobaczyli nasze lufy: ja nawet wysunąłem obie strzelby. Jeden z nich zapytał:

— Któż to ukrywa się za tym zagajnikiem?

— Jest nas dziesięciu mężnych wojowników Mogollonów. Posiadamy świetne strzelby. Skoro nie usłuchacie, jesteście zgubieni. Nie możecie ani iść naprzód, ani cofać się wstecz, nasze kule trafią was niechybnie.

— *Uff!* Wielki Manitou opuścił nas. Chciał, abyśmy zostali jeńcami Mogollonów. Lecz nasi bracia odbiją nas!

Ten, który to powiedział, zsiadł z konia, wyciągnął nóż i rzucił wstecz. Pozostali poszli za jego przykładem. Stanęli przed swymi rumakami i zrezygnowani oczekiwali wrogów. Wówczas wystąpił naprzód Winnetou. Trzymał strzelbę w ręku, ale zwieszoną w dół, i rzekł karcącym głosem:

— Czy ludzie, którzy tak ślepo biegną w objęcia śmierci, zasługują na miano wojowników? Czy można takich ludzi wysłać na zwiady?

— *Uff, uff!* — zawołał jeden z nich. — Winnetou, wódz Apaczów!

— Kazano wam wybadać, co czynią Mogollonowie, a mieliście oczy zamknięte i jechaliście ślepo przed siebie.

— Wiemy, że Mogollonowie zamierzają wyruszyć dopiero za trzy dni, — usiłował się usprawiedliwić Nijora.

— Czy z tego powodu należało zaniewidzieć? Gdyby nawet nie było tu zastępów Mogollonów, to powinniście mieć na uwadze, że i oni wysyłają zwiadowców. Poczynaliście sobie jak chłopcy, którzy jeszcze imienia nie zdobyli. Gdybyśmy istotnie byli waszymi wrogami, nie wrócilibyście już do swoich. Zabilibyśmy was albo musielibyście jechać z nami, aby niebawem umrzeć przy palu męczarni.

— Nasz wielki brat może nas natychmiast zabić. Lepsze to, niż wysłuchanie słów, którymi do nas przemawia.

Nie był to pusty frazes; mówił z całą powagą. Przyłapany na niedbalstwie i skarcony przez Winnetou — to hańba najsrozsza, szczególnie jeśli dał się ktoś przyłapać na przeszpiegach. Biedni Indianie spoglądali w ziemię, straszliwie przygnębieni. Serce Apacza zmiękło. Odparł łagodniej:

— Winnetou nie jest waszym wodzem; nie chce, wam urągać, jedynie pragnie zwrócić waszą uwagę, że nawet w czasie pokoju, nawet w pobliżu własnego obozu należy mieć oczy otwarte. Kto was wysłał na wywiady?

— Szybka Strzała, nasz wódz.

— Czy przyprowadził ze sobą jakichś ludzi do obozu?

— Młodego białego i białego jeńca, którego nasi wojownicy bardzo surowo strzegą.

— Czy wiecie, kto mu tych ludzi wydał?

— Tak.

— A więc wiecie, kto jest wraz ze mną tam za zagajnikiem?

— Old Shatterhand i jeszcze jeden mężny wojownik.

— Słusznieś powiedział. Towarzyszy nam ponadto wojownik, który potrafi wytropić najbardziej ukryte ślady. Podnieście wasze noże i zbliżcie się z końmi do wody!

Usłuchali wezwania. Powitali nas pełnymi uszanowania gestami i stali z opuszczonymi oczami, niepewni naszej odpowiedzi. Byli zawstydzeni. Pragnąc pokrzepić ich na duchu, podałem jednemu po drugim dłoń i rzekłem:

— Moi bracia są mile przez nas widziani. Mogą się do nas przysiąc i powiedzieć, jakich wskazówek udzielił im ich mężny i mądry wódz.

Mój ton przyjazny i ta okoliczność, że Emery i Dunker również uściskali im dłonie, podziały na nich kojąco. Puścili konie na paszę i ten, który poprzednio mówił z Winnetou, odezwał się:

— Nasze oczy ujrzaly najmężniejszych myśliwych i wojowników, których sławą rozbrzmiewają góry i sawanny. Nie powinniśmy obozować u ich boku, niech nam pozwolą usiąść opodal przy wodzie, aby oglądać oblicze i chłonać mądrość ich słów.

— Moi bracia staną się wnet również znakomitymi mężami; mogą usiąść przy nas, inaczej będziemy sądzić, że uważają nas za wrogów.

Nie mogli się wymawiać. Usiedliśmy koło źródła, oni zaś w odległości, jaką zalecał szacunek. Winnetou powtórzył moje pytanie, dotyczące polecenia wodza. Nijora oświadczył:

— Szybka Strzała nie dał nam szczególnych poleceń. Mieliśmy jechać do Jasnej Skały lub, jeśli Mogollonowie już ją opuścili, poszukać ich i zasięgnąć wyczerpujących wiadomości.

— Czy chcieliście jechać wszyscy razem? — zapytał.

— Chwilowo razem, a później mieliśmy wysłać po kolei gońca z wiadomościami, tak, że zanimby Mogollonowie dotarli do Mrocznej Doliny, wyprzedziłoby ich pięciu gońców..

— Gońcy mieli wracać tylko do Mrocznej Doliny, nie zaś do waszej wioski?

— Tak jest. Czeka tam wódz.

— Z iloma wojownikami?

— Teraz z niewieloma; reszta pozostała jeszcze wiosce, aby przygotować mięsa i leki wojenne. Szybka Strzała powiedział, że prawdopodobnie przyłączą się do nas słynni wojownicy i będą wraz z nami walczyć.

Ponieważ, mówiąc to, spojrział na mnie pytająco, przeto rzekłem:

— Podążamy do synów Nijora. Chcieliśmy wam przynieść wieści i przyłożyć się radą i czynem do waszego zwycięstwa, gdyż wypaliliśmy z Szybka Strzałą *kalumet*. Ale, skoro was spotkaliśmy, możemy nie jechać do Mrocznej Doliny. Jeden z was natychmiast wróci, aby oznajmić wodzowi to, co mamy mu do powiedzenia; pozostali czterej zostaną z nami. Zawrócimy z drogi i pojedziemy znów na północ, aby odszukać i śledzić Mogollonów. Ilu wojowników możecie zebrać?

— Czterykroć po stu.

— Jeśli dobrze obserwowałem, Mogollonowie nie ściągną takiej liczby. Nie znam Mrocznej Doliny, w której zamierzacie ich schwytać, ale skoro ją wybrał Szybka Strzała, musi się nadawać na pole bitwy.

— Nadaje się bardzo; ale nie w obecnych okolicznościach — odezwał się Winnetou. — Mogollonowie dążą tam również, wyślą więc wywiadowców, aby przetrząsnęli dokładnie okolicę; dlatego lepiej napaść ich przedtem, to znaczy wówczas, kiedy się jeszcze nie będą spodziewać wroga.

— Czy znasz takie miejsce? — zapytałem.

— Tak. Miejsce to zowie się Łysiną Kanionu i leży o dwie godziny drogi od Mrocznej Doliny. Jest to trójkąt o skalistym gruncie. Jeden bok stanowi kanion o tak stromych ścianach,



że niepodobna się po nich wdrapać; z drugiej strony skała wznosi się pod górę, niczym mur, przez który tylko piechur może się z wysiłkiem przedostać, nigdy zaś jeździec. Na Łysinę można się dostać idącym stromo pod górę wąwozem, tak wąskim, że miejsce jest tylko na dwie osoby. Skoro ktoś wejdzie na Łysinę, ma z prawej strony głęboki kanion, przed sobą stromą skałę, a z lewej strony trzeci bok trójkąta. Stanowi go las, którego skraj jest zarośnięty gęsto krzewami. Kto zaś chce zjechać z Łysiny, musi jechać nad kanionem do miejsca, gdzie ściana skalna doń się zbliża. Między nią a kanionem zaczyna się druga, również wąska ścieżka, która prowadzi na dół na drugą stronę, a następnie do Mroczonej Doliny. Mój brat Szarlieh przyzna, że Łysina niezwykle nadaje do okrążenia i pokonania wrogów.

— Słusznie — odpowiedziałem. — Nie znam ani Łysiny, ani Mroczonej Doliny, nie wiem przeto, która miejscowość jest odpowiedniejsza. Ale skoro mój czerwony brat poleca pierwszą, nie wątpię, że się bardziej nadaje. Co teraz proponuje nam Winnetou?

— Jeden z Nijorów wróci do swego wodza i oznajmi, że powinien spotkać Mogollonów nie w Mroczonej Dolinie, lecz na Łysinie Kanionu. Wódz powinien zatem udać się tam i jedną połowę wojowników ukryć w lesie, drugą zaś za wysoką skałą.

— Ale w takim razie nie mogą dosiadać koni.

— Nie. Zostawią konie pod nadzorem kilku ludzi. A więc trzystu wojowników wejdzie na Łysinę, gdzie się podzielią. Stu pięćdziesięciu zaszyje się w lasku, a stu pięćdziesięciu zaczai za ścianą skalną. Skoro Mogollonowie wejdą na Łysinę, będą mieli przed sobą wrogów, z lewej strony również wrogów, a z prawej — głęboki kanion, w który nie mogą wszak skoczyć.

— Słusznie! Jeśli pojedą naprzód, zginą niechybnie, lecz czyż nie mogą się cofnąć do wąwozu?

— Nie. Nie mogą.

— Czemu to?

— Mój brat pyta? Czy się nie domyśla?

— Mogę się domyślić, gdyż Winnetou mówił o trzystu Nijora, podczas gdy ich jest, jakże myśmy się dowiedzieli, czterystu. A więc czwarta setka prawdopodobnie ma czatować na dole w wąwozie i nie puścić z powrotem wrogów, skoro już odważą się wejść na górę.

— Mój brat odgadł, ale czy mniema, że ta setka powinna się ukryć tam na krótko przed przybyciem wroga?

— Nie; wszak łatwo się zdradzić śladami. Zresztą sędzę, że stałoby się dobrze, gdybyśmy mieli ich przy sobie. Otóż właśnie! Teraz zawrócimy z drogi, aby szpiegować Mogollonów. Zawiadomimy Szybką Strzałę, aby nam nadesłał stu wojowników. Będą nam przydatni.

— Podzielałam twoje zdanie. Wszakże nie powinni jechać tą samą drogą, którą przybędą nieprzyjaciele, bo jeszcze się na nich niespodzianie natkną lub, co najmniej, zdradzą śladami.

— To prawda. Muszą obrać inną drogę.

— My zaś wyznaczymy im miejsce spotkania.

— Myślałem już o tym — i, zwracając się do Nijorów, zapytał: — Czy moi bracia znają Pinun-Tota?

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Pinun-Tota, wzniesienie, wijące się w wielu skrętach niby wąż. Dlatego nazywa się Wężową Górą.

— Tam właśnie powinien Szybka Strzała wysłać stu wojowników, i to zaraz po przybyciu wysłańca. Czy zrozumieliście wszystko, co wam powiedziałem?

— Tak.

— Niech więc jeden z was wyjedzie jako goniec, aby zawiadomić wodza.

Ponieważ Winnetou wydał już wszystkie polecenia, przeto dodałem:

— Goniec niech powie Szybkiej Strzale, że Mogollonowie są już w drodze. Czas więc nagli. Pojedziemy za nimi, skoro połączymy się z waszą setką wojowników, odetniemy im drogę powrotną, kiedy już dotrą do Łysiny Kanionu. Jak się nazywa ta miejscowość?

— Cieniste Źródło.

— A zatem wódz, wiedząc, żeśmy się spotkali u Cienistego Źródła, będzie mógł określić czas dokładnie. Muszę mu też przypomnieć, aby bardzo uważnie kazał strzec jeńca, którego mu przekazałem. Jeśli zbiegnie, niełatwo go będzie schwytać ponownie. Jak daleko stąd do Wężowej Góry?

— Na naszych rumakach trzy godziny drogi — odpowiedział Winnetou.

— W jakim kierunku należy jechać?

— W północno-wschodnim.

— A przybывamy z północno — zachodniego. A zatem droga do Wężowej Góry prowadzi w pobliże pueblo, w którym byliśmy?

— Tak.

— Jonatan Melton podążył z pięćdziesięcioma wojownikami w tym kierunku, aby nas schwytać. Hm! Wpada mi myśl do głowy. Jak daleko stąd do Mrocznej Doliny, w której zatrzymał się Szybka Strzała?

— Można być po pięciu godzinach.

— Jedziemy natychmiast do Góry Wężowej. Za pięć godzin goniec przybędzie do swego wodza, godzinę pochłona przygotowania do wymarszu, mogą przeto za jedenaście godzin dojechać do Cienistego Źródła i za czternaście do Góry Wężowej.

— Czemu taki pośpiech? — zapytał Winnetou.

— Dzięki niemu można będzie schwytać Jonatana Meltona i jego eskortę.

— Musielibyśmy jechać za nim aż do pueblo — zauważył Emery.

— Dlaczego? Czy myślisz, że tam pojechał?

— Rozumie się! Pragnie nas schwytać; podąży naprzeciw, a ponieważ nas nie spotka, więc dojedzie do pueblo, gdzie już nas nie zastanie. Kiedy następnie wróci, będzie już po rozprawie z Mogollonami i możemy go spokojnie oczekiwać. Dopiero wówczas, a nie wcześniej.

— Zapomniałeś o Żydówce.

— Ona? Hm! Prawdopodobnie wróciła do pueblo.

— Nie sądzę. Raczej mniemam, że pojechała do Jasnej Skały.

— A więc sądzisz, że Yuma ją odnaleźli?

— Na pewno. Rwała się do Meltona. Była już w drodze, poza tym dwa inne ważne powody odciągały ją od powrotu. Po pierwsze, przebyła już taki szmat drogi, że powrót trwałby niemniej czasu, niż droga do Jasnej Skały. A po drugie, wie dokładnie, że ścigamy Meltona. Boi się o niego; pragnie go ostrzec. Dlatego sądzę, że pojechała dalej.

— No i cóż?

— W tym wypadku Melton spotka się z nią po drodze. Dowie się, że podążyliśmy do Jasnej Skały i wróci czym prędzej, aby oznajmić to Mogollonom. Przyznajesz mi słusność, czy nie?

— Hm, nie mógłbym oponować. Dalej!...

— Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to spotkamy Meltona jeszcze zanim się połączy z Mogollonami. Skoro będziemy mieli przy sobie setkę Nijorów, łatwo sobie poradzimy z Meltonem i jego pięćdziesięciu wojownikami. W takim razie osiągnęlibyśmy podwójną korzyść: uszczuplimy zastępy Mogollonów o pięćdziesięciu wojowników i mamy Meltona w rękach.

— To brzmi bardzo pięknie i być może nawet, że masz rację, jak się najczęściej zdarza. Ale wątpię czy będzie z tego jakaś korzyść. Jeśli schwytemy pięćdziesięciu wrogów, to osłabimy nie tylko nieprzyjaciół, ale także i nas samych, ponieważ będziemy musieli wyznaczyć duży oddział specjalnie do strzeżenia jeńców.

— Dobrze, przyznaję. A następnie?

— I co z tego będziemy mieli, że schwytemy Meltona o dzień wcześniej? Jeżeli mu nie przeszkodzimy, to pojedzie z Mogollonami do Łysiny Kanionu i zostanie tam wraz z nimi okrążony. Tak będzie o wiele lepiej, niż o dzień wcześniej schwytać jego i pięćdziesięciu wojowników, ale przy tym osłabić się i stracić wiele czasu.

— To, co mówisz ma swoje podstawy i racje. Ale czy to indywiduum, skoro znajdzie swoją Judytę, istotnie pojedzie z Mogollonami — nie jest tak pewne, jak sądzisz. Tak często nam umykał, że wolałbym go mieć jak najwcześniej.

— Ale sam przyznałeś, że to nas osłabi.

— Nie tak bardzo, jak mniemasz. Stu rozbrojonych Indian wymaga nie więcej, niż trzydziestu straży. Zostanie nam jeszcze siedemdziesięciu wojowników.

— A sądzisz, że tylu wystarczy?

— Naturalnie. Nasze zadanie polega tylko na tym, aby Mogollonom, którzy wejdą na Łysinę, nie pozwolić się cofać. Ponieważ ucieczka jest tylko możliwa przez wąwóz szerokości dwóch jeźdźców, przeto, gdy dojdzie do rozprawy, najwyżej tylko sześciu, a nie siedemdziesięciu będzie mogło strzelać. Nie znam tej miejscowości, ale, sądząc z opisów Winnetou, podejmę się z dziesięcioma lub dwunastoma wojownikami bronić wąwozu wobec wszystkich Mogollonów. A zatem nie może być mowy o wielkim osłabieniu naszego oddziału.

— Mój brat dobrze mówił — potwierdził Winnetou. — Natychmiast podążymy do Góry Wężowej, wojownicy zaś Nijorów niech czym prędzej za nami jadą. Być może, wyślemy do Szybkiej Strzały jeszcze jednego lub kilku gońców.

Słowa Apacza były decydujące. Jeden z Nijorów odjechał, aby zanieść wodzowi nasze rady.

Może się wydać podejrzanym, że dotychczas jeszcze nie napomknąłem o pugilaresie, który zabrałem z namiotu Meltona. Byłem niezmiernie ciekaw jego zawartości, ale nie uważałem za stosowne otwierać go bez asysty prawowitego właściciela. Zdawało mi się, że towarzysze podzielali mój pogląd, gdyż nie potracali wcale o ten temat. Teraz jednak, kiedyśmy stali przy koniach, póki piły ze źródła, rzekł Długi Dunkier:

— *Sir*, myślimy o wszystkim i wszystkim się zajęliśmy. O jednym zapomnieliśmy, o tym, co jest rzeczą najważniejszą.

— O czym? — zapytałem.

— O pugilaresie. Powinniśmy go wszak otworzyć.

— Jego zawartość wcale nas nie obchodzi.

— To prawda, ale przynajmniej trzeba zajrzeć, czy to jest naprawdę ten pugilares. Wszak Melton mógł gdzie indziej schować pieniądze.

— Hm, oczywiście.

— Skoro pan przyznaje, wynika z tego konieczność zajrzenia przynajmniej, czy nie wiezie pan przypadkiem nieużytecznego fantu.

— Byłbym zadowolony, gdybym mógł powiedzieć właścicielowi, żeśmy nie otwierali pugilaresu.

— A to czemu? *Master* Vogel nie będzie miał nam tego za złe. Bądźże pan roztropny i zajrzyj do pugilaresu! Kiedy mam w kieszeni orzech, pragnę się przekonać, czy nie jest pusty wewnątrz. Przypuśćmy, że pan dmuchnął niewłaściwy pugilares, jakże to może nam zaszkodzić, jeśli nie będziesz o tym wiedział. Wszak trzeba koniecznie jasno sobie zdawać sprawę z sytuacji, *sir!* Będzie się pan obnosił z Bóg wie jakimi faramuszkami, a tymczasem prawdziwy skarb zniknie bezpowrotnie. A kiedy pan później wręczy niewłaściwy pugilares *master* Voglowi, to nie wiem, czy zechce panu podziękować za to, żeś się dlań trudził, a nawet życie narażał.

Miał całkowitą słuszność; wszyscy zresztą podzielali jego zdanie. Wyciągnąłem fant i otworzyłem. Był to pugilares do pieniędzy. Nie przemókł wewnątrz wcale. Każda przegródka zawierała skórzaną kopertę zamkniętą również skórzany języczkiem. Otworzyłem je i znalazłem w rozmaitych kopertach amerykańskie, angielskie, niemieckie, francuskie oraz inne jeszcze banknoty ogromnej wartości. Był to majątek, jaki rzadko kto trzymał w ręku, wyjąwszy oczywiście krezusów bankowych. Zdałem sobie z tego sprawę z pierwszego rzutu oka.

— *All devils!* — zawołał Dunker, łypiąc rozszerzonymi gałami. — To są co najmniej miliony! Cóżby to dał syn mego ojca, aby stary Hunter był jego wujkiem lub stryjem. Pozwól nam pan przeliczyć!

— Nie — odrzekłem. — Wiemy już teraz, że zabrałem właściwy pugilares. To nam wystarczy. Niechaj pierwszy przeliczy ten, do kogo te pieniądze należą.

Włożyłem koperty do przegródek, zamknąłem pugilares i schowałem. W jednym przedziale zauważyłem prócz pieniędzy jakieś papiery, nie wyjąłem ich jednak ze względu na Dunkera. Korzystając z mej, dobroduszości, być może, skłoniłby mnie do otworzenia ich i przeczytania.

Opuściliśmy Cieniste Źródło i pojechali na północny wschód. Przewodnikiem był nadal Winnetou. Nic ciekawego nie mogę powiedzieć o miejscowości. Noc zapadła. Niebo było usiane gwiazdami, a powietrze tak czyste, że mogliśmy gołym okiem obejmować dalekie horyzonty. Po zapowiedzianych trzech godzinach szybkiej jazdy, wyłonił się przed nami zwal wysoki i ciemny.

— Otóż i Góra Wężowa — rzekł Apacz, wskazując przed siebie.

Zakreśliliśmy łuk dookoła wschodniego, niskiego podgórze. Dotarłszy do północnej strony góry, mieliśmy ją i jej zalesioną poręcz po lewej ręce. Las wrzynał się licznymi rozgałęzieniami w równinę. Mknęliśmy po niej do źródła, gdzie zamierzaliśmy urządzić postój. Winnetou napomknął, że już wnet zbliżymy się do wody i naraz osadził konia.

— Cyt, ani słowa! — szepnął.

Przechylił się ku przodowi i przyłożył ręce do pysków końskich, aby zapobiec parskaniu.

— Cóż takiego? — zapytałem po cichu. — Czy widziałeś coś?

— Nie, poczułem.

Wciągnął w nozdrza powietrze i powiedział:

— Czuję ogień.

— Gdzie?

— Wprost przed nami. Pewno nad źródłem. Niechaj moi bracia na mnie poczekają!

Zeskoczył z konia i podał mi cugle.

— Czy do źródła tak blisko, że dotrze tam parskanie naszych koni?

— Wprawne i czułe ucho może dosłyszeć. Dlatego lepiej będzie, jeśli cofniecie się nieco.

Winnetou zniknął wśród krzewin, które zamierzaliśmy objechać. Cofnęliśmy się i zatrzymaliśmy w dostatecznie wielkiej, jak sądziliśmy, odległości. Upłynęła długa chwila, zanim Apacz wrócił. Ja osobiście nic nie czułem; on, człowiek natury, miał tak wyćwiczone i czułe zmysły, że czasem po prostu nie mogłem się powstrzymać od podziwu. Wrócił wreszcie i siadł wyprostowany, co było znakiem nieomylnym, że żadne niebezpieczeństwo w tym miejscu nam nie grozi.

— Moi bracia ucieszą się, skoro im opowiem kogo widziałem — rzekł.

— No, kogo? — zapytał Dunker, najciekawszy spośród nas.

— *Squaw*, która zwie się Judytą.

— Do wszystkich par diabłów! Chętnie bym ją zobaczył. Naopowiadaliście mi tyle o owej osobliwej *lady*, że ochota mnie bierze stanąć z nią oko w oko.

— Nie minie to pana, *master* Dunker, — rzekł Emery. — Nie tylko ją zobaczysz, ale nawet będziesz mógł się z nią rozmówić.

— Jak to się rozmówić? — zapytałem.

— No, wreszcie schwytamy ową gołębicę? Jeśli pozostanie na wolności, może nam wyrządzić niejedną szkodę.

— Wątpię. Przecież mamy pojmać ostatecznie naszego drogiego Jonatana.

— Naturalnie.

— Melton wyjechał na nasze spotkanie. Skoro nikogo w drodze nie znajdzie, pomyśli, że jesteśmy w pueblo, i tam pojedzie. Jeśli pozwolimy mu wysforować się tak daleko, może

umknąć, a nawet śmiem twierdzić, że na pewno umknie. Natomiast, jeśli spotka swoją Judytę, dowie się od niej, że tutaj jesteście. Nie pomknijcie do pueblo, jeno zostanie na miejscu, aby na czele Mogollonów schwytać nas w niewolę. Czy nie mieści ci się to w głowie?

— Miałbyś słuszość, gdyby się sprawdziło twoje przypuszczenie, że spotka się z Judytą. Ale czy to pewne?

— No, niezbyt, — przyznałem nieco strapiiony.

— A zatem lepiej schwytać Judytę!

— — Nie — odezwał się Winnetou. — — Nie powinniśmy jej chwytąć, gdyż spotka się z Meltonem.

Przemówił z taką pewnością, że ja się nawet zdziwiłem.

— Mój brat zdaje się, o tym nie wątpi? Przyznaję, że nie mam tej pewności.

— Jeśli Jonatan nie jest ślepy, jeśli jego pięćdziesięciu Mogollonów posiada oczy, to na pewno natkną się na białą *squaw*.

Powiedziałem już, to droga do pueblo leży w odległości pół godziny jazdy. Równina jest zupełnie jałowa, pozbawiona zarówno skał, jak drzew i zagajników. Biała *squaw* rozpałała takie ognisko, że można — by przy nim upiec wielkiego bawołu i widać je z odległości większej, niż ta, na której leży droga do pueblo.

— Ślicznie! Kiedy Melton pojedzie tamtędy lub jeśli jest w pobliżu, od razu zobaczy ognisko. Cóż jednak, jeśli jeszcze go nie ma lub jeśli już go nie ma?

— Nie mógł jeszcze tamtędy przejechać. Byliśmy wprawdzie daleko, aż przy Cienistym Źródle, ale dosiadamy ognistych biegunów, a poza tym gnał nas pośpiech. Melton i jego oddział nie ma takich rumaków. Nic ich szczególnie nie nagliło. Jeśli, jak przypuszczam, rozwinęli normalną szybkość indiańską, to nie mogli jeszcze minąć tej okolicy. Ponieważ źródło, nad którym obozuje Judyta ze swoim oddziałem posiada najlepszą w okolicy wodę, a ponadto Mogollonowie przyjdą tutaj na czas wypoczynku, przeto jest wielce prawdopodobne, że skierują się ku wodzie.

— Toż to byłoby *gaudium* nie lada! — uśmiechnął się Anglik. — Za jednym pociągnięciem schwytam całą klikę: Judytę, Jonatana, Yuma i Mogollonów.

— Ciszej! — przerwałem mu. — Przede wszystkim nie ma tu jeszcze tych, których chcesz schwytać, a następnie zachodzi pytanie, czy w ogóle się zjawia.

— No tak, więc, cóż teraz mamy począć? — zapytał.

— Czekać, oto wszystko. Chciałbym się podkraść pod biwak. Winnetou był już tam, zna więc miejscowość i zaprowadzi mnie. Nie wiadomo, co może się przytrafić, lepiej tedy zbadać, gdzie będzie najbezpieczniej urządzić postój.

Objechaliśmy wschodnie zbocze wzgórza i znaleźli się na stronie południowej, gdzie nam nie mogło grozić. Zsiedliśmy z koni. Emery i Dunker musieli tu zostać wraz z czterema Nijorami, ja zaś i Winnetou ruszyliśmy znów na drugą stronę.

Dotarliśmy do miejsca, w którym Winnetou wyczuł zapach ogniska. Apacz nie obrał drogi poprzedniej, mianowicie nie zaszły się w zagajnik, lecz poszedł na lewo ku stromemu zboczu, gdzie wznosiły się drzewa. Skorośmy dotarli, nie było już nad nami gwiazd, mrok zalegał dookoła. Omackiem posuwaliśmy się dalej; Apacz szedł na przodzie, ja za nim. Tak nam upłynął kwadrans, ponieważ musieliśmy się mieć na ostrożności i posuwać cal za cal.

Wreszcie wskroś drzewa zobaczyliśmy blask ogniska. Teraz widzieliśmy dokładniej i mogliśmy szybciej się poruszać. Ale też musieliśmy podwoić ostrożność. Pełzaliśmy w cieniu drzew. W pewnej chwili, przysunąłem się do Apacza, odwrócił głowę i szepnął:

— Uraduje mego brata położenie miejscowości, do której go zaprowadzę. Chyba rzadko widział stanowisko tak dogodnie do podglądania.

Miał słuszość. Leżeliśmy na wysokości czterech łokci nad poziomem obozu Judyty. Woda sączyła się pod nami ze skały. Zdawało się, że z naszego miejsca niepodobna było zejść na dół; ale tylko się tak zdawało, gdyż właściwie rosły tu sosny gęsto obok siebie, rozpościerając

gałęzie nisko nad ziemią i dzięki temu tworząc najlepszą, jaką można sobie wymarzyć, kryjówkę.

Winnetou znikł pod najniższymi gałązkami; poszedłem za jego przykładem. Posuwaliśmy się pod osłoną sosen, aż wreszcie dotarliśmy do ostatnich pni na dole.

W pobliżu, z lewej strony, biło źródło ze skały; na prawo wznosiła się góra. Źródło rozlewało się w jezioro, skąd strumień rwał dalej. Po drugiej stronie tego jeziora siedziała piękna Judyta przed szałasem, skleconym przez Yuma z na ukos splecionych gałęzi i krzewów, zbytek, na jaki mogła sobie pozwolić tylko tak wybredna dama. Koło Judyty przykucnął czerwony. Rozmawiali. Płomienie ogniska rozlewały się szeroko i strzelały w górę jasnymi językami. Miał słusność Winnetou: można było upiec przy nim całego bawołu. Tak beztrudno dogadzać sobie mogli tylko Yuma, którzy zapomnieli swe dawne zwyczaje. Siedzieli dokoła buchającego płomienia, który zdawało się, lizał aż niebiosy. Chociaż Żydówka rozmawiała z czerwonym po cichu, słyszeliśmy wszystko, leżeliśmy bowiem w odległości normalnego wzrostu męskiego. Drab był naszym byłym gospodarzem. W jego to domu, niedaleko pueblo, napadli na nas Yuma.

— Czyż to miejsce nie jest piękne i wygodne? — szepnął Winnetou.

— Wyśmienite! Znałeś je od dawna?

— Nie. Leżałem poprzednio z przeciwległej strony ogniska w zagajniku. Stamtąd zobaczyłem sosny i powiedziałem sobie od razu, że stanowią pewną kryjówkę. Źródło istotnie znałem od dawna, ale kiedy zawitałem tu przed laty, drzewa nie były jeszcze tak rosłe i wspaniałe.

Tak, nasze stanowisko było jak gdyby stworzone do podpatrywania. Wszelako ściągało na nas jedno wielkie niebezpieczeństwo: gałęzie, które służyły, za osłonę, rosły tak nisko nad ziemią, że to prawdziwą sztuką było przekraść się pod nimi, nie poruszając ich i nie zdradzając się szelestem. Winnetou po mistrzowsku radził sobie z wszelkimi trudnościami.

A zatem poszczęściło się nam od razu, ale jeszcze bardziej, o wiele bardziej, kiedyśmy zaczęli podsłuchiwać i podglądać. Z początku polegało to szczęście na tym, że Judyta i Czerwony rozmawiali właśnie o nas. Słyszeliśmy jak Yuma rzekł:

— Senior Melton błędnie postępował. Nie u mnie należało napaść na owe psy. Dom dawał im osłonę; mogli się bronić, a przy tym zwierzyli, że muszą się mieć na baczności.

— Chcieliśmy pojmać ich żywcem.

— W tym sęk. Przecież i tak mieli umrzeć. Czemuż więc nie od razu?

— W samej rzeczy. Toteż żałowałam później bardzo. Pobudziliśmy ich do przezorności i dzięki temu uszli cało. Ale nie wymkną się nam powtórnie.

— A onegdaj wieczorem, tam nad, skałą! Jak pięknie i łatwo było ich zastrzelić! Ale chcieliście czekać, aż zasną. To był błąd nie do naprawienia. Wszak panował gęsty mrok, a wichur był tak przeraźliwie, że na pewno nie zauważonoby nas, kiedy byśmy się zbliżyli. Mogliśmy podkraść się na odległość niewielu kroków, a wówczas nie zmarnowałyby się żadna kula. Z nadmiernej przezorności odstępiliśmy od zamiaru. Te psy zapędziły w kozi róg i nas, i całą naszą przezorność.

— Ale nic nam się nie stało, chociaż mogliśmy dać gardła.

— Lękają się zemsty i nie znoszą widoku krwi. Mam nadzieję, że wkrótce ich zobaczymy, koło Jasnej Skały. Niech inni biadają o tym, co się stało, a nie odstanie; ja patrzę tylko w przyszłość i wiem, że zdobędę skałpy Winnetou i jego białych twarzy.

Tak mówiąc, wyciągnął nóż i wściekłym gestem przeszył powietrze. Był nader przejęty. Cóżesmy mu właściwie wyrządzili, że pałał do nas taką nienawiścią? Nic, kompletnie nic. Pobudzić go do niej mogła jedynie pomoc, niesiona przez nas hacjenderowi z Sonory i nieszczęsnym emigrantom. Ale od tego czasu upłynęło sporo miesięcy. Oszczędzaliśmy Yuma wbrew obyczajom prerii; zawarliśmy z nimi pokój. Ten człowiek był brutalny, nawet ponad

zwykłą indiańską miarę. Kiedy przyjrzałem się bestialskiemu wyrazowi jego twarzy, zrozumiałem, czemu opuściła go *squaw*.

— Wątpię, czy dostaniesz te skalpy, — odpowiedziała jego władczyni.

— Czemu?

— Nie jesteś sam. Skoro tylko przybędziemy do Jasnej Skały i skoro opowiem seniorowi Meltonowi i Mogollonom, że szubrawcy uciekli i jadą do nich, natychmiast rozpocznie się wielka obława na owe psy. A wówczas skalpy zedrą z nich Mogollonowie.

— Zadowolę się tym, że zobaczę właścicieli skalpów przy palu męczeńskim. Pragnę, aby...

Nie mógł dokończyć zdania, ponieważ:

— *Uff, uff, uff.* — rozległo się przy ognisku.

Yuma skoczyli na równe nogi i wrzili z początku zdumione, a następnie uradowane spojrzenia skierowali na człowieka, który wystąpił z zarośli. Widzieliśmy go także. Był to Melton.

— Jonatan! — zawołała Judyta, zrywając się z ziemi.

— Judyta! — odpowiedział.

Padli sobie w objęcia. Odpowiedzi krzyżowały się z pytaniami:

— Skąd przychodzisz? — zapytał.

— Z pueblo. A ty?

— Z Jasnej Skały. Dokąd dążysz?

— Do Mogollonów. A ty?

— Do pueblo, do ciebie, jak łatwo możesz sobie wyobrazić.

— Czemu to? Czemu chcesz wracać, skoro tak szczęśliwie się wymknąłeś?

— Ponieważ chcę mieć tych, przed którymi uciekłem.

— Nie ma ich już tam. Podążyli do Jasnej Skały.

— Do piorunów! Czy wyprzedzili was, czy też są za wami?

— Wyprzedzili.

— A zatem wcześniej wyruszyli z pueblo?

— Tak.

— Jak dawno?

— Wyjechaliśmy natychmiast po nich. Lękałam się o ciebie.

— A zatem nie dotarli jeszcze do Jasnej Skały.

— Owszem, ubiegli nas znacznie. Schwyтали mnie po drodze i zawlekli na pustkowie, gdzie rzucili na łaskę losu. Nie znałam okolicy. Błąkałam się przez cały dzień. Potem całą noc przeleżałam pod gołym niebem sama jedna, to było straszne, aż nareszcie znaleźli mnie nasi Yuma. To pozwoliło wrogom ubiec nas o przeszło dzień drogi.

— A zatem mogli już dziś rano przybyć do Jasnej Skały! Kto by to pomyślał! Nie spotkaliśmy żadnych śladów. Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Ale powiedz przede wszystkim: Vogel wciąż tkwi jeszcze w korytarzu pueblo?

— Nie; znaleźli go i uwolnili.

Tupnął nogą o ziemię i zawołał wściekle:

— Diabeł musiał im chyba drogę wskazać albo ty!

— Nie mogę zarzucić sobie braku przezorności! Nie uwierzysz, jak ja, dama, byłam przez nich traktowana! Odkryli drogę, która prowadziła z mojej kuchni, a nawet drogę podwodną.

— A zatem muszę ich schwytać. Muszę, muszę! Niech zjedą z tą tajemnicą do grobu, inaczej bowiem w żadnym zakątku ziemi nie będę bezpieczny! Ale dlaczego nie ma przy tobie mego ojca?

— Ojciec twój jest z nimi. Zaskoczyli go w mieszkaniu, związali, zakneblowali i zawlekli ze sobą.

— To jest... jest... niestety... nieszczęście... na które... nie byłem przygotowany! — wykrztusił. — Dobrze przynajmniej, że ojciec schował pieniądze pomiędzy cholewy!

— Dobrali się i do cholew — wyznała Judyta.

— W takim razie są te łotry w sojuszu ze wszystką złą mocą piekieł! Ja... ja muszę usiąść!

Bardziej go frapowało, że pieniądze zostały odkryte niż to, że ojciec został schwytany. Judyta zaprowadziła go do szałas. Usiadł przed nią, ona zaś obok niego. Nie zwracał na nią uwagi. Wparł łokcie w kolana i ukrył twarz w dłoniach. Namawiała go, aby się uspokoił; nie odpowiadał, nie poruszył się nawet.

Przesunąłem głowę do Apacza i szepnąłem:

— Czy go schwytamy? To łatwa rzecz. Wskoczmy z ukrycia, uchwycimy go za kołnierz i znikniemy z Jonatanem w lesie, gdzie nas już nie znajdują. Zarówno on, jak Indianie skamienieją ze strachu.

— Tak, powinnyby się udać, a jednak zaniechamy tego.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie powinniśmy się jeszcze ukazywać. Skoro tylko Mogollonowie się dowiedzą, że jesteśmy za nimi, będą przezorni i udaremnią nasz świetny plan.

— Tak, to prawda. Musimy z tego zrezygnować, a przecież moglibyśmy go mieć tak łatwo i tak pewnie.

— Niebawem go też będziemy mieli. Winnetou wie już, gdzie i jak się to stanie. Będziemy mieli nie tylko jego samego, ale także pięćdziesięciu Mogollonów. Może brat mój sądzi, że i oni są już tutaj?

— Nie sądzę. Jest tak, jak poprzednio przewidziałeś. Przybył do tej miejscowości, zobaczył ognisko i... posłuchajże!

Melton tymczasem uspokoił się znacznie. Kazał Judycie opowiedzieć przebieg wypadku, od czasu gdy wyjechał z pueblo. Mówiąc o nas, wyrażał się tak, że niepodobna tego powtórzyć. Słuchał, nie odpowiadając ani słowem, jakby wchłaniając każde jej zdanie. Skoro skończyła, odezwał się po cichu:

— Staralaś się zapobiec nieszczęściu. Nie mogę cię potępiać. Te szuje są ludźmi szczególnej kategorii. My, to *znaczy* ojciec, stryj i ja, postępowaliśmy niewłaściwie, inaczej bowiem moglibyśmy w spokoju i pewności korzystać z majątku. Skoro nie mogliśmy skończyć z nimi w Tunisie, powinniśmy byli przede wszystkim, porzuciwszy wszystkie inne sprawy, załatwić z nimi porachunki. Apacz leżał chory w Anglii, wiedzieliśmy o tym. Mogliśmy pojechać i... Żaden kogut nie zapiałby w obronie tych drabów! A następnie później, bodajbyśmy zostali w Nowym Orleanie i postępowali inaczej, zgoła inaczej! Najpilniejszą rzeczą było usunięcie Shatterhanda i Apacza. Anglika mogliśmy się nie lękać. Ten brak przedsiębiorczości mści się teraz na nas!

— Nie mów tak! — dodawała mu otuchy Judyta. — Co jest, właściwie, straconego? Tymczasem nic jeszcze, absolutnie nic!

— Jeśli już nic więcej to stracona jest przynajmniej kwota, którą miał przy sobie ojciec.

— Wcale nie! Skoro te szelmy wpadną w twoje ręce, odzyskasz z powrotem pieniądze, które zagrabili twemu ojcu. Musisz go wyzwolić, musisz!

Błysnął na nią dziwnym spojrzeniem i zapytał:

— Czy tak bardzo ci na nim zależy?

— Na nim nie, ale na tobie i na pieniądzech.

— Otóż właśnie mogą z nim zrobić co zechcą; nie będę się wcale zastanawiał. Czy mniemasz, że czuję się przy nim bezpiecznie?

— Nie? — zapytała zdumiona.

— Nie! Wprawdzie nie przyznawał się do zbrodni, zwałił ją na Old Shatterhanda i Winnetou, ale ja wiem na pewno, że to on zakatrupił brata, aby się samemu uratować i zagarnąć jego pieniądze. Bratobójca potrafi przecież zgładzić własnego syna.

— Niebiosa! — zawołała. — Uważasz to za możliwe.



— Tak. Potrafi ukraść mi pieniądze i zbiec. Dlatego pojechałem z tobą, nie z nim. Dlatego w pueblo nie powinien był wiedzieć, gdzie ukryłem pieniądze. Gdybym z nim mieszkał, nie miałbym ani przez godzinę spać spokojnie. Zdobędzie się nie tylko na rabunek, ale, gdy idzie o jego życie, nawet na synobójstwo. A zatem oswobodzę go, choćby mimo woli, skoro schwytam naszych wrogów; ale potem rozstanę się z nim na zawsze. Dostanie tyle, aby mógł żyć spokojnie, ale nie dam mu sposobności do zagrabienia większych sum. Dostyc o tym! Rzecz najważniejsza, że nasi prześladowcy są przy Jasnej Skale. Jak to dobrze, że zabraliśmy adwokata i śpiewaczkę!

— Jakiego adwokata? Jaką śpiewaczkę?

— Pytasz, ach, tak, nie możesz o tym wiedzieć. Pomyśl tylko, Murphy udał się za nami w pościg!

— Ten? Czy oszalał?

— Chyba, inaczej bowiem nie zapuszczałby się w takie pustkowie. W Albuquerque spotkał siostrę Vogla.

— A ona pojechała z nim? Czy spotkałeś ich w drodze?

— Tak. Wpadli w ręce Mogollonów. Oczywiście, nie wrócą już na Wschód. Mieli dopiero podczas wyprawy wojennej...

— Wyprawy wojennej? — wtrąciła.

— Tak. Mogollonowie wyruszyli przeciwko Nijorom. Starcy, kobiety i dzieci, zostali oczywiście na miejscu, a z nimi mieli zostać jeńcy — śpiewaczka i adwokat; ale udało mi się nakłonić wodza, żeby ich zabrał ze sobą. A zatem, Winnetou i jego kamracy nie zastaną już pod Jasną Skalą naszych jeńców. Murphy i siostra Vogla jechali powozem, kiedy napadli ich Mogollonowie. Umieszczono ich teraz w tym samym powozie. Wódz z początku niechętnie, ale później całkowicie uległ moim namowom. Silny Wicher musiał być ongiś wielkim przyjacielem twego męża: wnioskuje to z wyśmienitego przyjęcia, jakiego doznałem. Wszelako nie jest to człowiek odpowiedni do moich planów. Wydaje się prostodusznym, surowych zasad czerwonoskórym. Tylko dzięki temu, że przedstawiłem Old Shatterhanda i Winnetou jako przyjaciół i obrońców Nijora, mogłem wodza usposobić do nich wrogo.

— A więc nie obroni ich, skoro wpadną w jego ręce?

— Nie. Musiałem wezwać na pomoc cały zasób fantazji i pomysłowości. Diabli wiedzą, czego te dwa draby cieszą się takim poważaniem nawet u wrogich plemion, że mogą się ważyć na najzuchwalsze, dla innych niemożliwe czyny. Wywołałem w wodzu pewne niezadowolenie, ale nie poprzestałem na tym. Wysłałem z palca parę pięknych, wymownych opowiadań. Wywarły odpowiednie wrażenie. Nie byłem pewien czy moi prześladowcy ścigają mnie; ale, jak wiadomo, mają kolosalne szczęście w odnajdywaniu śladów. Przypuściłem, że mogli bodaj i na mój trop wpaść i podążyć do Jasnej Skąły. Musiałem się więc postarać, aby ich tam nie powitano jako przyjaciół i sądzę, że nie traciłem czasu i wysiłku na próżno.

— Jak ci już powiedziałam, wiedzą, że tam jesteś. Co uczynią, skoro cię nie znajdą?

— Pojadą w ślad za mną.

— Ale nie wiedzą, dokąd!

— Czyżby? Mylisz się wielce, jeśli tak sądzisz. Nie ma na całym świecie takich szpiegów i zwiadowców, jak ci dwaj.

— Myślisz, że się wypytają w obozie Mogollonów?

— Ani myślą, gdyż w tym wypadku ktoś z obozu, chłopak bodaj, natychmiast pojedzie do wodza i zawiadomi o gościach. Ci spryciarze nie pytają ludzi. Żdźbło trawy, kamuszek, gałązka złamana lub wytłamszona, kałuża powie im wszystko, czego pragną, możesz mi wierzyć. O tym słyszało się więcej, niż setkę razy. Dodajmy, że Długi Dunker spotkać się może z nimi.

— Długi Dunker? Któż to?

— Znany zwiadowca i przewodnik, który towarzyszył Murphy'emu. Wpadł do niewoli, ale tak go kiepsko strzeżono, że zdołał w jasny dzień ściągnąć najlepszego i najszybszego rumaka i

uciec. Indianie puścili się za nim natychmiast, ale koło północy wrócili z pustymi rękoma. Jeśli ten spotkał naszych prześladowców, to na pewno poinformował ich o wszystkim. A w takim razie nie pojechali zapewne ku Jasnej Skale, lecz skręcili na południe.

— Aby prześladować Mogollonów?

— Nie. Wszak wobec takiej przewagi niczego nie dokażą, jakkolwiek to zuchwalcy, którzy się nikogo nie ulęką. Jeżeli spotkali Dunkera, to pojechali do Nijorów, aby ich uprzedzić o zamiarach Mogollonów.

— Czy sądzisz, że przez to coś osiągną?

— Czy tylko coś? Powiadam ci, osiągnęliby bardzo wiele, a nawet wszystko, gdybym był głupcem i nie miał się na ostrożności i ze swej strony nie zawiadomił o wszystkim Mogollonów. Pragną mnie schwytać, uwolnić adwokata i śpiewaczkę, a nie potrafią tego dokonać bez odpowiednio licznej pomocy. Otóż tę pomoc znajdą u Nijorów. Na szczęście, nie mogą się szybko poruszać, gdyż wloką ze sobą jeńca, mego ojca, który będzie im w drodze zawadą. Może mylisz, że go się pozbyli? Przecież wiesz, jak go traktowali w pueblo?

— Bardzo surowo; ale skoro nawet w walce niechętnie zabijają wroga, to tym bardziej nie wierzę, aby ojca twego zgładzili.

— Wolałbym... Pozbyłbym się starego na zawsze i miałbym jego pieniądze, oczywiście dopiero po schwytaniu wrogów. Muszę także dostać broń Old Shatterhanda. Powiadają, że, przynajmniej dla *westmana*, stanowi prawdziwy majątek. Zresztą, czy mój ojciec żyje czy nie, skoro świt muszę stąd wyjechać, aby ostrzec Mogollonów. Naturalnie ty i Yuma pojedziecie ze mną, inaczej bowiem nie byłbym pewny, czy nie wpadniecie w ręce wrogów. A wówczas nie ograniczyliby się do sprowadzenia cię na manowce.

— Czy znasz drogę, którą obrali Mogollonowie?

— Tak. Wyruszyli do Głębokich Wód i jutro wieczorem zatrzymają się nad Cienistym Źródłem. Tam właśnie ich spotkam.

— Przecież nie wiesz, gdzie jest to źródło. Nigdy jeszcze nie byłeś w tych stronach.

— Moi Mogollonowie znają drogę. Wódz dał mi pięćdziesięciu wojowników do pomocy przeciwko Winnetou i jego towarzyszom. Zostawiłem ich niedaleko stąd. Chcieliśmy popasać nad źródłem, gdy oto zobaczyliśmy ognisko. Zatrzymaliśmy się i wysłali wywiadowcę. Oznajmił, że widział białą *squaw* i garstkę czerwonych wojowników. Naturalnie od razu pomyślałem o tobie i przyszedłem osobiście, aby sprawdzić słuszność przypuszczenia. A teraz wrócę do swoich Mogollonów, aby ich tutaj sprowadzić.

Podniósł się. Judyta również wstała i rzekła:

— Przyrowadź ich! A więc istotnie uważają cię za przyjaciela?

— A zatem twój majątek jest pewny?

— Naturalnie

— Tyle pieniędzy! Może to skusić nawet Indian!

Uderzył ręką o torbę skórzaną, która wisiała na nim, była to ta sama torba, z której wyjąłem pugilares; i rzekł:

— Tu tkwią miliony! Oczywiście, nie domyśla się tego żaden Mogollon. Pozwoliłem nawet niektórym zajrzeć do wnętrza i obejrzeć parę gratów, które nie mogą im się przydać. No więc, idę i będę z powrotem za jakieś dziesięć minut.

Oddalił się szybko. Oboje rozmawiali po angielsku i nie krępowali się obecnością Yuma, mimo że rozmowa ich zatraciła o głęboko skrywane tajemnice. Musieli chyba być pewni, że Indianie nie władają angielskim na tyle, aby ich zrozumieć. Dotknąłem Winnetou i zapytałem:

— Czy wycofujemy się?

— Nie — odparł szeptem. — Czekamy, aż przybędzie oddział Mogollonów. Powstanie hałas i zgiełk, a poza tym nikogo w pobliżu nie będzie.

Ten niezrównany Apacz wszystko brał pod rozwagę i umiał, jak chyba nikt inny, korzystać z każdej sposobności, z każdej sytuacji. Niebawem usłyszeliśmy tętent kopyt końskich. Ukazali

się Mogollonowie. Powstał taki harmider dookoła ogniska, że mogliśmy wypełznąć spod drzew, nie obawiając się, iż wykryje nas czyjeś wprawne oko lub ucho.

Wróciliśmy tą samą drogą. Wyszliśmy z lasu i kroczyli wzdłuż góry. Zapytałem Winnetou:

— Czy mój brat pojął wszystko?

— Wszystko — potwierdził.

— Oboje są teraz bardziej szczerzy ze sobą, niż należałoby przypuszczać.

— Tak. Jonatan opowiedział białej *squaw* nawet to, co się zdarzyło w Tunisie. Przypomina on grzechotkę dziecięcą, co wciąż bezdusznie grzechocze.

— A ona jest równie zła, jak on.

— Gorsza nawet, gdyż zło, czynione przez kobietę budzi większą odrazę, niż czynione przez mężczyznę. Ale to woda na nasz młyn, że się spotkali dzisiaj i właśnie na tym miejscu.

— Tak, stało się zgodnie z przewidywaniem mojego brata Winnetou. Mogollonowie chcieli tutaj rozłożyć obóz i z dala zobaczyli ognisko. Powiedziałeś, że schwytamy całą bandę. Czy i teraz to utrzymujesz?

— Tak, przy Głębokich Wodach.

— Gdzież to jest.

— Zobacysz. Powinniśmy tam być, zanim oni przybędą.

— Przecież musimy czekać na naszych Nijorów. A tymczasem, Jonatan Melton zamierza wyruszyć ze świtem.

— Uczynimy to samo. Co więcej, wyruszymy wcześniej i pojedziemy na spotkanie Nijorów. Jeśli ich wódz usłuchał naszych wskazówek, to zetkniemy się z nim w czasie właściwym i przybędziemy do Głębokich Wód jeszcze przed Meltonem.

— Jest to, zdaje się, jezioro?

— Wznosiła się tam górą która pluła ogniem. W Nowy Meksyku i Arizonie jest jeszcze takich gór niemało. Ta natomiast zapadła się, zapewne po trzęsieniu ziemi i utworzyła głębię, w której skupia się woda.

— Czy to jezioro leży na drodze do Cienistego Źródła, że Mogollonowie muszą je wyminąć?

— W rzeczy samej. Wszelako mogliby skrócić na prawo lub lewo, ale nie uczynią tego, gdyż aż do Cienistego Źródła nie znaleźliby wody dla koni. Na pewno pojedą tamtędy.

— Czy będziemy się mogli tam ukryć, aby zawczasu nas nie zauważyli?

— Tak. Mój brat sam się przekona, skoro tam przybędziemy.

Doszliśmy do krańca wschodniego rozgałęzienia Góry Wężowej i mieliśmy skrócić, kiedy zobaczyliśmy zbliżających się dwóch ludzi. Było dosyć jasno, aby poznać, że jednym był Ermery, a drugim Dunker. Oni także nas poznali. Anglik zawołał, oczywiście stłumionym głosem.

— Bogu dzięki, że tu jesteście! Lękaliśmy się o was.

— I chcieliście przyjść? — zapytałem. — Dowiedcie się o wszystkim. Wracajmy do obozu!

Nijorowie zostali przy koniach. Skorośmy się zbliżyli, usiadłem i chciałem opowiadać, ale Winnetou, który myślał zawczasu o wszystkim, rzekł:

— Mój brat niechaj jeszcze poczeka! Ważniejszą rzeczą, niż jego relacja, jest to, co oznajmię temu młodemu wojownikowi.

I zwracając się do jednego z wywiadowców:

— Czy mój brat zna drogę, którą setka spodziewanych Nijorów ma do nas przybyć?

— Tak.

— Niechaj więc natychmiast jedzie na ich spotkanie. Jest dosyć jasno, aby mimo nocy mógł ich dostrzec. Skoro tylko spotka swoich braci, niech przynagli ich do pośpiechu, albowiem są nam bardzo potrzebni do schwytania pięćdziesięciu Mogollonów. Przed świtem opuścimy górę i zajedziemy im drogę — niech wiedzą, że natkną się na nas. Następnie niechaj mój młody brat podąży dalej, do swego wodza, i zamelduje, że wojownicy Mogollonów jutro wieczorem

rozbiją obóz nad Cienistym Źródłem i, co za tym idzie, pojutrze przed południem przybędą do Łysiny Kanionu. A więc Szybka Strzała powinien przedtem się tam ukryć ze swoimi wojownikami. Oto poselstwo, z którym cię posyłamy. *Howgh!*

Zwiadowca cicho się oddalił; dosiadł wierzchowca i pojechał w noc, rozświetloną blaskiem gwiazd na południowy zachód, skąd przybyliśmy.

Teraz powiedziałem obu towarzyszom, co się nam przytrafiło. Byli ogromnie ucieszeni zapewnieniem Winnetou, iż rano schwytamy wreszcie Jonatana Meltona.

Tego dnia sen był już nam ogromnie potrzebny. Zwiadowcy zaś nie czuwali przez szereg poprzedzających nocy; dlatego przekazaliśmy im wartowanie i ułożyli się na ziemi. Przedtem jednak Winnetou, według gwiazd, wyznaczył dokładnie temu, który miał odbyć wartę nad ranem, godzinę, o której powinien był nas obudzić.

Spałem tak twardo, jak rzadko kiedy. Nijora, który mnie obudził, opowiedział mi później, że musiał kilkakrotnie mną potrząsać. Nie wyspaliśmy się należycie, gdyż obudzono nas na dwie godziny przed świtem. Po przekazaniu byle czego, pojechaliśmy drogą tą samą, którą uprzednio przybyliśmy.

Mieliśmy za sobą już zapewne koło trzech mil, kiedy zaczęło świtać. Teraz Winnetou zwolnił biegu konia. Po godzinie osadził go na miejscu i wskazując na prawo, rzekł:

— Tam leżą Głębokie Wody. Nie powinniśmy dalej jechać; musimy czekać na Nijorów.

— A jeśli przybędą za późno? — zapytał Emery.

— Nawet w tym wypadku Mogollonowie nam nie umkną, gdyż napadniemy na nich między Głębokimi Wodami a Cienistym Źródłem. Atoli Winnetou jest przeświadczony, że Nijorowie przybędą na czas.

Znów słuszność była po jego stronie. Czekaliśmy niespełna pół godziny, gdy z południowego zachodu wyłoniła się chmara jeźdźców zbliżających się do nas w galopie. To byli oczekiwani Nijorowie. Nie znaliśmy ich, oznajmili to nam nasi zwiadowcy. Spięli konie kolanami, nadlecieli jak burza i zatrzymali się, tworząc prosty szereg w niewielu krokach od nas. Jeden z nich wysunął się z szeregu i rzekł:

— Jestem Bystre Oko, młodszy brat Szybkiej Strzały. Wódz przysłał Winnetou i Old Shatterhandowi stu wojowników, których zażądali moi znakomici bracia.

— Bystre Oko jest dzielnym wojownikiem — odpowiedział z godnością Winnetou. — Chętnie wypalilibyśmy z naszymi braćmi fajkę powitania, ale nie mamy czasu. Musimy schwycić pięćdziesięciu Mogollonów. Czy moi bracia wiedzą o tym.

— Tak. Spotkaliśmy zwiadowcę. Psy Mogollonowie znajdują nas przygotowanych.

— W istocie schwytamy ich, a wówczas będzie wiele czasu, aby wypalić *kalumet*. Czy moi bracia znają jezioro, zwane Głębokimi Wodami?

— Leży po tamtej stronie, gdzie słońce zachodzi.

— Niech z nami tam jadaj a Bystre Oko niechaj jedzie przy moim boku!

To nie byle jakie odznaczenie dowódca umiał docenić. Jechał u boku Winnetou, ale cofnięty o długość końskiego łba. Pobieżne spojrzenie przekonało mnie, że są niezgorzej uzbrojeni. Większość znała Winnetou, ale nas trzech pozostałych nigdy nie widziała. Stąd te ukradkowe spojrzenia, które na nas rzucali. Jechali za nami gęsiego. Zazwyczaj jedzie się tak, aby wydeptać tylko wąską ścieżkę i nie zdradzić wobec wrogów ilości jeźdźców. W takim wypadku ilość da się określić tylko z głębokości wydeptanego śladu — zadanie nader trudne, ale nie dla Winnetou, który rzadko mylił się o kilku nawet jeźdźców.

Jechałem po prawicy Winnetou; Bystre Oko z lewej strony. Apacz nie mówił nic. Nie zwykł mówić wiele po takich spotkaniach. Jeśli to już było konieczne, to pozostawiał mnie; ja, jako biały, nie byłem zobowiązany do poważnego, pełnego godności milczenia czerwonych. Po pewnym czasie przerwałem milczenie, zwracając się do dowódcy oddziału:

— Mój brat Winnetou nazwał Bystre Oko dzielnym wojownikiem. Wiem, że wszyscy Nijorowie są mężnymi wojownikami; dlatego nie ulega wątpliwości, że zwyciężą Mogollonów. Czy wciąż jeszcze zajmują się lekami?

— Nie — odparł. — Uroczystości zostały natychmiast zakończone, skoro zjawił się goniec, którego moi znakomici bracia do nas wysłali.

— Słusznie. Przyrządzenie leków wymaga wiele czasu, a czas, którym rozporządzamy, krótki jest i cenny. Mogollonowie bowiem będą dziś wieczorem nad cienistym Źródłem. Czy Bystre Oko zna wiadomości, które posłaliśmy wodzowi, a jego bratu?

— Tak.

— Czy wódz weźmie je pod rozwagę?

— Wie, że Winnetou i Old Shatterhand są wielkimi i mądrymi wojownikami. Dlatego uczyni wszystko co mu doradzą.

— Kiedy przybędziemy do Łysiny Kanionu?

— Jutro rano skoro świt.

— Jeśli tak, to na pewno schwytamy wszystkich wrogów.

— Wiemy o tym. Każdy pies mogolloński, który się nie podda, będzie rozstrzelany.

— A co się stanie z tymi, którzy się poddadzą?

— Zdechną przy palu męczeńskim.

— Ileż to strzałów potrzebowaliby moi bracia? Będziemy mieli do czynienia z przeszło trzema setkami Mogollonów. Czy Szybka Strzała dopuści się zagłady całego plemienia?

Dowódca spojrział przed siebie mrocznie. Wolałby nie odpowiadać. Ale że to było obrażą, więc rzekł:

— Mogollonowie są naszymi wrogami. Czy zasłużyli na inny los? Żyliśmy z nimi w pokoju; odwiedzaliśmy ich, a oni nas. Naraz wykopali topór wojny, aczkolwiek ich nie obraziliśmy, ani nie wyrządzili nic złego:

— Jeśliby zdarzyło się to, co mój brat powiada, wówczas Łysinę Kanionu należałoby nazwać Łysiną Mordu. Czy mój brat słyszał, aby Winnetou i Old Shatterhand byli zwolennikami rozlewu krwi.

— Każdy czerwony czy biały, który słyszał o tych wielkich wojownikach, wie, że tak nie jest.

— Toteż pewnie wam, powiedzieli, że nie użyczamy ręki i pomocy plemieniu, co zamierza obejść się okrutnie z jeńcami. Co się tyczy rozprawy na Łysinie Kanionu, to pomówię jeszcze w tej sprawie z twoim bratem, Szybką Strzałą. Z tobą natomiast muszę się porozumieć w kwestii najbliższego napadu. Pięćdziesięciu Mogollonów przybędzie do Głębokich Wód; towarzyszy im biały, biała *squaw* i kilku Yuma, którzy nie są waszymi wrogami. Czy pomożesz mi schwycić tych ludzi?

— Old Shatterhand tak sobie życzy, a więc stanie się zadość jego życzeniu. Lecz Mogollonowie należą do nas?

— Pod warunkiem, że będziecie śmierć zadawać tylko z konieczności. Bystre Oko ma być dzisiaj dowódcą: wszak wypaliłem z waszym wodzem fajkę pokoju. Jestem jego bratem; poprosiłem Szybką Strzałę o pomoc, i oto was mi przysłał. Dlatego wymagam, abyście czynili to, co uważam za słuszne. Tylko pod tym warunkiem oddam wam pięćdziesięciu Mogollonów, których oczekujemy.

Zmarszczył czoło, opuścił oczy i nie odpowiadał. Moje żądanie nie przypadło mu do gustu, ani do przekonania.

— Czemu brat mój milczy, dlaczego nie odpowiada? — nalegałem.

Czyniąc gest, jak gdyby chciał coś splotać rzekł:

— Ponieważ Old Shatterhand postępuje rzetelnie wobec wojowników Nijorów, przeto przyznam mu się rzetelnie, że mój brat wódz radził mi słuchać ciebie i Winnetou, wielkiego Apacza.

— A zatem odniesiecie dziś i jutro dwa wielkie zwycięstwa, nie tracąc nikogo z pośród swoich. Roztropność jest silniejsza od przemocy, a łagodność potężniejsza od morderstwa.

— Ale czy Winnetou z tym się zgodzi? Mam nie tylko słuchać ciebie, ale także Winnetou.

Teraz odezwał się Apacz:

— Kiedy coś mówi, lub czyni mój brat Shatterhand, należy to przyjąć tak, jak gdybym ja mówił lub czynił. Moi bracia niech się pogodzą i nie mówią o tej sprawie, dopóki Old Shatterhand nie zobaczy Głębokich Wód.

Miał słuszny powód do takiego żądania. Dlatego zamilkłem. Zresztą osiągnąłem swój cel, mianowicie dowiedziałem się, co myśleć o okrucieństwie czy humanitarności Nijorów, o ile w ogóle wyraz humanitarność da się zastosować do Indian!

Długi nasz wąż posuwał się szybko, bez skrętów po gołej skale. Dookoła nie widać było ani źdźbła trawy, dlatego zdumiałem się skoro naraz zobaczyłem las, a mówiąc właściwiej — lasek, w kształcie wydłużonego koła.

— Oto Głębokie Wody — rzekł Winnetou, wskazując w kierunku lasu.

— Pośrodku? — zapytałem.

— Tak.

— A więc jest to, jak się zdaje, pozostałość po dawnym kraterze.

Przybyliśmy ze wschodu. Winnetou zakreślił łuk, aby wjechać w las ze strony południowej.

— Po co ta droga okrężna? — zapytałem.

— Ponieważ Mogollonowie przybędą z północy, a nie powinni zobaczyć zawczasu naszych śladów.

Było to dość dziwna rzeczą, że już pierwsze drzewa rosły tu wybujałe. Brak było stopniowego przejścia od trawy do krzewiny, od krzewiny do drzewa. Granice wegetacyjne były tak ostre, jak jeszcze dotychczas nigdy nie widziałem. Podjechaliśmy do lasu w miejscu, gdzie widniał rozstęp między drzewami. Winnetou zeskoczył z konia i rzekł:

— Ta luka prowadzi do Głębokich Wód. Nasze konie nie powinny biec dalej, ani też zostać między drzewami, gdyż mogą nas zdradzić. Dziesięciu wojowników Nijorów niech pojedzie z nimi na południe, tak daleko, aby ich stąd nie było widać. Niech tam czekają na nasze wezwanie.

Bystre Oko wyznaczył dziesięciu wojowników; reszta weszła w lukę. Wnętrze zdziwiło mnie jeszcze bardziej, niż obwód.

Zobaczyłem małe okrągłe jezioro o średnicy niespełna pięćdziesięciu łokci. Woda była jasna i przejrzysta jak kryształ. Zwierciadło jej leżało nie tuż u naszych nóg, lecz głębiej, na dziesięć, czy dwanaście łokci. W głębi okalał wodę brzeg zarośnięty trawą. Na górę prowadził również zarośnięty, łagodny trawers. Dookoła, na górze, znów biegła szeroka, zielona obręcz, niby wypustka, wokół lasu. Całość wyglądała jak talerz o dwóch zaokrągleniach przy czym woda sięgała tylko do niższego. Trawa zarówno na dole, jak na górze była wydeptana. Winnetou zwrócił na to moją uwagę i zapytał:

— Czy mój brat wie, kto tu był i podeptał trawę?

— Oczywiście, że Silny Wicher ze swymi wojownikami!

— Jak dawno mógł tu być? Zbadałem trawę i odpowiedziałem:

— Przeszło godzinę temu.

— To prawda. Przybyliśmy nie za późno, ale także nie za wcześnie. Mamy przed i za sobą Mogollonów. Ci za nami muszą wpaść nam w ręce. Mój brat Shatterhand niech powie, w jaki to sposób ma się stać.

Zadanie było tak łatwe, że dziecko mogłoby je rozwiązać. Rozumiało się samo przez się, że Mogollonowie, którzy przybędą z Jonatanem Meltonem, zechcą napić konie. Będą musieli zatem zejść na dolne sfałdowanie brzegu. Stąd nie mogli spoglądać przez wyższy brzeg, oddalony o dziesięć łokci. Gdybyśmy się więc schowali w lasku, a w chwili gdy Mogollonowie doprowadzą konie do wody, wystąpili i wysunęli strzelby, byłibyśmy panami sytuacji. O

oporze mógłby tylko myśleć zaślepieniec. Wrogów było niewiele ponad pięćdziesięciu, nas zaś stu. Na każdego Mogollona wypadały po dwie nasze strzelby, nie mówiąc już o tym, że stali nie osłonięci na dole i bezbronni wobec naszych luf, my zaś wystawiliśmy na widok tylko broń. Była to więc dla nas, jak wspomniałem, zabawa dziecięca i popełnilibyśmy morderstwo, gdybyśmy im posłali kule, oczywiście, o ileby nie wazyli się na szaleństwo strzelania do nas. Odezwałem się tedy do dowódcy oddziału, który stał obok mnie i Winnetou:

— Mój brat jest mężnym wojownikiem. Jego odwaga nie będzie tu jednak wystawiona na próbę. Proszę cię, abyś otoczył wojownikami jezioro. Skoro to się stanie, niech każdy się cofnie i schroni do lasku, czekając przybycia Mogollonów, którzy zaprowadzą swoje rumaki do źródła. Wówczas ja wystąpię z pośród drzew, ale wojownicy niech się nie poruszają, niech tylko zobaczą Mogollonów. Skoro zaś podniosę rękę, niech wojownicy wystąpią, położą się nad górnym brzegiem jeziora, tworząc koło i wycelują lufy w nieprzyjaciół. Ale niech nie strzelają, nawet w tym wypadku, kiedy ja lub Winnetou będziemy musieli oddać strzały. Jedynie na mój głośny rozkaz dadzą ognia, a i to tylko w tych wrogów, którzy spróbują strzelać do nas. Ani jeden Mogollon z tych, co się nie będą bronili, nie powinien odnieść rany. Kto zlekceważy mój rozkaz, ten wprawdzie nie podlegnie karze, ale nasza już w tym głowa, aby uchodził pośród swego plemienia za tchórza. Czy wydaje ci się to słusznym?

— Mój brat powiedział, a zatem jest to słuszne — odparł.

— Życie Mogollonów powinno być dla was święte. Ale wszystko, co posiadają, nawet ich leki, możecie uważać za swoją zdobycz.

— A wy, co wy bierzecie?

— Nic. Nie wyruszyliśmy, aby wojować i szukać zdobyczy. Oczy mu rozbłyły. Indianin chętniej traci życie i skalp, niż leki, który jest największą jego świętością. Przypuszczam, że Czytelnik wie, czym jest lek indiański, mianowicie nie tym, co u nas oznacza to słowo, a więc lekarstwem uzdrawiającym, ale talizmanem, który po długich próbach i walkach Indianin obiera na swoją egidę i której broni do ostatniej kropli krwi. Kto stracił swoje leki, ten uchodzi za pozbawionego czci i zostaje wyłączony z gromady, dopóki nie zdobywa w zamian leku jakiegoś znakomitego wojownika.

To tłumaczy nam radość Bystrego Oka, jaką okazał, skoro przyrzekłem leki Mogollonów. Było mu to miłsze niż życie i skalpy wrogów.

— Widzę, że mój brat postępuje z nami uczciwie — zawołał zachwycony. — Psy Mogollonów wyruszyli, aby nas rozszarpać; lecz będą wyc ze wstydu i przerażenia, Wracając bez leków do nor, z których wypełzli. Co jeszcze powinniśmy czynić?

— Nic, co bym już teraz mógł przewidzieć. Zobaczymy we właściwym czasie. Powiedz jednak swoim wojownikom, aby na mnie skupili uwagę i usłuchali każdego mego głośniejszego słowa. Ty sam zostaniesz w pobliżu mnie.

Zwołał wojowników i oznajmił im moje rozkazy. Niebawem tak się pochowali w lesie, że nikogo nie było widać. Z północy, tak samo, jak z południa, luka między drzewami prowadziła do źródła. Z tej strony spodziewałem się Mogollonów. Nie było innej drogi, którędy by mógł przejechać jeździec. Obsadziliśmy oba wejścia: Winnetou i Emery południowe, j a, Dunker i Bystre Oko — północne. Nie należało się obawiać, że zdradzą nas ślady, gdyż trawa była już wydeptana przed naszym przybyciem.

Miał słuszną Winnetou, kiedy powiedział, nie przybyliśmy ani za późno, ani za wcześnie. Kiedy bowiem wszystkie nasze zarządzenia miały się ku końcowi, zobaczyłem poprzez drzewa konnice, zbliżającą się do lasku, tak jednak oddaloną, że niepodobna było rozeznąć poszczególnych jeźdźców. Ale nie mogło być ich więcej, ani mniej, niż pięćdziesięciu. Właśnie tych wypatrywaliśmy. Zawołałem głośno, aby wszyscy nasi mogli mnie usłyszeć.

— Przybywają! Niech się żaden Nijora nie ukazuje! Winnetou i Emery, którzy dotychczas stali dość daleko od drzew, zniknęli w okamgnieniu między nimi. Dunker stał przy mnie i podglądał.

— Zbliżają się nader szybko — rzekł. — Można już ich rozpoznać. Na przodzie jadą *lady* i Melton. Teraz zatrzymują się, aby wysłać zwiadowcę.

— *Pshaw!* Są zbyt nieostrożni. Robią to ponieważ, gdyż wrogowie, którzyby się tutaj znajdowali, byłiby ich dawno spostrzegli.

— *Well!* Mniema pan może, że nie jesteśmy ich wrogami? Myślę, że tak i na domiar jakimi!

— Wkrótce się przekonają. Ale chodźmy, musimy się ukryć! Wraz z Byстрыm Okiem wszyliśmy się głęboko w las, aby z ukrycia ich obserwować.

Niebawem usłyszeliśmy tętent koni. Zatrzymali się, ponieważ dróżka była zbyt wąska, aby wszystkich naraz przepuścić. Widzieliśmy, jak wjeżdżali jeden po drugim. Mogollonowie i Yuma. Zeszli z koni i zaprowadzili je, jakieś przewidzieli, do źródła, skąd rozbrzmiały wnet ich głosy.

Na koniec przybył Melton z Judytą. Poprzednio wyprzedzali wszystkich, teraz zaś przepuścili wojowników i nadjechali ostatni. Melton zeskoczył z konia i pomógł Judycie przy zsiadaniu.

— Czy jesteś zmęczona? — zapytał.

— Nie. Kiedy mąż mój żył, całe dni spędzałam na koniu.

— Kiedy był twoim „kochanym czerwonym”, ale nie później — roześmiał się Melton. — Zostań na górze; zabiorę twego rumaka. Trzeba napić konie, gdyż nie pozostaniemy tu długo, a potem aż do Cienistego Źródła nie znajdziemy żadnej wody.

Sprowadził konie po łagodnej skarpie; Judyta została na górze, jedyna spośród wrogów. Tafla wody leżała tak głęboko, że niepodobna jej było stamtąd widzieć. Teraz należało przystąpić do pracy. Wyczołgałem się z pomiędzy drzew i, trzymając sztucer w lewej ręce, stanąłem za Judytą.

— Dzień dobry, seniora! — rzekłem.

Obejrzała się i usiłowała krzyknąć z przerażenia, ale głos uwiązł jej w gardle. Oczy jej, przerażone, były rozwarłe szeroko.

— Ogląda mnie pani jak nieznanomego? Mam nadzieję, że jest pani tak łaskawa i przypominasz mnie sobie. Wszak nie tak dawno temu widzieliśmy się po raz ostatni.

— Old... Old Shatter... hand! — wyjąkała.

— Istotnie tak się nazywam. Cieszy mnie, że seniora nie zapomniała jednak mego nazwiska.

— Czego... czego senior tu chce?

— Senior chce panią i pani kochanego Jonatana.

— To... to szaleństwo! Jesteś naszym wrogiem. Czy wie pan, że mamy ze sobą pięćdziesięciu, a nawet więcej Indian?!

Powiedziała to szybko i groźnie, ale wciąż jeszcze cicho, zapewne pod wpływem strachu.

— Wiem, wiem, — odparłem.

— Jesteś zgubiony. Uważaj!...

Uchwyciła mnie za ramię abym nie mógł uciec zwróciła się ku wodzie i chciała krzyknąć. Ale zawczasu przystawiłem jej lufę do głowy i zagroziłem:

— Ani słowa, seniora, bo natychmiast strzelam! *Master Dunker!*

Dunker wypełził z lasku i zapytał:

— Co takiego, *sir!*

— Niech pan uważa na *lady*, aby nie mogła pójść na spacer.

Obchodź się z nią grzecznie!

— *Well!* Z największą rozkoszą. Widzi pani nóż, *milady?* Skoro tylko uczyni pani najmniejszy kroczonek, odkroję jej uszy. Nazywam się Will Dunker i dotrzymuję słowa!

Przysunął nóż do jej twarzy. Odwróciłem się i podniosłem rękę do góry, Nijorowie wypełzli spośród drzew i postępowali zgodnie z moim rozporządzeniem. Ułożywszy się za brzegiem skarpy, wycelowali lufy w stojących nad wodą wrogów. Wówczas usłyszałem głos Meltona:

— Do tysiąca piorunów! Cóż to takiego? Strzelby dookoła! Kto tam na górze?



Chciał wejść na górę i w tej chwili właśnie zobaczył skierowane w siebie lufy. Wystąpiłem naprzód, tak, aby mnie mógł zobaczyć i odparłem:

— Setka nabitych strzelb, *sir!* To ciepłe powitanie, które panu przynoszę.

— Old Shatterhand! Old...

Nie dokończył słowa; zerwał z ramienia strzelbę; przyłożył i nacisnął spust. Rzuciłem się na ziemię. Kula przedziurawiła... powietrze. Podniosłem się błyskawicznie, wycelowałem weń sztucer i zawołałem:

— Odrzuć broń, kanalio, bo strzelam! Patrząc na mnie tępo, stał znieruchomiąły.

— Rzuć broń, bo pošlę ci kulę! Raz... dwa...

Strzelba wypadła mu z ręki. Strzał był jakby sygnałem dla czerwonych wojowników Meltona. Spojrzeli w górę. Zobaczyli mnie, a także lufy. Mogollonowie mnie nie znali; ale niektórzy Yuma tak głośno wymienili moje nazwisko, że rozległo się wszędzie.

— Tak, jestem Old Shatterhand! — krzyknąłem. — Tam stoi Winnetou, wódz Apaczów, — Winnetou leżał wraz ze wszystkimi w trawie, teraz zaś podniósł się i ukazał wrogom, — a dookoła leżą wojownicy Nijorów. Wstańcie z trawy!

Podnieśli się i utworzyli nieprzerwany łańcuch, łańcuch groźnych wojowników ze strzelbami skierowanymi w dół. Naraz rozległ się Winnetou głos:

— Czy sam jeden mam ślęczeć w trawie? Tu oto stoi Emery Bothwell, Anglik. Pokażą wam, jak należy działać!

Zszedł szybko do Mogollonów, wyrwał flintę najbliższemu stojącemu wrogowi, wręczył ją jednemu z Nijorów i rozkazał grzmiącym głosem:

— Niechaj Mogollonowie oddadzą swoją broń i rzucają noże, jeśli nie chcą momentalnie paść od naszych kul!

I, zwracając się do drugiego Mogollona, który oglądał go nieprzytomnie, huknął nań:

— No, ruszajże się! Na górę z flintą!

Wyciągnął rewolwer i przystawił do torsu Czerwonego, który czym prędzej oddał broń. Czy to ów przykład zadziałał, czy też śmiałe wystąpienie Anglika, czy owe liczne i groźnie patrzące lufy; czy oszołomienie, czy może to wszystko razem, dosyć, że Mogollonowie nie ważyli się bronić, a tym bardziej dać ognia. Podali na górę swoje strzelby, a po nich rzucili noże. Byli opanowani nakazem posłuszeństwa. Ogarnęła ich prawdziwa panika. Tym dziwszy natomiast był Melton. Krzyczał, aby nie słuchali nas; kazał strzelać; kłął i urągał, nazywał ich tchórzami, ale sam nie śmiał podnieść flinty, nie ważył się bronić. Emery, który wciąż jeszcze uwijał się na dole, podszedł doń, podniósł strzelbę i, trzymając Meltonowi przed twarzą rewolwer, zagroził:

— Milcz, głupi ośle, bo uspokoję na zawsze twój język! Jeszcze słówko a na wieki umilknieysz. Oddaj no ten bezużyteczny grat!

Wyjął mu zza pasa pozostałą broń i wrócił do mnie.

— Wszystko w porządku, Charley! — oznajmił. — Banda rozbrojona. Co teraz?

— Związać ich. Niechaj wejdą na górę pojedynczo, jeden po drugim, a tu się ich weźmie w łyka:

— *Well!* Który nie wejdzie, dostanie kulę.

Zszedł z powrotem. Towarzyszyli mu Winnetou i Dunker, który uprzednio przekazał Żydówkę jednemu z Nijorów. A także zszedł Bystre Oko, aby ociągających się przymusić do posłuszeństwa. Zresztą, większość Mogollonów postępowała rozsądnie; widzieli, że wszelki opór będzie daremny i dlatego dobrowolnie oddali się w niewolę. Mniej rozsądni musieli iść za tym przykładem. Spętano jeńców nader szybko, każdego własnym lassem, i ułożono ich na trawie. Na ostatek przyszła kolej na Jonatana.

Ciskał dookoła siebie dzikie, bezbrzeżnie wściekłe spojrzenia. Rozglądał się za środkami ratunku. Byłby jednak ślepcem, gdyby nie widział, że wszelka próba może jedynie wystawić jego życie na niebezpieczeństwo. W pewnej chwili postąpił trzy, cztery szybkie kroki po skarpie, ale Judyta krzyknęła głosem pełnym trwogi:

— Zostań na dole, zostań! Zastrzelą cię! Poddaj się! Stąd lepiej widać, że nie masz ratunku. Ci ludzie są straszni!...

Cofnął się, usiadł i spoglądał tępo na wodę. Po chwili podniósł się, przyniósł kamień z pobliza i znowu usiadł. Do czego mu był kamień potrzebny? Zastanawiałem się, ale nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Czy jako narzędzie obrony? Co za śmieszność!

Siedział więc, dopóki ostatni Mogollon i Yuma nie był związany. Emery podszedł doń, pytając mnie:

— Związać szubrawca?

— Naturalnie.

— A jeśli się będzie opierał?

— Powalisz go kolbą.

Melton szybko się zerwał, odskoczył od Emery'ego na kilka kroków i zawołał do mnie:

— Czy mam się dać związać?

— Tak, *master!* Rozkazałem tak, nie spodziewaj się więc, że będzie inaczej. Jeżeli się pan nie podda dobrowolnie, to odbierzemy ci na parę chwil przytomność. Tęgi cios załatwi to szybko. Skoro się ockniesz, będziesz już w łykach.

— Mogollonowie mnie odbiją!

— Nie łudź się! Czterystu Nijorów czeka na nich w zasadzce. Tutaj zaś widzicie setkę przeciwników.

— To twoja robota, ty szatanie! — syknął. — Czego chcecie ode mnie?

— Chcę cię oddać w ręce sprawiedliwości, która z taką tęsknotą oczekuje ciebie.

— Gdzie mój ojciec?

— Na drodze do kresu.

— A jego pieniądze?

— U *master* Vogla, prawego właściciela.

— Bądźcie po tysiackroć potępieni!

Krzyknął to takim nadmiernie wściekłym głosem jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem. Zbliżył się o dwa kroki do wody, jak gdyby zamierzał się utopić, ale cofnął się, nie mając zapewne dosyć odwagi. Zerwał z siebie torbę, wiszącą na rzemieniu u boku, otworzył ją, zanim Emery zdążył zapobiec, włożył kamień, zamknął z powrotem i cisnął do wody, wybuchając szyderczym śmiechem rozpaczy. Torba natychmiast poszła na dno. Skoro się to stało, Judyta wydała przeraźliwy okrzyk i złapała się za głowę, jęcząc:

— Nie ma, nie ma, stracone! Na zawsze, na zawsze stracone! Oszałała z wściekłości, zbiegła do Meltona i wrzasnęła:

— Tchórz! Zdrajco! Oszuście! To należało także do mnie! To było także moje! A teraz znikło, zginęło bezpowrotnie!

— Tak, znikło... zniknęło! — powtarzał, niby nieprzytomny.

— Wszak to była tak samo moja, jak i twoja własność! Przyrzekłeś mi! To była cena mego serca. Czy sądzisz może, że kochałabym cię bez pieniędzy? I ty je zatraciłeś, ty łotrze, ty nieszczęsny tchórz, ty.....!

Uchwyciła go za ramiona i potrząsnęła. Oderwał ją od siebie i zawołał:

— Precz ode mnie, zmij! To tylko ty mnie zaprowadziłaś na zatracenie! Gdybym nie jechał do twego pueblo, miałbym wszystko, czego pragnęło, o czym marzyło moje serce, a cóż dopiero wolność, którą teraz straciłem. Jestem uwięziony... uwięziony... uwięziony!

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie! — krzyknęła chwytając go i potrząsając, — Ponieważ oszukałeś mnie! Nienawidzę cię. Cieszę się z twego położenia i będę zachwycona, kiedy usłyszę, że kat, słyszysz, że kat...

Nie mogła mówić dalej; uchwycił ją za gardło i zawołał ze straszliwą wściekłością:

— O kacie opowiadasz, o mojej śmierci?! Wyprzedzisz mnie, zanim mnie zwiążą! Giń, ty diablico; jedź do piekła, z którego jesteś rodem!

Odrzucił ją od siebie, cisnął z całej siły do bezdennego jeziora.

Potem nachylił się nad brzegiem i zawołał oszalałym głosem:

— Na dole, na dnie jest torba! Wyszukaj ją. Przyrzekłem ci przecież: oto ją masz!

Pośpieszyłem z pomocą. Ale Winnetou mnie wyprzedził. Po kilku minutach wrócił z Judytą; Indianie wyciągnęli po nią ręce. Melton, nie racząc nawet zerknąć w jej stronę, uchwycił mnie za rękę i syknął:

— Ścigał mnie pan, aby moje pieniądze, moje pieniądze, moje pieniądze zagarnąć! Czy nie tak?

— Tak — przyznałem spokojnie.

— A więc skoczże i przynieś je sobie z jeziora. Rzuciłem je!

— Nieprawda.

— Nieprawda? Nieprawda? *Sir*, miałem pieniądze w torbie, w torbie która zniknęła w wodzie. Zniknęła! Czy pojmuje pan, co to znaczy? Sprzedaje się za pieniądze honor, sumienie,, spokój, szczęście; nogami depta się prawa; traci się wszystko, aby je zyskać. A skoro się osiągnęło cel, trzeba się ukrywać w górach, gdzie nie można z majątku korzystać, biegnie się za przekłętą babą, która chce dzielić się pieniędzmi, ale nie udreka sumienia i ciska się całe bogactwo, aby nie oddać nikomu, do wody... do wody... do wody!... Czy wie pan, *sir*, co to znaczy?

Ta scena była tak wstrętna, że po prostu pióro wzdraga się ją opisywać. Odtrąciłem od siebie łotra, poprosiłem Emery'ego, aby go związał, i poszedłem do Żydówki. Leżała w omdleniu: żyła, wszak tylko przez parę chwil przebywała w wodzie. Wziąłem ją za rękę, aby zbadać puls; bił powoli i słabo, ale wyraźnie. Żyła, więc niezbyt się o nią troszczyłem, a nawet uważałem, iż ta kąpiel wcale jej nie zaszkodziła. Pozostawiłem ją, aby zająć się bardziej naglącymi sprawami.

Przede wszystkim należało zawiadomić Nijorów, żeśmy schwytali Mogollonów. Wysłałem więc do wodza jednego z wywiadowców. Zaleciłem mu, aby nie pokazywał się Mogollonom, którzy dążyli do Cienistego Źródła. Powinien więc był objechać tę drogę i nie pozostawiać za sobą śladów, które mogłyby zwrócić uwagę i wzbudzić podejrzenie wrogów.

Teraz pragnąłem się dowiedzieć, czy Mogollonowie zabrali ze sobą na wyprawę białych jeńców, czy też zostawili ich na Jasnej Skale. Musiały mnie o tym poinformować ślady. Nad wodą nie moglibyśmy nic rozpoznać, ponieważ grunt był tam całkowicie wydeptany; oddaliłem się wraz z Winnetou, aby okrążyć lasek. I słusznie! Na zachodniej stronie lasu — przybyliśmy ze wschodniej — odkryliśmy ślad powozu, który się tam zatrzymał. Widać było, że konie wyprężnięto i zaprowadzono do wody. Po czym ślad prowadził dookoła placyku, gdzie się znów łączył z szerokim tropem oddziału.

To, że Mogollonowie wozili za sobą adwokata i śpiewaczkę świadczyło o ich zadufaniu w zwycięstwo. Tak samo sądził Winnetou:

— Silny Wicher musi być pewny zwycięstwa, inaczej bowiem nie zabierałby ze sobą białych jeńców. Ale czemu właśnie *zabrał* ich ze sobą? Mogą mu tylko przeszkadzać. Zapewne więc myślał nie o korzyści, lecz o zapobieżeniu możliwej szkodzi.

— Masz na myśli ucieczkę jeńców?

— Tak. Wyruszył ze wszystkimi wojownikami, zostali w obozie tylko starcy, kobiety, chłopcy i dziewczęta. Ci nie nadają się do pilnowania jeńców. Jakże łatwo mogliby jeńcy uciec!

— To jedyny powód, jakim sobie tłumaczę ich postępowanie, ale powód niedostateczny, gdyż wleczenie ze sobą powozu z jeńcami narazi ich tylko na trudności wszelkiego rodzaju. Trzeba jeńców w dzień i w nocy pilnować. Gdyby natomiast zostawili ich w obozie pod strażą kilku wojowników, mogliby się swobodnie poruszać.

— Mój brat ma słuszność, ale to jedyny powód, jaki się na myśl nasuwa, aczkolwiek jest nieusprawiedliwiony.

— Dodajmy teren wyprawy. Pomyśl tylko o wąwozie, który prowadzi na Łysinę Kanionu. Jakże poradzą sobie tam z powozem?

— Być może nie znają dokładnie terenu!

— W takim razie byliby nad wszelki wyraz nieprzezorni. Skoro się chce napaść na wrogie plemię, trzeba dobrze poznać drogi, dalej niż do Cienistego Źródła, gdzie rozłożą się obozem dzisiejszej nocy. Czy mniemasz, że trzeba ich koniecznie tam szpiegować?

— Koniecznie.

— Ale tylko w ciemnościach?

— Zbliżyć się do nich można wyłączyć w nocy. Ale lepiej będzie, jeśli pojedą za nimi już za dnia. Mój brat Szarlieh niech później wyruszy za mną i tak wyrachuje, aby przybył tam pod osłoną mroku.

— Pięknie. Gdzie i jak się spotkamy?

— Byłeś już nad Cienistym Źródłem i znasz drogę. Spotkamy się w odległości dziesięciu wystrzałów od źródła. Tam będę na ciebie czekał. Skoro się zbliżysz, wypalisz z niedźwiedziówki, ja zaś odpowiem ci wystrzałem ze swej srebrnej strzelby. Znamy dokładnie głosy naszych strzelb, łatwo się więc spotkamy.

— Dobrze. W każdym razie nie wrócimy tu później?

— Nie. Nasi muszą, za nami podążać. Jeszcze w nocy wyruszą wraz z jeńcami. Spotkamy się w godzinę po świcie. W tym czasie Mogollonów już nie będzie nad źródłem. Zanim wyruszę, napoję konia.

— Powiedz Nijorom, aby sprowadzili resztę koni. Sprowadzono je wkrótce. Napoiwszy swego rumaka, Winnetou odjechał w galopie. Był to najlepszy wywiadowca na dzikim Zachodzie.

Ponieważ byliśmy zmuszeni dosyć długo obozować nad Głębokimi Wodami, przeto postaraliśmy się roztasować jak najwygodniej. Mniej wygodnie było jeńcom w pętach; nawet Judytę związaliśmy, skoro tylko ocknęła się z omdlenia. Zajął się tym Długi Dunker, który niewiele sobie z nią robił ceregieli. Był tak złośliwy, że położył ją przy Meltonie na trawie. Kiedy zwróciłem na to uwagę, rzekł:

— Czy sądzi pan, że to może nam zaszkodzić *sir!*

— Tak. Czy takim jeńcom pozwolimy porozumiewać się ze sobą? Mogą wszak omówić plan ucieczki, albo uzgodnić swoje zeznania.

— Niech tam! Kpimy sobie z ich zeznań, mamy dosyć dowodów. Czy nie rozumie pan, czemu ich ułożyłem przy sobie?

— Ze złośliwości, jedynie ze złośliwości: *master* Dunker.

— Nie, nie ze złośliwości. Najwyżej możnaby było nazwać mnie przecherà. Po tym, co się wydarzyło, nie sądzę, aby oboje rozmawiali ze sobą słodko. Chciałbym ich rozjątrzyć. Spójrz no pan, jakimi obrzucają się spojrzeniami! Jakież miny jadowite stroją! *Well*, muszę śpieszyć do nich, aby się przysłuchać!

Zbliżył się i usiadł u wezglowia, tak, że nie mogli go zobaczyć. Twarz tego starego kpiarza świadczyła, że bawił się wyśmienicie rozmową obojga.

Położyłem się w cieniu drzew i uciałem sobie drzemkę. Wszak należało się spodziewać, że noc dzisiejsza nie zostawi mi czasu na sen.

Pozwolono mi smacznie się przespać. Skoro mnie obudzono, czułem się pokrzepiony. Były dwie godziny przed zachodem słońca.

Pozwolonoby mi dłużej spać, gdyby Jonatan i Judyta nie domagali się uporczywie rozmowy ze mną. Kiedy się do nich zbliżyłem, Żydówka zawołała gniewnie:

— Panie, czemu zetknięto mnie z tym człowiekiem? Jeśli ten morderca, ten szubrawiec, który z trwogi rzucił do wody tyle pieniędzy, który mnie oszukał, nie pójdzie stąd precz, udławię się wściekłością!

— To dziwne! Wczoraj mówiła pani inaczej o nim, a nawet z nim samym.

— Co pan może o tym wiedzieć!

— O wiem wszystko!

— Wszystko? Nie, nic pan nie wie! Gdzież ja byłam wczoraj wieczorem?

Zapytała wyzywająco; odpowiedziałem z uśmiechem:

— Nad Źródłem Góry Wężowej. Sklecono dla pani nad wodą szałas. Siedziała pani przed nim z owym mężnym Yuma, który przyjął był nas swego czasu tak gościnnie. Wiem nawet, że rozmawiała seniora o mnie i o innych. Nie mam chęci tego powtarzać. Następnie ukazał się pani kochany senior Jonatan.

— Też? Skąd się do mnie dostał?

— Z Jasnej Skały. Wyjechał wraz z Mogollonami, aby nas schwytać; ponieważ jednak nie ma wprawy, stało się wręcz przeciwnie: sam wpadł w nasze ręce. Może zechce pani zaprzeczyć?

— Odgaduje pan tylko na chybi trafi.

— Bynajmniej. Senior Jonatan wraz z Mogollonami miał urządzić postój nad Źródłem, kiedy zobaczył pani ognisko, gorejące na wysokość domu. Zostawił czerwonych i poszedł na zwiady. Nieprędko pani się znajdzie w podobnej sytuacji, inaczej powiedziałbym pani, że nie należy rozpalać tak zdraдлиwego ogniska. Przypomina pani sobie zapewne, jakie radośnie się z nim przywitała.

— Więc... więc... więc pan nas szpiegował? — przyznała się wreszcie, acz pośrednio — Gdzieżeś się pan ukrywał?

— Pod drzewami, z tamtej strony wody, wprost naprzeciw pani. Słyszałem każde słowo i postanowiłem powiedzieć pani dzisiaj, dzień dobry.

Szarpnęła się i obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem. Melton, rozzłoszczony, że Judyta dała się podejść, obrzucił ją dobitnymi wymówkami. Po czym zwrócił się do mnie:

— Do mnie nikt się tak blisko nie podkradnie.

— Myli się pan wielce, *master* Melton. Mógłbym dowieść czegoś wręcz przeciwnego.

— Proszę!

— Nie mam na to czasu. Chcę tylko na jedno zwrócić pana uwagę. Swego czasu na okręcie, w drodze do Tunisu, Winnetou pod pana bokiem otworzył kufer i wyjął sekretne papiery, które następnie przeczytaliśmy w naszej kajucie. Wydobył klucz z pana kieszeni, z ubrania, które pan nosił na sobie.

— Nie może być!

— A przecież było. Potem włożył papiery na powrót do kufra, a klucz do kieszeni pana. Czy nie jest to przedsięwzięcie trudniejsze od zwykłego szpiegowania? Mógłbym panu więcej powiedzieć, ale na teraz zaniecham. Nie zna pan nas tak, jak powinieneś znać.

— O znam was aż zbyt dobrze! Jesteś diabłem w ludzkiej postaci, nie znającym łaski ani zlitowania. Wszystko się wam dotychczas udawało; ale nie bądź zbyt dufny w swoje siły, gdyż na pewno trafi kosa na kamień!

— Na pana może?

— Nie. Ze mną już koniec, widzę to jasno.

— Istotnie? Widzi to pan? — zapytałem.

Wydawał się przynębiony, jak człowiek, który stracił wszelkie nadzieje. Czy to była prawda, czy nowe szalbierstwo? Czy aby nie chciał mnie tylko zwieść pozorną nieszkodliwością?

— Tak — odparł. — Wiem, że moja gra skończona. Kilkakroć szczęśliwie panu się wymknąłem, z coraz to większą jednak trudnością. Z pueblo wydostałem się z największym wysiłkiem i mazołem. Powiedziałem sobie podówczas, że będę zgubiony, jeśli zdoła mnie pan jeszcze raz schwytać. I to się teraz przytrafiło!

— Czemuż nie mógłby pan i tym razem umknąć? Nic nie można przewidzieć.

— Teraz już nie. Widzę przy was Długiego Dunkera. Zbiegł z niewoli i zetknął się z wami. Powiedział panu, kogo Mogollonowie schwytali. Co?

— Oczywiście.

— I że Mogollonowie wyruszają przeciwko Nijorom?

— Tak. A myśmy ich ostrzegli.

— Widzę to. Ma pan ze sobą setkę Nijorów. Napadnięcie na Mogollonów i odbijecie adwokata i śpiewaczkę?

— Naturalnie.

— Jakże więc może pan mówić o mojej ucieczce! Wiem, że nie ma dla mnie nadziei.

— Baba! — syknęła Judyta.

— Milcz! — krzyknął. — Ty byłeś moim nieszczęściem! Bodajbym cię nie znał! Inaczej byłoby mi się wiodło! Teraz jestem zgubiony. Jedna pozostała mi pociecha, pociecha i radość niezmierna. Musiałem się wyrzec łupu, ale też nikt inny go nie dostanie!

— Czy się pan nie myli przypadkiem? — zapytałem.

— Myle? *Pshaw!* Czy nie widział pan, jak cisnąłem miliony do jeziora?!

— Czy nie można ich wydobyć?

— Z tej wody, której dna nikt jeszcze nie namacał?

— Dno ma każda woda.

— Owszem, niech pan się zanurzy! Nie wiem, jak głęboko potrafi człowiek nurkować, ale jeśli nawet pan zejdzie na dno, jeśli będziesz mógł dopóty dawać nura, dopóki nie znajdziesz torby, papiery będą zniszczone i pozbawione wartości.

— Nie sądzę.

— Nie? Mniema pan, że woda nie przeniknie do torby?

— Przeniknie, owszem, nie tylko do torby, ale także do pugilaresu; który tkwił w torbie i zawierał papiery.

— Pug ... pugila ... pugilares? Co pan wie o pugilaresie? — zapytał zdumiony.

— Powiedziałem już panu, że wiem wszystko. Dowiedziałem się wszystkiego, aczkolwiek mówił pan, że niepodobna cię podsłuchiwać. *Master* Melton, jesteś nieostrożnym, nader nieostrożnym młodzieńcem! Nie wiedział pan, co posiadałeś w torbie, a raczej czegoś nie posiadał!

— Nie pojmuję pana!

— Wiem o każdym szelągu, który mam przy sobie. Pan zaś posiadał miliony, a nie troszczyłeś się o nie tak, jak ja, się troszczę o swoich niewiele dolarów i centów.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Czy zagrabione pieniądze istotnie tkwiły w torbie, którą pan miał na sobie?

— Tak. Mogę to szczerze wyznać, ponieważ torby nie ma już i nie będzie.

— Nieprawda! Pieniądze nie leżą w jeziorze.

— A gdzie.

— Tu w mojej kieszeni. Mówiąc to, uderzyłem się w piersi.

— Oho! Nie wystawiaj się pan na pośmiewisko! Chce mnie pan rozdrażnić; nie myśl jednak, że ci się to uda.

— Uda mi się. Posiadam pieniądze!

— Pokaż je mi pan!

— Dobrze! Czy zna pan ten pugilares? Wyciągnąłem portfel i zbliżyłem, do jego twarzy.

— Do piorunów! — krzyknął. — To jest... to jest... tak, to jest mój...

— Pugilares — dokończyłem.

— Nie, nie! Nie może być; nie powinno być! — krzyknął. — To pugilares tylko podobny do mego. Nie dam się zwieść!

— Dowiodę panu, że mówię prawdę.

Otworzyłem pugilares i pokazałem zawartość każdej przegródki. Rozwiąłem ostatni cień złudzenia. Aczkolwiek, miał ręce i nogi związane, zerwał się jednym, silnym ruchem, lecz od razu runął z powrotem. Krzyczał jak obłąkany:

— To ten, to ten! To moja torba! To moje miliony! O ty diable, diable tysiąckrotny! Jakże się dobrałeś do moich pieniędzy?

Gdybym nawet chciał, nie mógłbym odpowiedzieć, albowiem Judyta wtórowała mu swoim przeraźliwym głosem. Pieniądze ocalone, lecz w moich rękach, doprowadzały ich niemal do szaleństwa. Nie krzyczeli — ryczeli po prostu! Potoczyli się ku mnie, uczepili się mojej nogi palcami spętanych rąk. Żydówka kwiczała:

— Oddaj pieniądze, oddaj, ty złodzieju, morderco, oszuście! Zwróć je!...

Była to odrażająca scena. Zachowywali się jak dzikie bestie. Odepchnąłem ich nogami, ale przysuwali się od nowa. Byłem zmuszony tak ich przewiązać, żeby nie mogli się ruszyć z miejsca. Opierali się, jakby oszaleli. Niepodobna opisać twarzy Jonatana. Oczy mu wyłaziły z orbit i były krwią zalane. Już nie krzyczał, ani ryczał, tylko wył niczym rozwścieczony zwierz. Nie mogłem znieść dłużej tego widoku i oddaliłem się, aby przygotować konia do drogi. Skoro mnie Melton ujrzał w siodle, zawołał, abym się doń ponownie zbliżył.

Uczyliłem zadość jego żądaniu. Spojrzał na mnie z wyrazem wściekłej nienawiści i zapytał, tłumiąc gniew:

— Skąd masz pugilares? Kiedyś go zdobył?

— Owej nocy, kiedy pan opuścił Jasną Skałę.

— Od kogo dostałeś?

— Od ciebie samego.

— Nieprawda!

— *Pah!* Podczas gdyście wszyscy siedzieli z wodzem, radząc o wyprawie przeciw Nijorom, ja, spokojnie was podpatrywałem.

— Nie może to być! Jakżebyś się znalazł pośrodku obozu? Jak — żebyś mógł podsłuchiwać niepostrzeżenie?

— Bardzo głupie mniemanie, że nie mogłem podsłuchiwać. Co więcej, rozmawiałem ze śpiewaczką.

— Mógłby z nią rozmawiać tylko człowiek niewidzialny!

— Nie bądź pan śmieszny! Siedziałem w wodzie. Płynąłem rzeką, aż do środka obozu. Doświadczony *westman* wie, jak się do tego zabrać. Zresztą, wiele zawdzięczam nieostrożności pana.

— Przecież, musiał pan być w moim namiocie!...

— Naturalnie. Należycie zbadałem zawartość torby i znalazłem pugilares.

— O diable, diable! Gdybym tak mógł, jak pragnę, rozerwałbym cię na tysiąc, kawałków!

Mówiąc to, szamotał się w więzach.

— Nie trudź się! Rzemienie są mocne. Zresztą pojął pan, że w dzieciństwie nie bito mnie w ciemność. Gdybym się nie podkraść pod obóz Mogollonów i nie zabrał pieniędzy, to...

— To spoczywałyby teraz na dnie jeziora! — zakończył wściekle.

— O nie, bynajmniej, nie to chciałem powiedzieć. W takim razie nie udałoby się panu cisnąć torby do wody. Kiedy pan nabijał ją kamieniem, stałem w pobliżu. Gdybym wówczas nie miał jeszcze pieniędzy, skoczyłbym błyskawicznie, aby panu przeszkodzić. A oto mogłem z ukrytym zadowoleniem przyglądać się domniemanej zagładzie milionów. Powiedział pan uprzednio, że nikt nie zyska, a jednak uzyska je ktoś, a mianowicie prawowici spadkobiercy.

— Niech pana diabeł porwie! Byłem tak pewny pugilaresu, że od dłuższego czasu ani razu nie zaglądałem do torby. Czy oprócz... oprócz pieniędzy są tam inne jeszcze rzeczy?

— Tak, listy, jak mi się zdaje.

— Czytał je pan?

— Nie. Są własnością spadkobierców, którzy pierwsi je przeczytają.

— Śmierć i potępienie! Posłuchaj, co ci powiem! Pieniądze są jeszcze, a ja także jeszcze jestem. Nie sądz, że pewnie ściskasz miliony w garści. Skoro zobaczyłem pugilares, jeszcze gry nie porzucam. Chodzi o miliony, rozumie pan, o miliony, a o miliony będę walczył do ostatniego tchnienia!

— Walcz pan, *master* Melton, walcz, z kim ci się żywnie podoba! Nasza w tym głowa, abyś nie mógł popisywać się swoim bohaterstwem. Masz pan słuszność; chodzi o miliony. Mam je wreszcie w rękę; zdybałem także pana. Daję ci słowo, że ani pieniędzy, ani ciebie z rąk nie wypuszczę.

Podjechałem do Emery'ego i Dunkera i zaleciłem im jak największą uwagę zwracać na jeńców.

— Bądź pan spokojny, *sir!* — rzekł Długi Wili. — Ja sam będę ich strzegł przez całą noc z nożem w rękę.

— Polegam na panu. Melton dopiero co mi oznajmił, że poważy się na wszystko, byle odzyskać pieniądze. Oczywiście, myśli o ucieczce. Niestety, muszę teraz odjechać, pocieszam się jednak, że zostawiam go w pewnych rękach.

— *Sir*, tylko śmierć nam go wydrze! Może pan spokojnie jechać.

Ponieważ Emery dał mi takie samo zapewnienie, więc odjechałem bez frasunku. Oznaczywszy z dowódcą oddziału czas wymarszu, opuściłem miejsce tak fatalne dla fałszywego spadkobiercy.

Musiałem się spieszyć, aby w oznaczonym przez Winnetou czasie przybyć na spotkanie. Dosiadałem świetnego i teraz wypoczętego bieguna, a poza tym znałem, jeśli nie samą drogę, to kierunek, w jakim należało szukać Apacza. Muszę napomknąć, że zabrałem ze sobą jednego Nijorę na rączym koniu, aby, jeśli zajdzie potrzeba, wysłać go z poselstwem do wodza.

\* \* \*

Dzień upłynął, zmierzch zapadł głęboki. Piękny to był wieczór; gwiazdy jaśniały na niebie, a ostra tarcza młodego miesiąca — początku pierwszej kwadry — chyliła się nad samym nieba widnokrzem. Księżyc dobrotliwy, ze skromności unikając ludzkiego wzroku, jeszcze za dnia wszedł. Nie powiem, żebym lubił mrok nocy, ale oto ze wschodu nadciągała wielka chmura, więc wiatr z owej strony dał silny i mogłem spodziewać się, iż coraz bardziej rozszerzać się będzie i zaćmi światło gwiazdne.

Pędziliśmy, nie mówiąc słowa, poprzez rozległą równinę. Nijora skromnie się trzymał za mną, nie ważąc się jechać u mego boku. Raz tylko jeden zamieniliśmy ze sobą słów kilka. Jako Nijora, znał dokładnie miejscowość, której ja znać nie mogłem, ponieważ dnia poprzedniego przybyliśmy do Cienistego Źródła nie od strony Głębokich Wód, lecz Jasnej Skały. Dlatego zapytałem, skoro mi się zdało, że przybyliśmy na miejsce schadzki z Winnetou:

— Mój brat pozwoli mi znaleźć drogę. Czy jesteśmy na właściwej drodze do Cienistego Źródła?

— Old Shatterhand znajduje każdą drogę nawet wówczas, kiedy jej nie zna — odrzekł.

— Sądzę, że dzieli nas kwadrans drogi do źródła. Czy tak?

— Jest dokładnie tak, jak mój biały brat powiada.

Wobec tego pojechaliśmy nieco dalej; po czym zatrzymaliśmy się, ja zaś wystrzeliłem z niedźwiedziówki. Spodziewałem się wystrzału Winnetou. Ale zamiast tego rozległ się głos z niewielkiego oddalenia:

— Tu jestem! Poznałem odgłos broni mego przyjaciela, Szarlieh.

Niebawem podjechał Winnetou, podał mi rękę i rzekł:

— Tak dokładnie znalazłeś okolice, że byłeś tuż przy mnie. Mogłem ci odpowiedzieć ustami, zamiast strzelbą.



- Czy od dawna już jesteś? — zapytałem.
- Nie. Mogłem szpiegować, dopiero kiedy się ściemniło.
- Ale zobaczyłeś ich wcześniej?
- Tak. Zbliżyłem się do nich tak blisko, na ile się ważyć mogłem.
- Obozują nad Cienistym Źródłem?
- Tak. Mój brat wie, że tak wielu wojowników nie zmieści się dokoła źródła. Tam siedzi tylko wódz z trzema starymi wybitnymi wojownikami. Wszyscy inni obozują opodal nad wodą.
- Czy zaciągnęli strażę?
- Nie. Mogollonowie są wielce nieostrożni, łudzą się, że nikogo poza nimi nie ma w całej okolicy.
- Czy wiesz, gdzie stoi powóz?
- Dwukrotnie przekradłem się wokół całego obozu i zobaczyłem powóz dokładnie. Stoi w pobliżu wodza, we wodzie.
- A gdzie jeńcy?
- Siedzą w powozie. Strzeże ich tylko jeden strażnik.
- Ja bym również pragnął zobaczyć powóz.
- O to nietrudno, a jeśli przeczekaś kilka chwil, przyjdzie ci to z łatwością. Chmura, która teraz zawisła nad nami, przed pół godziną była na wschodzie, jeszcze za pół godziny zakryje zaś drugą połowę nieba. Czy chcesz tyle czasu czekać?
- Chociaż nie ma niebezpieczeństwa; wolę być przezornym. Co do chmury to słusznie przewidywał. Coraz to bardziej się rozszerzała, aż wreszcie, w przewidzianym czasie, oblekła całe niebo.
- Teraz możemy ruszyć. Konie pozostaną tutaj pod nadzorem wojownika Nijora.
- W takim razie zostawię mu także obie strzelby.
- Zostaw jedynie niedźwiedziówkę; j a sztucer zabiorę ze sobą.
- Po co?
- Podczas gdy podkradniesz się do Mogollonów, j a opodal będę nasłuchiwał. Jeśli ci się przytrafi nieszczęście, powstanie zgiełk, który niezawodnie usłyszę. Wtenczas tylekroć wystrzelę ze sztucera, że przerażą się i puszczą ciebie.
- Wręczyłem zatem Nijorze ciężką strzelbę, Winnetou wziął mój sztucer, po czym poszliśmy na południe w kierunku Cienistego Źródła.
- Chmura tak przyćmiła światło gwiazd i zrobiło się wyjątkowo ciemno. Po upływie przeszło piętnastu minut Winnetou zatrzymał się i oświadczył szeptem:
- O sto kroków stąd znajdziesz się przy pierwszej krzewinie, którą znasz, ponieważ już tam byliśmy. Na wprost niej bije źródło, nad którym siedzi wódz. Płyne na lewo; tam siedzą pozostali wojownicy. Między nimi, a wodzem stoi powóz.
- A gdzie są konie?
- Skubią trawę po tamtej stronie zagajnika.
- Spróbuję podkraść się do wodza.
- W takim razie brat mój musi być nader ostrożny.
- Czemuż to Winnetou udziela mi takiej rady? Wódz siedzi w pobliżu źródła, tam rośnie gęsto zagajnik, w którym mogą się ukryć, jeśli na prawo stamtąd nie leżą wojownicy.
- Poprzednio nie było żadnych.
- A więc nie sądzę, żeby się później ułożyli, gdyż nie ma tam wody.
- Czy aby chcesz się rozmówić z jeńcami?
- Owszem, o ile będę mógł.
- Muszę cię zatem ostrzec, aczkolwiek źle przyjąłeś moje poprzednie słowa. Bardzo to niebezpieczne podkraść się do nich, a niebezpieczniej jeszcze rozmawiać z nimi.

— Będę ostrożny i zarzucę swój zamiar, jeśli się przekonam, że jest zbyt śmiały. A zatem, jeśli mi się coś przytrafi, to zechcesz strzelać, ale dopiero wtedy, gdy usłyszysz dwa lub trzy strzały z mego rewolweru.

— Zgoda; chociaż wolałbym, aby nie zaszła potrzeba. Opuściłem Apacza i skradałem się naprzód cichaczem i powoli.

Natknąłem się na kamień. Niespodziana myśl strzeliła mi do głowy. Kamień mógł mi się przydać. Wielkością odpowiadał połowie ręki. Podniosłem go i schowałem; po czym nachyliłem się i jąłem macać dokoła. Znalazłem pięć, czy sześć podobnych kamieni, te też schowawszy, ruszyłem dalej.

Skoro przebyłem około sześćdziesięciu kroków, położyłem się, aby dalej już tylko pełzać. Niebawem dotarłem do zagajnika. Było ciemno, choć oko wykol. Mogollonowie nie zapalili ogniska. Nie pytałem o to wcale Winnetou przez niedbałość, której nie mogłem sobie wytłumaczyć. Nie byłem rad, że wrogowie siedzieli o mroku, lecz równocześnie cieszyło mnie, że mrok nie pozwalał im mnie zobaczyć. Nie zapalono światła prawdopodobnie z przeczności; Indianie zachowywali się tak cicho, że nie słyszałem żadnego szmeru, aczkolwiek przysunąłem się nader blisko.

Pełzając cal po calu, docierałem od jednego drzewa do drugiego, aż wreszcie usłyszałem głosy. Jednocześnie poczułem zapach tabaki, jaką zwykli kurzyć Indianie, mianowicie mieszaniny nadmiernej ilości dzikich konopi i odrobiny tytoniu. W końcu zobaczyłem drobne ognisko; nic dziwnego, że nie było widoczne z dala. Rozpalono je w małym zagłębieniu gruntu z kilku zaledwie gałęzi, aby światło nie rozchodziło się daleko. Płomień jego miał jedynie dostarczać ognia do fajek.

Jakkolwiek więc ognisko było niewielkie, wzniecało dokoła siebie tyle światła, że mogłem rozpoznać wodza i trzech starych wojowników, którzy siedzieli nad źródłem. Rosły tam dwa przylegające do siebie krzewy, podsunąłem się ku nim i przyległem do ziemi, tak, że jeśliby nawet ktoś mnie wyminął, uszedłbym jego oczu. Chyba, że się nachyli. Byłem tak blisko czerwonych, że mogłem podsłuchać każde ich słowo.

Tak, każde ich słowo, gdyby tylko mówili. Niestety, panowało milczenie. Kurzyli i kurzyli, nie zamieniając ze sobą ani zgłoski. Czekałem pięć minut, dziesięć, kwadrans i znów kwadrans — nie rzekli ani słowa. To była nie tylko próba cierpliwości, to była, wiercie mi, próba o wiele cięższa. Silny, fatalny zapach dzikich konopi, jak gdyby specjalnie dla mnie przeznaczony, wgryzł się w nos i pobudzał do kichania. Na szczęście, miałem wprawę w tłumieniu kaszlu i kichania ale bądź co bądź nie należało za długo igrać z niebezpieczeństwem. Chciałem się już wycofać, gdy oto rozległ się przed zagajnikiem okrzyk.

— *Uff!* — powiedział wódz. — Zwiadowcy!

A zatem nadchodzili zwiadowcy. W każdym razie usłyszę cokolwiek bądź, kiedy zdadzą meldunek. Pozostałem więc na miejscu i nie czułem już najmniejszej chęci do kichania. Tak, duch włada także nad nosem.

Usłyszałem tętent kopyt i jakby odgłos zeskakiwania z siodła. Ukazali się dwaj wojownicy; jeden się zbliżył, drugi pozostał opodal. Więc zdawać sprawę miał pierwszy. Jednakże nie wyrzekł ani słowa, z uszanowaniem oczekując zapytania wodza. Ten zaś w poczuciu godności trwał w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przerwał je słowami:

— Moi młodzi bracia późno wracają, musieli zapędzić się daleko na południe. Dokąd dotarliście?

— Aż poza Mroczną Dolinę.

— Czy widzieliście pastwiska Nijorów?

— Nie. Tak daleko nie byliśmy.

— Ale zapamiętaliście drogę, którą mamy przebyć?

— Znamy drogę tak dobrze, jakbyśmy ją już wielokrotnie przejechali.

— Czy trudna do przebycia?

— Nie. Tylko dla powozu uciążliwe będzie wspinanie się na Łysinę Kanionu.  
— Czy nie widzieliście żadnego z tych psów Nijorów?  
— Jednego między Łysiną Kanionu a Mroczną Doliną.  
— Skąd przybywał?  
— Z północy i jechał na południe.  
— Przybywał tedy stąd i wracał do domu?  
— Wracał do domu, ale czy stąd przybywał, o tym nie mogliśmy się przekonać.  
— Czy was zauważył?  
— Nie. Dostrzegliśmy go pierwsi i zdołali się ukryć.  
— Czemuście go nie schwytali?  
— Sądziliśmy, że lepiej go przepuścić.  
— Czy nosił barwy wojenne?  
— Nie.  
— A zatem droga na Łysinę Kanionu i z niej, jest uciążliwa dla powozu?  
— Tak stroma jest i wąska, że dużo czasu stracimy na przeprowadzenie powozu do Mrocznej Doliny.

— *Uff!* Słyszałem was; możecie spocząć.

Obaj wywiadowcy odeszli. Przypuszczałem, że czterej Indianie zaczną się teraz naradzać; ale wciąż trwali w milczeniu. Minął kwadrans, zanim wódz zapytał:

— Co powiedzą moi trzej bracia o słowach wywiadowców?

— *Uff!* — odpowiedział pierwszy.

— *Uff!* — rzeki po chwili drugi.

— *Uff!* — ozwał się trzeci, ale ten, widocznie gadatliwy, dodał: — Niech wódz najpierw wypowie swoje zdanie.

Wódz przeczekał pięć czy sześć minut, po czym rzekł:

— Czy moi bracia nie uważają, że pies, którego spostrzegli wywiadowcy, wracał ze zwiadów?

— Nie — odrzekł najstarszy. — Musiałby tu być, gdyby wysłano go na zwiady. Kiedyśmy zaś tutaj przybyli, nie spostrzegliśmy żadnego śladu. A zatem wracał skądinąd i nie jest zwiadowcą.

— Mój brat słusznie rozumuje. Ale czy dobrze postąpili nasi wywiadowcy, przepuszczając go mimo siebie?

— Tak. Skoro wróci cały do obozu, nikomu nie wpadnie na myśl, że wróg znajduje się w pobliżu.

— Cóż jednak, jeśli naprawdę był zwiadowcą? Później przekonamy się, czy zwiadowcy postąpili właściwie.

Wódz był na tropie, gdyż Nijora, dostrzeżony przez obu zwiadowców, był owym gońcem, którego rano wysłałem z Głębokich Wód. Ale nawet gdyby go schwytali, nie ponieśliśmy żadnej straty. Nijora bowiem słowa by nie pisnął. Wódz dodał:

— A co myślą moi bracia w sprawie powozu?

— Trzeba go było zostawić w obozie — odparł znów najstarszy.

— Ale jeńcy nie mogą jechać konno!

— Powinni więc byli również zostać. Mogliśmy zostawić przy nich kilku doświadczonych wojowników.

— Nie mogliby ich obronić.

— Czy aby przed Winnetou i Old Shatterhandem?

— Tak. Mój brat słyszał już, że obaj słynni mężowie wraz ze swoimi towarzyszami wtargnęli do pueblo, aby schwycić białego, który się zowie Melton, a który im zbiegł. Będą go tedy ścigać.

— O ile jego ślad odszukają!...

— Owi wojownicy znajdą każdy ślad; znajdą więc i trop Meltona, i podążą nim. Podszczuli na nas Nijorów, dlatego wysłałem przeciwko nim Meltona wraz z pięćdziesięcioma wojownikami. Jeśli natkną się na tamtych, wezmą ich w niewolę. Ale jeśli się nie natkną, to Winnetou, Old Shatterhand i pozostali pojedą do naszego obozu przy Jasnej Skale, po czym udadzą się w ślad za nami.

— W takim razie wielkie niebezpieczeństwo grozi nam na tyłach!

— Dościgną nas po klęsce Nijorów, a wtedy schwytny ich do niewoli. Więc dobrze się stało, że zabraliśmy ze sobą jeńców, bo gdybyśmy ich zostawili w obozie, to nawet trzydziestu wojowników nie potrafiłoby ich zachować przed bystrością Old Shatterhanda i Winnetou.

Pocziwy wódz Mogollonów był o nas dobrego mniemania. Niestety, wszystkie jego przypuszczenia i wyrachowania okazały się fałszywe. Gdyby przypuszczał, a cóż dopiero gdyby wiedział, że ja znajduję się w pobliżu i podsłuchuję, nie ciągnąłby z takim spokojem:

— Powóz musielibyśmy i tak ze sobą zabrać, gdyż jeńcy nie umieją utrzymać się w siodle i hamowaliby szybkość wyprawy.

— Ale skoro nie zdołamy przeprowadzić go przez wąwóz, będą i tak musieli jechać konno, — rzekł najstarszy.

— Przekonamy się, czy aby wąwóz jest naprawdę tak wąski. Skoro jutro rano wyruszymy, zostawimy za sobą jeńców pod należytą osłoną. Pojadą za nami po kilku godzinach. Dotrzemy do wąwozu wcześniej od nich i, być może, zdołamy rozszerzyć wąskie przejście.

— Czy możemy tracić tyle czasu?

— Nie wymaga ta praca wiele czasu. Tomahawkami szybko odrąbiemy boki głazów.  
*Hówgh!*

To słowo oznaczało zakończenie narady. Ponieważ wódz umilkł, milczeli także wojownicy. Wiedziałem, że ponowna rozmowa może się rozpocząć po długiej pauzie, nie zamierzałem tak długo czekać.

Wycofałem się ku krzewinie i skręciłem na lewo; gdzie stał powóz.

Po przeciwniejszej stronie jeziora siedział w trawie Indianin, a obok niego leżała strzelba. Był to wartownik.

Najpierw poczołgałem się dalej, musiałem bowiem wiedzieć, gdzie siedzieli najbliżsi Mogollonowie. Dzieliło mnie od nich dwanaście zaledwie, czy czternaście kroków. Następnie wróciłem do powozu. Był to wysoki i szeroki dyliżans pocztowy, stary potwór, jakiego obecnie nigdzie nie znajdziesz.

## NA ŁYSINIE KANIONU

Jak już wspomniałem, chmura przykryła gwiazdy. Pod starą karetą było jeszcze mroczniej, niż dookoła, a ponieważ znajdowałem się w cieniu, przeto wartownik nie mógł mnie zobaczyć, aczkolwiek ja go widziałem dokładnie.

Ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem, że zwrócone ku mnie okno wozu było otwarte. Jeśli w powozie siedzieli jeńcy, Mogollonowie dopuścili się karygodnej nieostrożności. Może jednak umieszczono ich teraz gdzieś indziej i mylił się Winnetou. A może — hm, to byłoby głupie! — może siedział w wozie drugi wartownik?

Zamierzałem rozmówić się z jeńcami, więc niechętnie bym z tego zrezygnował. Ale jakże się do dzieła zabrać? Mogły zajść dwa wypadki, albo nie było ich wewnątrz, albo siedzieli w towarzystwie Mogollona. Jakże się tu przekonać, który z tych wypadków zachodzi, nie wystawiając się przy tym na niebezpieczeństwo? Podniosłem się do połowy, ale przy kołach tak, że dwa koła dzieliły mnie od wartownika nad wodą, który nie mógł mnie zobaczyć. Zapukałem do drzwi i natychmiast przykucnąłem z powrotem. Zapukałem tak, że siedzący wewnątrz mogli usłyszeć, ale nie ów strażnik, leżący na trawie. Jeśliby w wozie siedział Mogollon, to na pewno by wyjrzał oknem. Oczami zwrócony ku niebu, mogłem wyraźnie widzieć, nie ukazywała się niczyja głowa. Zapukałem po raz wtóry, również daremnie. Zapukałem po raz trzeci, po czym dopiero odpowiedziało mi lekkie pukanie w dno karety. Ach, a zatem byli tam! I to bez nadzoru! Ale zapewne spętani; w przeciwnym razie nie otwierano by okna. Podniosłem się, oparłem głowę o parapet i zapytałem szeptem:

— Murphy, czy to pan?

— *Yes.*

— Czy jest dosyć miejsca z tej strony?

— Tak. Czy chce pan wejść *sir!* Na miłość boską, od razu pana zdybią!

— Nic podobnego! Wewnątrz jestem o wiele pewniejszy, niż tutaj. Czy drzwi skrzypią, skoro się je otwiera?

— Nie. Metalowe zawiasy zerwały się gdzieś po drodze i zastąpiono je skórzanymi.

— Dobrze, a więc wsiałam!

Pytania i odpowiedzi padały szybko, jak tego wymagała sytuacja. Przyległem w trawie i poprzez przednie i tylne koła zerkałem ku strażnikowi. Siedział w tym samym miejscu. Wyciągnąłem kamień, wycelowałem dobrze i rzuciłem tak, że padł o wiele kroków za strażnikiem. Indianin, usłyszawszy szmer, zerwał się i natężył słuch. Wyjąłem drugi kamień i rzuciłem jeszcze dalej. Mogollon dał się oszukać i ruszył w kierunku szmeru, a zatem nie mógł nas widzieć, ani słyszeć. W okamgnieniu podniosłem się, otworzyłem drzwi, wsiałem i zamknąłem z powrotem. Nie rozległ się najlżejszy szmer. Omackiem wyczułem z lewej strony oboje jeńców, siedzących przy sobie. Z prawej strony było dosyć miejsca dla mnie. Usiałem. Ku ponownemu zdumieniu zauważyłem, że i z drugiej strony okno było otwarte.

— Otóż i pan, *sir!* — szepnął adwokat spiesźnie. — Co za zuchwałość! Ważył się pan...

— Ciszej! — przerwałem. — Teraz ani słowa! Muszę obserwować strażnika.

Wyjrzawszy oknem, zobaczyłem, jak wracał zaniepokojony. Rozglądał się nieufnie, podszedł do wozu i zapytał:

— Czy oboje biali są tu jeszcze?

Wysławiał się w spaczonym angielskim żargonie.

— *Yes!* — odpowiedzieli oboje naraz.

Sądziłem, że to mu wystarczy, wszelako myliłem się, gdyż dodał teraz w swoim żargonie hiszpańsko — indiańskim.

— Słyszałem szmer. Czy więzy są na miejscu? Zbadam je.

Postawił nogę na stopniu powozu, sięgnął ręką przez okno i dotknął śpiewaczki. Poznawszy się, że jej pęta nie są naruszone, zszedł ze stopnia i podążył ku drugiemu oknu.

Co rychlej odsunąłem się, jak mogłem najdalej. Ukazał się przy drugim oknie, sięgnął i zbadał więzy prawnika. Po czym zniknął z niepojętym pomrukiem. Przez okno zobaczyłem, jak usiadł z powrotem na swoim dawnym miejscu.

— Teraz możemy mówić — rzekłem. — Lecz strzeżcie się wymawiać głośno „s”, czy inne świszczące dźwięki. Strażnik się uspokoił.

— Mój Boże, w jakim byłeś pan niebezpieczeństwie! Przecież wystarczyło tylko sięgnąć ręką, jużby miał pana!

— Lub ja jego. Nie troszcz się pan o mnie! Zostanę w powozie, dopóki mi się spodoba i opuszczę kiedy zechcę.

— Ale chodzi nie tylko o wolność, ale i o życie! — szepnęła Marta drżącym głosem.

— Ani o jedno, ani o drugie, jestem absolutnie bezpieczny. Jak was spętano?

— Przywiązano nas do siebie lassem i opleciono jego końcem. Potem związano nam ręce na plecach. A wreszcie, na szyi mamy pętle, przytwierdzoną na dole do siedzenia. Nie możemy się podnieść.

— Jest to wielce skomplikowany sposób zabezpieczenia waszych osób. Przy tym wszystkim zbyteczny jest wartownik. Nie dziwię się więc, że otworzyli okna, aby wam dać nieco świeżego powietrza.

— Okna? To jest tylko ułuda! Nie ma tu okien; wyjął je własnoręcznie wódz. Wiedziałyby pan, jaką ogromną wartość przedstawiają takie dwie szyby dla czerwonego draba!

— To prawda. Więc dlatego okna są otwarte. Pięknie. Przede wszystkim muszę wam powiedzieć, co macie czynić na wypadek, jeśli mnie odkryją.

— Co?

— Poczekaj pan, aż zbadam wasze pęta!

Rezultat badań godził się z opisem, podanym przez Murphy’ego.

— Tak — rzekłam. — Teraz wiem, jak obracać nożem.

— Nożem?

— Tak. Jeśli mnie nie odkryją, niewola wasza potrwa do jutra rana, ale jeśli odkryją, będziecie natychmiast wolni. Uważajcie! Skoro tylko mnie zauważą, przetnę wasze pęta. To wymaga nie więcej, niż dziesięć sekund. Potem dwoma rewolwerami powstrzymam czerwonych, wy zaś tymczasem wyskoczycie z lewej strony powozu i pomkniecie w prostym kierunku do zagajnika. Tam usłyszycie wystrzały. To Winnetou, wykrzyknijcie jego imię. Skoro go dopadniecie, jesteście bezpieczni, gdyż wszyscy Mogollonowie, nawet w liczbie trzech mężczyzn, czy czterystu, jeśli usłyszą imię Winnetou, nie ośmielę ścigać was w ciemnościach.

— Dobrze, ale pan? Czy chce pan zostać?

— Ani mi to w głowie nie powstało! Skoro tylko zobaczę, że uciekliście szczęśliwie, pójdę za waszym przykładem.

— Okrążą pana i... zastrzelą!

— *Pshaw!* Bądźcie dobrej myśli! Nie znacie Zachodu, ja natomiast znam go, jak własnych pięć palców i wiem, jak się to wszystko odbędzie. Być może wódz lub, jeśli nastąpi zamiana warty wasz strażnik zechce się przekonać o waszym stanie. Tylko w tych wypadkach można mnie odkryć. Będziemy mieli do czynienia w każdym razie z dwoma, najwyżej trzema, czy czterema osobami, a tylu sprzątną moje kule w trzy, lub cztery sekundy. Oczywiście, powstanie alarm, ale i popłoch, więc nikt się nie odważy podejść do miejsca, skąd padły strzały, to znaczy do powozu. Tymczasem was już dawno nie będzie, a i ja najwyżej jeszcze po paru strzałach się ulotnię. Zresztą, prawdopodobnie będę się salwował razem z wami.

— Pioruny! — rzekł adwokat. — Gra idzie o śmierć i życie, a pan mówi tak chłodno, tak spokojnie, jak gdybyś miał wyjaśnić dzieciom tabliczkę mnożenia!

— Jak mam, mówić inaczej? Nie grozi mi teraz najmniejsze niebezpieczeństwo. Wiecie już, co czynić w razie, jeśli mnie przyłapie jakiś ciekawski. Jeśli zaś to się nie stanie, będziecie wolni dopiero jutro rano.

— Oby Bóg dał żeby się pana zapewnienia urzeczywistniły! Ale poza naszym uwolnieniem jest jeszcze sporo roboty. Trzeba schwytać Jonatana Meltona.

— Już żeśmy go schwytali.

— Jak... co... *sir*...!

— Ciszej, sza! — ostrzegałem, przerywając mu. — To nazywa pan szeptem? Czerwony gotów usłyszeć!

— To prawda! Czy mam wierzyć? *Sir*, chciałbym głośno krzyknąć hura!

— Później będzie pan mógł krzyczeć na całe gardło.

— Gdzie go pan schwycił?

— U głębokich Wód, gdzie poprzednio wasz powóz się zatrzymał. Mam i Meltona, i pieniądze.

— Gdzie, gdzie? — zapytał ciekawie.

— Tu, w kieszeni.

— Jak? Co? Nosi pan przy sobie tak ogromną sumę!

— Naturalnie! Czy miałem ją zawiesić na drzewie lub zakopać w ziemi?

— I zapędził się pan aż tutaj, pomiędzy cztery setki wroga, aż do tego dyliżansu? Jeśli pana zdybia, to z pieniędzmi znów koniec!

— Nie zdybia mnie! Mam niezłomne przekonanie, że moje kieszenie są wciąż jeszcze lepszym schowkiem niż pańska kasa w Nowym Orleanie. Zresztą, okoliczność, że trzymam przy sobie pieniądze, może świadczyć, jak pewnie się czuję w tym starym dyliżansie. Życzyłbym tylko sobie, aby majątek, skoro go wręczę prawemu właścicielowi, nie był wystawiony na większe niebezpieczeństwo, niż teraz w mojej kieszeni. Ale zesłaliśmy z naszego tematu. Chcieliśmy mówić o Jonatanie Meltonie.

— Tak. Żałuję, że nie był pan świadkiem jego zachowania się wobec mnie, kiedy przyjechał do Mogollonów i ujrzał nas w niewoli!

— Czy jeszcze wciąż się podawał za prawdziwego Smalla Huntera?

— Ani mu się śniło. Pragnąłbym go zadusić własnymi palcami!

— Jego przyznanie się bardzo nam się później przyda.

— Oznajmił mi nawet z piekielną radością, że ani ja, ani pani Werner nie ujrzymy już Frisco.

— Za to on sam zobaczy go niebawem i to w naszym towarzystwie. Nareszcie został unieszkodliwiony, chociaż nie traci nadziei, że zdoła się uwolnić.

— Tak? Czyżby?

— Powiedział mi to wyraźnie.

— Ten szubrawiec! Opowiadaj *sir*! Muszę wiedzieć, w jaki sposób wpadł w wasze ręce!

Nie trzeba napomykać, że rozmawiając zachowywaliśmy wszelkie środki ostrożności i że wartownik często patrzył się w okno. Adwokat, który czuł się dobrze wśród paragrafów prawa, ale nie na pustkowiu, lękał się o samego siebie, a co dopiero o mnie. Śpiewaczka była zdjęta mniejszym lękiem. Ja natomiast rozpierałem się beztroski we wnętrzu starej karety, która była bezpieczniejszym dla mnie schronieniem, aniżeli pobliski zagajnik. Mogłem przeto z całą swobodą opowiadać dzieje schwytania Meltona oczywiście, rzucając częste spojrzenia na strażnika. Jednakże nie obeszło się bez niebezpiecznej przeprawy. Nie zakończyłem jeszcze opowieści, gdy byłem zmuszony zamilknąć. Usłyszałem kroki i, wyjrzawszy, zobaczyłem nadchodzącego czerwonego, który miał złuzować swego kamrata. Ten podniósł się, tamten jednak podszedł uprzednio do powozu, stanął na stopniu i zbałał więzy w ten sam sposób, w jaki to poprzednio uczynił jego poprzednik, z początku więc z prawej, a następnie z lewej

strony. Oczywiście, za jednym i drugim razem przycisnąłem się do przeciwległych kątów dyliżansu, dzięki czemu uniknąłem niebezpieczeństwa.

Poprzedni wartownik odszedł, a obecny usiadł na jego miejscu.

Opowiedziawszy jeńcom pokrótce o Meltonie, dodałem:

— Mogollonowie z pierwszym brzaskiem wyruszą. Wy zostaniecie przez jakiś czas w powozie pod odpowiednim nadzorem. Napadniemy na waszą eskortę, a wówczas będziecie wolni.

— Jak to brzmi! — odezwał się adwokat. — Napadniemy na eskortę, a wówczas będziecie wolni! Jak gdyby powiedział: Wypełnimy akta, a wy je podpiszecie! A więc pan mniema, że eskorta nie będzie się broniła?

— Być może, a nawet prawdopodobnie.

— Straszne! I to mówisz pan z takim spokojem! *Sir*, proszę pana, zaprowadź mnie tylko tym razem szczęśliwie do domu! Przenigdy w życiu moja noga nie postanie na Dzikim Zachodzie! Jak pan sądzi, czy konwój będzie silny?

— Wątpię. Wódz zostawił tylko niezbędną ilość wojowników, przypuszczalnie dziesięciu.

— Ci wszak nie podolają wam i waszej setce Nijorów!

— Pełnej setki nie mamy; część oddziału musi strzec schwytanych Mogollonów. Mimo to, będzie nas sześćo— czy siedmiokrotnie więcej, niż Mogollonów. Dodajmy do tego przestrach i oszołomienie znienacka zaskoczonych wrogów. Mam nadzieję, że obejdzie się bez rozlewu krwi. No, na mnie już pora.

— Miej się pan na bacności, aby cię nie spostrzegł strażnik!

— Oddałę go tak samo, jak jego poprzednika. Wyciągnąłem dwa kamyki z kieszeni. Teraz odezwała się Marta po niemiecku, podczas, gdy dotychczas rozmawialiśmy po angielsku.

— Tak wiele panu zawdzięczamy, że ledwie śmiem prosić, aby powiększył pan mój dług o jeszcze jedną przysługę.

— Chętnie ją wyświadczę, jeśli będę mógł.

— Może pan. Oszczędzaj się! Czemu musi pan zawsze wybiegać naprzód! Pozostaw pan jutrzejszy napad innym!

— Dziękuję pani za życzliwość, która jest treścią tej „przysługi”. Chociaż zawsze się oszczędzam, chętnie pani przyrzeknę, że jutro szczególnie będę się miał na bacności.

Rzuciłem kamyk. Zauważyliśmy, że strażnik nadstuchiwał. Po drugim rzucie podniósł się i, skoro rzuciłem trzeci kamień, oddalił się w kierunku szmeru.

— Dobranoc! — rzekłem. — Wszystko się dobrze skończy. Bądźcie dobrej myśli!

Wysunąwszy rękę przez okno, otworzyłem drzwi, wysiadłem i po cichu zamknąłem je z powrotem. Niezwłocznie rzuciłem się na ziemię, albowiem strażnik wracał. Szmer padających kamyczków zbudził jego podejrzenie. Nie usiadł, ale podszedł, jak i poprzednik, do wozu i zbadał wnętrze, na szczęście z przeciwległej do mnie strony. Można było przypuścić, że podejdzie także i z tej strony, dlatego szybko odsunąłem się, jak mogłem najdalej i zatrzymałem, aby nie zwrócić żadnym ruchem jego uwagi. On jednak nie obszedł nawet powozu, tylko powrócił na swoje miejsce i usiadł. Teraz popelzłem dalej. Ponieważ wiedziałem, gdzie się wrogowie skupili, i że żadnego nie ma przede mną, przeto mogłem nawet się podnieść i spokojnie wrócić do Winnetou.

Winnetou stał wciąż jeszcze w tym samym miejscu, gdzie go opuściłem.

— Czy ci się dłużył czas oczekiwania? — spytałem.

— Nie — odparł. — Mój brat wprawdzie został dłużej, niż sądziłem, ale ponieważ nie słyszałem żadnego szmeru, więc zrozumiałem, że znalazłeś sposób na podglądanie wrogów i byłem spokojny.

— Tak, szpiegowałem. Ale wracajmy do koni! Nie mamy potrzeby stać tutaj w pobliżu wroga.



Nijora siedział przy koniach. Skoro nas zobaczył powstał pełen uszanowania. Usiedliśmy i polecili mu usiąść. Usłuchał, ale tak, że dzieliło nas nakazywane przez grzeczność indiańską oddalenie.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Wiedziałem, że Winnetou nie zagadnie mnie sam, ani nie poprosi o relację, przeto rzekłem:

— Mój brat niech się domyśli, gdzie siedziałem? Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i zapytał:

— Czy jeńcy byli jeszcze w powozie?

— Tak..

— W takim razie siedziałeś przy nich. Czy wie mój brat, co właściwie czynił?

— Co?

— Doświadczał Wielkiego Ducha, który tylko wówczas ochrania dobrych ludzi, kiedy nie bez powodu wystawiają się na niebezpieczeństwo. Kto bez powodu rzuca się do rwącego potoku, może, nawet jeśli jest dobrym człowiekiem, łatwo pójść na dno. Muszę skarcić mego brata za tę zuchwałość!

— We wnętrzu karety byłem o wiele bezpieczniejszy, niż gdzie indziej!

Opowiedziałem, co widziałem i słyszałem. Najważniejszą była okoliczność, że powóz miał zostać na miejscu po wymarszu Mogollonów.

— Napadniemy na straż i odbijemy jeńców — rzekł Apacz.

— Podzielał tę myśl, ale nie wiem, czy ją rozsądek wskazuje. Istnieje ważna przeszkoda, mianowicie ciasnota obu wozów. Jeśli wódz Mogollonów stwierdzi, że są dosyć szerokie, aby przepuścić powóz, w takim razie podąży naprzód, przypuszczając, że dyliżans jedzie w ślad za nim. Wówczas możemy odbić powóz tak, aby wódz dowiedział się o tym dopiero po dłuższym czasie.

— A jeśli drogi są zbyt wąskie?

— Wówczas zatrzyma się, aby tomahawkami przerąbać przejście. Jeśli zaś powóz nie nadejdzie we właściwym czasie, wódz po — weźmie podejrzenia i wyśle gońców. A w tym wypadku należałoby chwilowo zrezygnować z uwolnienia jeńców.

— Mój brat trafił mi do przekonania.

Powiedziawszy to, wpadł w długie zamyślenie. Domyślałem się nad czym to medytował, i nie chybiłem, gdyż niebawem odezwał się:

— Możemy spokojnie napaść na konwój, gdyż drogi są dosyć szerokie, aby przepuścić powóz.

— Czy wiesz na pewno?

— Tak. Oglądałem powóz i znam jego rozmiary. Ponieważ mamy napaść Mogollonów na terenie kanionu, przeto należy wziąć pod uwagę drogę pod górę, a nie z Łysiny. Pierwsza nie nastrocza zbyt trudności. Duchem przebywałem tam obecnie i oczyma duszy owe miejsce zmierzyłem. Powóz może przejść tamtędy.

— A zatem Mogollonowie nie zatrzymają się na dole, lecz wjadą na Łysinę bezzwłocznie.

— Tak jest. Możemy więc bez skrupułów napaść na pozostałych Mogollonów.

— Jak mniemasz, gdzie jest najodpowiedniejszy do napadu teren?

— Mój brat oglądał miejscowość, niech więc wyrazi swoje zdanie.

— Nie chciałbym zabijać, ani ranić nikogo. A więc napad musi nastąpić zniemacka.

— Czy mój brat widzi jakąś możliwość? Pierwszy lepszy Mogollon, który stoi na zewnątrz krzewiny, dostrzeże nas i zwoła swoich.

— W takim razie nie możemy nadejść tą drogą z północy, lecz z południa, skąd Mogollonowie jak najmniej się spodziewają wroga. Wszak wódz na czele oddziałów jedzie na poradnie. Skoro przybędziemy stamtąd o pół godziny później, eskorta powozu nie będzie nas uważała za nieprzyjaciół. Tak; najprawdopodobniej pomyślą, że jesteśmy oddziałem

Mogollonów, który musiał z jakiegoś powodu zawrócić z drogi, i dopiero nasze twarze dowiodą im pomyłki. Ale wtedy będzie już za późno.

— Mój brat, jak zawsze, mówił słusznie. Wykonamy jego plan. Ale co dalej?

— Od Cienistego Źródła do Łysiny Kanionu, gdzie odbędzie się walka są trzy godziny jazdy. Nie chciałbym wlec za sobą do Łysiny tych jeńców, których już mamy, jako też tych, których niebawem schwytamy. Przeszkadzać nam będą, a nawet sprowadzą niebezpieczeństwo.

— A co ma się z nimi stać?

— Niech zostaną pod odpowiednią strażą, nad Cienistym Źródłem. Oddaleni o trzy godziny drogi będziemy o nich spokojni. Pozostawimy na straży czterdziestu Nijorów pod dowództwem Emery'ego, a więc będziemy strzec jeńców tak starannie, jakbyśmy ich mieli przed oczami.

— Godzę się z tobą. Jeśli ich zabierzemy ze sobą, będziemy musieli nie tylko walczyć, ale także doglądać ich, przy czym jakaś niespodziewana okoliczność może im zwrócić wolność. Niechaj więc pozostaną na miejscu. Czy mój brat zamierza osobiście brać udział w walce?

— To zależy. Niechętnie zabijam człowieka, lecz Nijorowie są naszymi przyjaciółmi i braćmi, musimy ich tedy wesprzeć w walce z Mogollonami, wrogami nie tylko ich, ale także i naszymi. Zadanie nasze polega na tym, aby jechać w ślad za Mogollonami i zapędzić ich za wszelką cenę poprzez wąwóz Na Łysinę kanionu. Okoliczności wskażą, co należy potem czynić. Oczywiście wolałbym, aby Mogollonowie poddali się, zanim dojdzie do rozprawy.

— Nie można się tego po nich spodziewać, chyba, że zrozumieją całą beznadziejność swego położenia.

— A zatem trzeba im to wykazać. Plan, który przedstawiliśmy wodzowi Nijorów, do tego zmierza.

— Czy mój brat mniema, iż wódz nie odstąpi od tego planu?

— Głupcem byłby, gdyby odstąpił. A przecież sprawił na mnie wrażenie roztropnego wojownika.

— Rzeczą pożyteczną, ba, nawet niezbędną byłoby dowiedzieć się, czy istotnie usłuchał naszych zaleceń. Czy radzisz wysłać doń gońca i zapytać o to?

— Nie, za mało mamy czasu. Zanim goniec do niego dotrze, a potem wróci do nas, będzie już za późno. W drodze zaś na pewno natknie się na Mogollonów i może wpaść w ich ręce. A przy tym nie wystarczy zapewnienie, że wódz chce dać posłuch naszym zarządzeniom; należy wiedzieć, czy w rzeczy samej da im posłuch.

— Myślisz o nadzorze. A więc musiałby jeden z nas tam pojechać?

— Tak. Jedynie w tym wypadku, jeśli ty lub ja będziemy przy nim, można go będzie powstrzymać od zbędnego rozlewu krwi. Znam jeńców, których musimy odbić i jestem zaprzętnięty więcej od ciebie sprawami spadku, a więc strzeżeniem Jonatana Meltona. Ty zaś jesteś przyjacielem Nijorów od dłuższego czasu, więc ty powinienesz jechać do wodza.

— Mówisz słusznie; godzę się z tobą. Natychmiast wyruszę.

— Czy zabierzesz ze sobą młodego wojownika, który nam towarzyszy?

— Tak.

— A więc proszę cię, uważaj, aby na Łysinie las był gęsto obsadzony i za skałą było dosyć wojowników. Jeśli tak się stanie, dla Mogollonów nie będzie ratunku. Skoro nie zechcą się poddać, albo ich zabijemy, jak wywabioną z ostępu zwierzynę, albo zapędzimy do kanionu, aby jego czeluść zapełnili swymi zmiażdżonymi ciałami.

— Możesz być przeświadczony, że dołożę wszelkich starań, aby nie rozstrzygać sprawy bronią. Jeśli jednak Mogollonowie nie ugną się przed koniecznością, jakże uchronię ich skalpy? Wpędź ich tylko na Łysinę!

Zamieniliśmy ze sobą jeszcze kilka uwag, po czym Winnetou i Nijora dosiedli koni. Odjechali, z początku oczywiście zakreślając łuk tak, aby wyminąć obóz nieprzyjacielski. Zbliżało się rozstrzygnięcie.

Zostałem sam. Cofnąłem się o szmat drogi, świt nie zdradził wrogom mojej obecności, uwiązałem konia i ułożyłem się na ziemi. Czy aby się przespać? Powinienem był uciąć sobie drzemkę, ponieważ leżałem na miejscu gdzie mi żadna niespodzianka, żaden napad nie groził, ale wszak wypocząłem dostatecznie za dnia i pomyślałem sobie, że noc dzisiejsza zakończy wreszcie nasze długie, żmudne trudy. Z rękami pod głową, z oczami zwróconymi ku niebu, gdzie gwiazdy, iskrzyły na czystym firmamencie, wspominałem wszystkie wydarzenia, począwszy od dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzałem w Guaymas Harry'ego Meltona. Jakie przygody, ile kłopotów, mitręgi, wysiłku, niebezpieczeństw i rozczarowań dzieliło ów dzień od dzisiejszego! Przestroga, która się ciągnęła z tych wszystkich przeżyć, dawała się streścić w krótkich, lecz jakże ważkich słowach: Zachowaj zawsze czyste sumienie!

Tak długo medytowałem i wspominałem, aż moje myśli się zamroczyły; na wpół śniłem, a na wpół czuwałem i wreszcie zasnąłem całkowicie. Nie okryłem się kołdrą, wskutek czego wybił mnie ze snu chłodniejszy wiew powietrza. Z gwiazd odczytałem, że za godzinę zaświta.

Niebawem usłyszałem tętent kopyt z północy. Wyszedłem naprzeciw dźwiękowi, po czym położyłem się na ziemi. Nadciągał oddział jeźdźców. Na czele sunęło dwóch, jeden biały, drugi czerwony, zapewne przewodnik. Podniosłem się i zawołałem zmienionym głosem:

— *Halloo, messurs!* Dokąd to?

Obaj osadzili konie i chwycili za broń. Biały odezwał się:

— Kogo to może obchodzić, dokąd jedziemy? Zbliź no się młodzieńcze, i pokaż mi się, jeśli nie chcesz dostać kulki!

— Czy nie umie pan witać ludzi należycie, *master* Emery?

— Emery? Ten drab zna mnie! Kto może... Do piorunów, ależ ze mnie kiep! Przecież nikt inny, tylko stary Charley, którego nazywacie Shatterhandem! Podejź, mój drogi, i powiedz, gdzie się ukrywa Apacz!

— Zejdźcie z koni; potem się dowiesz. Musimy się tutaj zatrzymać. Czy wszystko w porządku, Emery?

— Wszystko.

— A Jonatan?

— Jedzie za nami ze swą piękną Judytą. Dunker zakochał się w nim i nie chce go opuścić ani na chwilę.

Oddział zatrzymał się i wszyscy zsiadli. Podeszedłem do Meltona. Zdjęto go właściwie z konia i ułożono na ziemi tuż koło Judyty. Stał przy nich Dunker.

Potem obejrzałem jeńców Mogollonów; leżeli na ziemi, przywiązani do siebie plecami po dwóch. Upewniłem się, że nie mogli zbiec. Teraz oświadczyłem Emery'emu, Dunkerowi i dowódcy Nijorów, cośmy omówili z Apaczem, i zapytałem Czerwonego:

— Czy mój brat zna w pobliżu Cienistego Źródła miejsce, z którego niepostrzeżenie moglibyśmy oglądać wyruszających Mogollonów?

— Znam. Skoro mój brat zechce, zaprowadzę go tam.

— Dobrze! Musimy niebawem wyjechać, gdyż niedługo zaświta. Towarzyszyć nam będzie pięćdziesięciu twoich wojowników. Pięćdziesięciu pozostałych wojowników zostanie tutaj, aby strzec jeńców.

— A ja? — zapytał Dunker.

— Musi pan bezwarunkowo zostać przy Meltonie, którego panu powierzyłem.

— *Well!* Jestem zatem jego klucznikiem. Niech raz na zawsze zapomni o ucieczce!

— Ale ja jadę z tobą? — zapytał Emery.

— Proszę cię, abyś został.

— Czemu to? Chciałbym jechać z wami.

— Aby widzieć, jak schwytamy dziesięciu czy dwunastu Indian. To drobnostka. Pomyśl, że oprócz Meltona trzeba strzec jeszcze pięćdziesięciu jeńców. Muszę ich zostawić pod odpowiednim nadzorem. To ważny posterunek, Emery!

— Dobrze! Nie mogę ci odmówić słuszności. Kiedy mamy przybyć do źródła?

— Przyślę po was gońca. „

Po krótkiej chwili pięćdziesięciu Nijorów wyruszyło ze mną i dowódcą na czele. Przewodnik wiódł nas nie na południe, lecz ku zachodowi, aby w tym kierunku objechać Cieniste Źródło. Potem skręciliśmy na południe, a następnie na wschód. Zatoczyliśmy tedy łuk i zatrzymaliśmy się pod niewysoką, ale rozległą wyżyną, na której, zdawało się, rośnie zagajnik.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł dowódca.

— Jak daleko do Źródła? — zapytałem.

— Pięć minut. Na wyżynie poprzez krzewy, można śledzić po kryjomu całą okolicę Źródła.

— Poczekajmy, aż się rozwidni. Miejcie konie na oku, aby żaden nie uciekł i nas przez to nie zdradził!

Przestroga była zbyt uczynna, gdyż żaden koń indiański nie odbiega daleko od swoich. Przeleźliśmy u stóp wyżyny, dopóki gwiazdy nie zgasły i na wschodzie nie ukazał się lekki zaróżowiony odblask zorzy. Wówczas wraz z dowódcą wszedłem na wyżynę. Położyliśmy się za krzewami i czekali, aż się brzask rozjaśni i pozwoli nam obejrzeć rozciągającą się pod nami okolicę.

Zagajnik, który nas ukrywał, rósł na grzbiecie wyżyny; schodził na dół, rozszerzał się coraz bardziej aż do miejsca, gdzie biło z ziemi źródło. Stąd znowu się zwężał i kończył na prerii, trawą zarośniętej.

— Świetnie! — rzekłem do Indianina. — Nie mogliśmy wymarzyć sobie dogodniejszego terenu.

— Więc mój biały brat jest ze mnie zadowolony?

— Najzupełniej, najzupełniej! Możemy stąd obejrzeć całą miejscowość i przyjrzeć się wymarszowi Mogollonów. A następnie, nie potrzebujemy koni, aby zaskoczyć pozostałych wrogów szybkością natarcia. Pozostawimy je raczej tutaj. Możemy po kryjomu skradać się wśród krzaków aż do źródła. Lepiej być nie mogło.

Indianin pragnął skryć zadowolenie z pochwały, ale nie uszło ono mojej uwagi.

Zobaczyliśmy obóz Mogollonów, a nawet daszek dyliżansu, ponieważ wznosił się ponad krzewy. Czerwoni, ocknięci już ze snu, gotowali się do wymarszu. Wielu jadło; niektórzy się myli, inni opatrywali konie. Po pewnym czasie rozległ się okrzyk — „pobudka, do wymarszu”. Każdy pośpieszył do swego wierzchowca. Ustawili się jeździec za jeźdźcem, więc łatwo ich było policzyć. Naliczyliśmy trzystu czterech. Długi wąż począł więc się naprzód, na południe, ku oczekującej go zagładzie.

Pozostawieni w obozie przyglądali się wymarszowi. Stali pod zagajnikiem; było ich dziesięciu. Ponieważ pasło się tylko czternaście koni, w tym cztery cugowe, więc byliśmy pewni, że nie ma więcej czerwonych.

Skoro oddział znikł na południu, mogliśmy się wziąć do dzieła. Chociaż na uporanie się z dziesięcioma starczyłoby dziesięciu, zarządziłem, aby poszło z nami trzydziestu. Pozostali pośpieszyć mieli za nami z końmi.

Pod osłoną krzewów zesłaliśmy wzdłuż pochyłości w pobliżu źródła. Wysunąłem się naprzód, pełzając. Dziesięciu drabów siedziało nad wodą i wsuwało śniadanie. Nieleddie wstydziałem się napaść na nich z trzykroć większą liczbą wojowników. Byli tak zaskoczeni, skoro Nijorowie wyłonili się z krzaków, że żaden nie pomyślał o obronie, czy ucieczce. W okamgnieniu zostali związani. Ja zaś podszedłem do karety, otworzyłem drzwi i zawołałem.

— Dzień dobry, pani Werner i panie Murphy! Spełniam obietnicę.

Marta wydała radosny okrzyk i zawarła powieki. Nie zemdląła bynajmniej, to radość tak ją zmorzyła. Wyciągnąłem nóż, przeciąłem jej więzy, wyniosłem z karety i posadziłem ją na trawie, gdyż zbyt była słaba, aby utrzymać się na nogach. Zniecierpliwiony adwokat krzyknął:

— A teraz mnie, *sir!* Jak długo mam czekać!

— Cierpliwości! Nie można naraz wszystkim dogodzić. Skoro uwolniłem go, wygramolił się z dylizansu, wyprostował członki i rzekł?

— Bogu dzięki! Niepowodzenia dobiegły końca. Piekielne chwile przeżyłem w tej budzie!

Nie miał dla mnie słowa podziękii, ale za to wiele słów innego zgoła rodzaju. Kładąc lewą rękę na moich plecach, rzekł:

— *Sir*, czy wszystko w porządku? — przy czym prawą uderzył mnie po torsie. — Czy ma pan jeszcze pugilares?

— Tak. Cudaczne pytanie!

— Wszak muszę wiedzieć, ile jeszcze pozostało.

— Dlaczego to pan właśnie musi wiedzieć?

— Gdyż ja... do pioruna, to się samo przez się rozumie!

— Bynajmniej. To się wcale samo przez się nie rozumie.

— Jestem kuratorem spadku i decyduje, co się stanie z pieniędzmi i kto je otrzyma!

— Owszem, byłeś pan kuratorem, ale już nim nie jesteś. A co ma się stać z pieniędzmi i kto je powinien otrzymać, tego pan nie możesz rozstrzygać od czasu, jak wykazałeś tyle rozumu, że bez żadnego badania, ot tak sobie po prostu, włożyłeś cały spadek do kieszeni oszusta.

— *Sir*, jeszcze ja pana rozumu nauczę!

Na tę porywczą groźbę odpowiedziałem spokojnie:

— Obawiam się, że nie znajdziesz pan we mnie pojętego ucznia.

— A zatem nie wyda pan pieniędzy?

— Nie.

— Nawet jeśli panu rozkażę?

— Rozkażesz? Żartuj pan do woli! Zachowam pieniądze, dopóki się nie znajdzie uprawniony spadkobierca.

— Czy pan go będzie uprawniał?

— Nie będę uprawniał, znalazł się już bowiem; znam go dobrze.

— Ja go także znam! Otrzyma spadek ode mnie w drodze urzędowej. A zatem wyjmij pan pieniądze!

— Nie, poza tym radzę panu, abyś zmienił ton, jakim do mnie przemawiasz. Przystoi panu nieco inny.

— Tak? Tak pan mniema?

— Tak. Ton dziękczynny. Wyrwałem pana z objęć śmierci. Gdyby nie ja, nie ujrzałbyś już nigdy Wschodu. Uwolniłem pana z więzów. Czy dostałem jakieś słowo podziękii? Żebak dziękuje za kęs chleba. Zwróciłem panu wolność i życie, a odpłacono mi grubiańskimi groźbami. Jeśli pan sądzi, że zaimponujesz mi bezczelnością, to się grubo mylisz!

— Wiem aż nazbyt dobrze, czemu pan nie chce oddać pieniędzy. Cichaczem chcesz sobie...

— Stój! Ani słowa więcej! — krzyknąłem. — Istnieją słowa, na które odpowiada się tylko pięścią!

— Pańska pięść? *Pshaw!* Nie mam dla niej żadnego, absolutnie żadnego respektu, aczkolwiek szumnie tytułuje się pan Shatterhandem. Chce pan część pieniędzy przylepić do własnej kieszeni i dlatego...

Nie dokończył zdania. Zakreślając daleki łuk w powietrzu, przeleciał przez najbliższy krzew i runął za nim.

Marta skoczyła na nogi ze strachu. Uchwyciła mnie za rękę:

— Na miłość Boską, nie zabijaj go pan! Nie ma najmniejszej racji, aby tak do pana przemawiać; obraził pana ciężko; jestem za pana wielce dotknięta i nigdy z nim nie będę mówiła, chyba że z konieczności, lecz nie zabijaj go pan!

— Zabijać? *Pashw!* Ostrzegłem go tylko, nic ponad to. Prawdopodobnie będzie się mnie teraz wystrzegał. I oby tak zrobił dla własnego dobra.

Nadeszło dwudziestu Nijorów wraz z końmi. Kazałem jednemu wrócić i sprowadzić Emery'ego i Dunkera z ich oddziałem. Konie rozpiechły się po łące, nad wodą. Murphy podniósł się i powlókł; utykając. Usiadł za krzewem i pocierał obolałe członki. Marta odzyskała spokój.

Niebawem przybyli pozostali nasi wojownicy z jeńcami. Dziesięciu Mogollonów wydało okrzyk zgrozy, widząc pięćdziesięciu swych kamratów. Chciałem wydać rozkaz, tyczący się rozmieszczenia jeńców, gdy uwagę moją zwróciły głośne ryki. To adwokat, ujrawszy Jonatana Meltona, skoczył, rzucił się nań i rycząc, powalił go. Obrabiał pięściami twarz oszusta, który nie mógł się bronić.

Emery i Dunker utkwili we mnie bezradne spojrzenia.

— Rozwiążcie szybko Meltona! — zawołałem do Dunkera. Ponieważ Jonatana dopiero co zdjęto z konia, więc nie zdążono mu jeszcze związać z powrotem nóg. Spętane miał tylko ręce. Uwolniono je w jednej chwili i już mierzyły w napastnika. Powstała bójka, której wszyscy Indianie, zarówno wolni, jak i jeńcy, przyglądali się z zadowoleniem. To jeden, to znów drugi brał górę. Sporo czasu minęło, zanim doszło do rozstrzygnięcia, a wówczas okazało się, że nikt nie zwyciężył, gdyż kompletnie wycieńczeni leżeli obok siebie bez tchu.

Emery podszedł do mnie i zapytał zdziwiony:

— Czemu dopuściłeś, aby Murphy wziął takie ciężki? Po prostu podszczerłeś nań Meltona.

— Niech się wynosi! Kto dał mu prawo znęcania się nad Meltonem? Poprzednio, pod groźbą, żądał ode mnie pieniędzy. Zamiast, podziękować za ocalenie, oświadczył, że nie daje mu pugilaresu, bo pragnę skrycie część pieniędzy zachować dla siebie.

— Faj! Poczęstowałeś go chyba pięściami?

— Nie. Skarcenie zostawiłem drogiemu Jonatankowi.

— *Wet!*, wcale niezła myśl! Jesteś oryginalnym chłopcem! Oto leżą obaj i ledwo zipią. Jednemu i drugiemu słusznie się dostało, nic to im nie zaszkodzi. Ale Meltona zwiążemy z powrotem?

— Tak. Lecz uwolnimy Judytę.

— Judytę! Dlaczego?

— Aby mogła usługiwać pani Werner.

— Bardzo słusznie! Nie wpadłbym na taką myśl. Ale czy zechce?

— Zaraz się przekonamy!

Judyta wielce była zdumiona, kiedy ją uwolniono z więzów. Stałem właśnie przy śpiewacze.

— Madame Silberberg! — rzekłem — Od pani samej zależy polepszenie jej losu.

— Jak... jak... jak mnie pan nazwał? — zapytała, spoglądając mi arogancko w oczy. — Czego pan chce ode mnie?

— Zaprowadzimy panią tam, do Meltona.

— Nie pójdę! Mam inne, bardziej święte obowiązki.

— Jakież to?

— Muszę śpieszyć do ojca, który mnie wzywa.

— Gdzie jest ten starzec?

— Cóż to pana obchodzi?

— A w takim razie nie obchodzą mnie również pani wobec niego obowiązki. Nigdyś seniora o nim nie wspominała, nie troszczyła się o niego wcale, a oto naraz wyskakujesz ze swymi „świętymi obowiązkami”. Niestety, nie możemy ich uwzględnić. Jest pani współniczką

Meltona. Może pani złożyć cenne zeznania, dotyczące się Jonatana i jego zbrodni, a przeto musimy panią odstawić do Frisco, a nawet do Nowego Orleanu.

— Chce mnie pan wlec ze sobą?

— Nie wlec, lecz zabrać. Nie możemy jednak pozwolić pani zginąć na tym najbliższym Zachodzie. Sprowadzimy panią do miejscowości piękniejszych i bardziej cywilizowanych.

— Ależ ja nie chcę! — krzyknęła, tupiąc nogami.

— Nas nie interesują pani chęci. A zatem posłuchaj: pani Werner potrzebuje służącej. Gdyby zechciała zająć to miejsce, możesz się spodziewać różnych udogodnień...

— Służąca, służebna, posługaczka? — wyśmiała się szyderczo. — Ani mi w głowie nie powstało tak się poniżać! Przenigdy

— Jak pani chce! Ale w takim razie będzie pani na powrót związana.

— Wszystko mi jedno! Jestem *lady*, jestem wielką damą i zwłaszcza dla tej kobiety palcem nie ruszę. Jestem wdową po wodzu.

— Dobrze! A zatem każę pani znów obłóczyć ręce skózanymi oznakami wdowieństwa.

Na moje skinienie związane ją z powrotem. Lepiej jednak, że się tak stało, gdyż na wolności zdołałaby zmówić się z Meltonem i ułatwić mu ucieczkę.

Tymczasem upłynęły niespełna trzy kwadransy od wymarszu Mogollonów. Emery zwrócił na to moją uwagę.

— Musimy wyruszyć — rzekł — inaczej nie przybędziemy we właściwym czasie do wąwozu.

— Mówisz przez „my”?

— Naturalnie! A może niesłusznie? Czy to ma znaczyć, że ja nie pojedę?

— No, tak.

— Nie wyobrażaj sobie tego; nie zostanę tu w żadnym wypadku!

— Sądzę, że nie tylko zostaniesz, ale sam o to poprosisz.

— Tak sądzisz! Wy będziecie walczyć, ja mam zaś tutaj pozostać jak leniwiec lub tchórz?!

— Wiesz przecież, że Winnetou przyłączy się do Nijorów, aby dbać o dokładne wykonanie naszego planu. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, jeden z nas musi wytrzymać napór cofającego się wroga. Ktoś z nas powinien się tego podjąć?

— Naturalnie ty. Jest to odpowiedzialne zadanie nie pragnę wcale odbierać ci tak zaszczytnego stanowiska. Kto stoi u wylotu, musi być niejako zgrany z Winnetou, który dowodzi na górze.

— Dobrze. A zatem Winnetou na górze, na Łysinie, a ja u wylotu wąwozu, sam tak radzisz. Oprócz tego istnieje jeszcze trzecia placówka, wprawdzie innego rodzaju, ale nie mniej ważna, niż obie poprzednio wymienione.

— Tutaj nad źródłem?

— Tak. Idzie o jeńców, z których najważniejszy jest Melton. Jeśli zbiegnie, wiesz, jakie to konsekwencje pociągnie. Poza tym trzeba strzec sześćdziesięciu Mogollonów, nie licząc Yuma i Żydówki. Jakieś błahe a nieprzewidziane wydarzenie może ich zbuntować i uwolnić.

— Wszak wszyscy są spętani!

— Owszem, toby nam dawało pewność, o ile strzegłoby ich odpowiedzialne oko. W przeciwnym wypadku najmniejsze zaniedbanie lub nieopatrzność może spowodować nieszczęście. Pomyśl sobie moje przerażenie, kiedy na czele pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu ludzi, broniąc wylotu wobec trzechset Mogollonów, ujrę nagle zwałający się na mnie oddział z sześćdziesięciu, czy siedemdziesięciu uwolnionych jeńców!

— Do piorunów! Zgniotłyby was oba nacierające oddziały. Piękny, plan skończyłby się klęską!

— Widzisz! Musimy tu zostawić dzielnego mężczyznę. Czy mam powierzyć tę placówkę Dunkerowi?

— Dunker? Hm! Jest to dobry przewodnik i człek dosyć obrotny, ale nie poruczyłbym mu samodzielnego zadania.

— Podzielał twoje zdanie. A zatem tylko jeden pozostaje.

— *Well!* Muszę się tego podjąć. Rozciągnąłeś mnie na łopatki.

— Czy nie mówiłem ci, że sam mi to zaproponujesz?

— Hm, właściwie tego się spodziewałem. Ale wolałbym bić się wraz ze wszystkimi na górze, na Łysinie.

— Nie wiadomo, czy dojdzie w ogóle do bitwy. A zatem zostawiam ci tutaj dowództwo. Ilu potrzeba ci ludzi?

— Dziesięciu wystarczy, gdyż jeńcy są związani. Jak myślisz?

— Sądzę. Siedemdziesięciu dobrze splepanych ludzi można utrzymać w ryzach jeszcze mniejszymi siłami. Ponieważ jednak niepodobna wejść w przyszłość, przeto lepiej zabezpieczyć się przed niespodziankami. Weź trzydziestu! Zawsze mi jeszcze zostanie siedemdziesięciu.

— Ale za to masz spełnić najcięższe zadanie i to z niespełną jedną czwartą sił, jakimi Winnetou rozporządza na górze.

— Wystarczy. Nadrobię taktyką.

— Taktyką! Toż to prawdziwa wojna!

— Stanowczo — roześmiałem się. — Potrzebuję stu sześćdziesięciu ludzi, a mam siedemdziesięciu. Na domiar stu zastąpi mi stary dyliżans. Czy to nie jest taktyka?

— Czy mówisz poważnie? Może chcesz go obrócić w armatę? Jestem ciekaw, czym ją naładujesz!

— Nie w armatę, lecz w taran.

— Taran? To co najmniej średniowieczna machina!

— Którą transponuję na współczesność, gdyż mój taran będzie żywy, a nie z martwego drzewa i żelaza.

— Nie rozumiem!

— To proste. Wszak pojmujesz, że musimy zabrać ze sobą powóz?

— Nie, nie pojmuję. Jakże się będziecie mogli swobodnie poruszać, wlokąc ze sobą to stare pudło!

— Słuchaj! Nie możemy pozwolić Mogollonom, skoro dostaną się do wąwozu, na rozporządzenie czasem, ani miejscem; nie możemy też pozwolić im na odwrót. Musimy następować czerwonym na pięty. Więc narażamy się na ich natarcie. Otóż kareta przyda się nam jako maska. Kiedy się ukaże, Mogollonowie przyjmą nas za swoich.

— Aha, prawda! Świetnie pomyślane! Ale jest sęk. Zostało przy karocy dziesięciu, ty zaś nadjedziesz z siedemdziesięcioma.

— O, nie! Zapomniałeś o pięćdziesięciu wojownikach, których schwytaliśmy wraz z Meltonem. Oto tam leżą spletani. Mogollonowie pomyślały, że się oddziały połączyły.

— Słusznie, słusznie! Pięćdziesięciu wojaków spotkało po drodze owych dziesięciu z pudłem. Różnica dziesięciu ludzi ujdzie uwagi. Ale potem? Co będzie potem?

— Niebawem usłyszysz. Przywołałem dowódcę i poprosiłem:

— Zbierz swoich ludzi i powiedz im, że potrzebuję sześciu dobrych jeźdźców, którzy odważą się wraz ze mną na czyn niebezpieczny!

Wkrótce zameldowali się, ale zamiast sześciu — wszyscy. Wówczas oznajmiłem głośno:

— Musimy ruszyć z powozem w ślad za Mogollonami, aby myśleli, że jesteśmy ich towarzyszami i abyśmy mogli wjechać tuż za nimi do wąwozu. Skoro jednak Mogollonowie dostaną się na górę i zobaczą waszych mężnych braci, zechcą się cofnąć. Musimy temu zapobiec. Pragnę zatarasować im drogę dyliżansem. Aby się wspiać po stromym wąwozie, należy zaprząć do niej osiem rumaków. Żaden z was nie umie powozić. Więc sam usiądę na koźle, aby kierować dyszlem najbliższej pary koni, na każdym zaś z sześciu pozostałych



rumaków usiądzie jeden z was. Mogollonowie przyjmą moich braci za swoich. Ale później, kiedy się do nich zbliżymy, obawiam się, że poznają nas i zaczną strzelać. A zatem sześciu jeźdźców przed wozem ma przed sobą niebezpieczne zadanie. Dlatego życzę sobie, aby chętni zgłosili się dobrowolnie. Kto trwa przy tej chęci, niech podniesie prawą rękę!

Podniosły się wszystkie prawice.

— Widzisz więc, że nie masz wśród nas tchórza! — rzekł, uśmiechając się dumnie, dowódca. — Skoro Old Shatterhand usiądzie na koźle, z narażeniem życia, nikt z nas nie zechce pozostać w tyle.

— Dobrze, postanowimy inaczej! Musi to być sześciu wyśmienitych jeźdźców, gdyż należy pchnąć wóz w galopie do stromego wąwozu i wywołać jak największe zamieszanie w szeregach Mogollonów. Nie znam was; sami się lepiej znacie. Wyszukajcie mi sześciu najlepszych i najpewniejszych jeźdźców!

Chociaż niewdzięczne było to zadanie — dobierać tak, aby nie zadrasnąć dumy pominiętych, dowódca wkrótce zaprezentował mi sześciu wojowników. Jak się dowiedziałem, były także konie zaprzęgowe, które ciągnęły wóz do Jasnej Skały. Gdybym wprzęgnął w dyszel dwa półdzikie rumaki indiańskie, to na pewno by go wnet złamały. I tak należało przypuszczać, że jazda będzie niebezpieczna. Na szczęście, rzemienie znajdowały się w znośnym stanie. Sześć zaś przednich koni nie potrzebowało uprząży; wystarczyło dla nas każdego jedno lasso, przymocowane do dyszla i do popręgu.

Przygotowania wkrótce miały się ku końcowi. Wóz stał zaprzężony w osiem koni, gotowy do jazdy. Emery podszedł do mnie i rzekł niezwykle poważnym tonem:

— Czy nikt inny nie mógłby usiąść na koźle? Czy koniecznie ty sam musisz się wystawić na nieprzyjacielskie kulki?

— Prawdopodobnie niewiele będzie strzelaniny — odparłem — a zresztą, jak wiesz, nie każda kula trafia.

— Jak sądzisz, kiedy będziesz mógł wrócić?

— Myślę, że wszystko się rozstrzygnie w jakieś cztery godziny. Jeśli z jakiegokolwiek powodu nie będę mógł wrócić, to przyślę ci przynajmniej gońca.

— Proszę cię o to, Charley! Z największą niecierpliwością będę go wypatrywał.

— Pozwól sobie przypomnieć o Meltonie. Cokolwiek się stanie, nie powinien odzyskać wolności. Lepiej go zastrzelić, niż pozwolić umknąć!

— Bądź spokojny! Dunker nie spuści go z oka. Raczej pozwoli sobie odciąć prawicę, niż Meltonowi uciec. O jedno cię proszę, o ile tego nie weźmiesz mi za złe.

— Cóż takiego?

— Nie podrywaj głową, stary kochany Charley! Wiesz, że masz przy sobie ludzi, którzy wolą sami zająrzeć w oczy śmierci, niż tobie na to pozwolić. Czy przyrzekasz mi, co?

Podaliśmy mu rękę i rzekłem:

— Dziękuję ci, Emery, za twoją troskliwość! Bądź pewny, że nie rzucę się na oślep w paszczę zagłady. Są jeszcze na świecie i inni ludzie, którzy pragną, abym żył długo. Pomyśl sobie, że mam rodziców, których chciałbym wnet zobaczyć! Powodzenie sprzyja odważnemu, a jeśli będę mógł je osiągnąć szybciej i pewniej dzięki małemu ryzyku, to się przed nim nie cofnę.

Teraz podeszła do nas także Marta i rzekła:

— Widzę rozmaite przygotowania i ze słówek, tu i ówdzie rzucanych, wnioskuję, że waży się pan na nowe niebezpieczeństwo. Proszę mi powiedzieć, czy tak jest istotnie!

— Nie jest tak — odparłem. — Udamę się z pani powozem do Łysiny Kanionu; to wszystko.

— Do Łysiny, gdzie rozegra się bitwa! A więc to pogoń za śmiercią?

Jej rozszerzone oczy wpatrywały się we mnie przeciągłym, nieruchomym ze strachu spojrzeniem.

— Ze śmiercią? — roześmiałem się wesoło — Mówi to pani z obawy, zresztą nieuzasadnionej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa biorę na siebie bezpieczną rolę parlamentariusza.

— Więc jedź pan z Bogiem! Zostanie tu ktoś, czyje najlepsze życzenia będą panu towarzyszyć.

Jeszcze byłem zajęty sporządzaniem batoga ze skręcanego i kilkakrotnie złożonego łoża, gdy Jonatan Melton przysłał do mnie z zawiadomieniem, że musi koniecznie ze mną się rozmówić. Skoro doń podszedłem i zapytałem, czego pragnie, odezwał się ponuro:

— Widzę, że pan chce wyruszyć. Czy do walki?

— Tak.

— A czy schował pan pieniądze?

— Po co pan pyta?

— Ponieważ nie powinien pan wystawiać ich na niebezpieczeństwo!

— Jeśli będę je miał przy sobie, to nie wystawię na ich niebezpieczeństwo.

— A jednak! Powiadam panu, że nie wrócisz. Idzie pan na spotkanie najpewniejszej śmierci. Ale jeśli mi pan przyrzeknie, że mnie puścisz, to cię ocale, wyjawiając plan Mogollonów.

— Tak! Chce pan zdradzić swoich przyjaciół i sojuszników! Podobne to do pana, ale na nic się nie zda, gdyż znam ów plan od dawna.

— Skąd?

— Wie pan, że podsłuchiwałem narady Mogollonów nad Jasną Skalą, a także onegdaj wieczorem rozmowę pana z Judytą nad Źródłem Góry Wężowej. Mogollonowie dążą do Mrocznej Doliny, ale my ich po drodze tak okrażymy, że żaden nie będzie mógł się wymknąć. Za kilka godzin przyślę panu wiadomość o zwycięstwie.

— A więc wsiadaj do powozu, jedź do diabła i pozostań w piekle na wieki wieków!

Odwrócił się ode mnie. Odszedłem. Złorzeczenie z takich ust mogło mi tylko przynieść błogosławieństwo. Zwrócić mu wolność za wiadomości, które uzyskałem już dawno, co za śmieszne żądanie! Batog był skręcony. Mogliśmy wyruszać. Ponieważ za ciężko było mi taszczyć się dwiema strzelbami, przeto zostawiłem niedźwiedziówkę Emery'emu. Przewiesiłem przez ramię sztucer i wdrapałem się na kozioł. Dunker podał mi cugle. Sześciu forysiów nachyliło się, powóz ruszył z miejsca. Mimo woli nasunęło mi się na myśl, w jakim to stanie dotrze z nami do Łysiny Kanionu?

Konie cugowe były przyzwyczajone do ciągnięcia powozu, ale nie pozostałe rumaki, które skakały to naprzód, to w bok, tak, że karoca nie była ciągniona, lecz miotana na trzy strony. Dopiero, kiedy sześciu czerwonych zaczęło należycie używać cugli i nóg, ruch powozu stał się mniej niebezpieczny. Ponieważ jednak droga nasza nie była traktem bitym, a forysie nie umieli sobie radzić z przeszkodami naturalnymi, przeto jazda nie była wygodna, a nawet chwilami musiałem skupić całą uwagę, aby nie dopuścić do wywrócenia dyliżansu.

Oczywiście, przy Emery'm zostali Nijorowie, którzy mieli doglądać jeńców nad Cienistym Źródłem. Pozostali wojownicy gęsiego jechali za powozem.

Drogowskazem były nam ślady Mogollonów. Odległość wynosiła trzy godziny jazdy. Musiałem tak jechać, abyśmy doścignęli Mogollonów niedaleko wąwozu. Nie należało pokazywać się wcześniej, gdyż mogliby nas poznać i zwrócić się przeciwko nam. W takim razie bylibyśmy jak najbardziej zagrożeni. Aby nie natknąć się na nich za wcześnie; wysłałem na zwiady jeźdźca, który miał śledzić ich straż tylną i ewentualnie zawiadomić nas o jej poruszeniach.

Z początku jechaliśmy szybko, aby nadrobić odległość, o którą nas wrogowie wyprzedzili, potem jednak przeciwności terenu coraz bardziej utrudniały nam drogę. Po niespełna dwóch godzinach wpadliśmy na naszego wywiadowcę. Zawiadomił nas, że Mogollonowie jadą mniej więcej w odległości dziesięciu minut drogi. Trzeba było teraz dotrzymywać im równego kroku.

Na równinie ujrzeliby nas niechybnie, ale tu było pełno gór, dolin i wykrotów, w których mogliśmy się skrywać.

Po kwadransie wywiadowca przyprowadził do nas Nijorę, którego w drodze spotkał i zameldował:

— Ten wojownik krył się za skałą przed wrogiem. Przysłał go Winnetou.

— Co memu bratu kazał wódz Apaczów oznajmić?

— Przygotowania ukończone.

— A zatem wasi wojownicy przyczaili się za wzniesieniem?

— Tak. A także w lesie, aż do miejsca, gdzie wąwóz wychodzi na Łysinę Kanionu.

— Gdzie stoją konie?

— Za wzniesieniem. Ukryte są przed spojrzzeniami Mogollonów.

— Dobrze. Ale gdzie twój wierzchowiec?

— Zostawiłem go na miejscu zgodnie z wolą Winnetou, aby nie zostawiać za sobą śladów i nie rzucać się w oczy wrogów.

— Sądziłeś więc, że jedziemy za Mogollonami?

— Tak mówił wódz Apaczów. Zszedłem przez wąwóz, po czym ostrożnie podążyłem na wasze spotkanie. Skoro widziałem Mogollonów, chowałem się, a kiedy mnie wymijali, schodziłem dalej, aż się natknąłem na twego wywiadowcę, w którym od razu poznałem brata.

— Jak odbywa drogę wódz Mogollonów?

— Na czele swoich ludzi.

— A jak długo jeszcze mamy jechać do wąwozu?

— Połowę czasu, zwanego przez białych godziną.

— Dobrze! Przyłącz się do naszych wojowników. Dotrzymasz im kroku, gdyż musimy teraz jechać stępą.

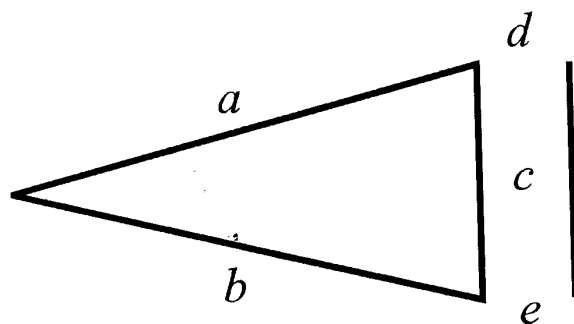
Ruszyliśmy dalej. Grunt był o tyle dogodniejszy, że mogliśmy się nieco bardziej zbliżyć do Mogollonów. Wywiadowca znów nas wyprzedził. Skorośmy się nań natknęli, tym razem zameldował, że znajdujemy się w odległości pięciu minut od wroga. Skręciliśmy dookoła gór, aż wreszcie ujrzelśmy Mogollonów za najbliższym zakrętem. Ściany skalne rozstępowały się, otwierając swobodne przejście.

Nie było obszerne. Z prawej i lewej strony wznosiły się wysokie skały, a po drugiej stronie leżało strome gęsto zalesione płaskowzgórze. U jego stóp, z prawej strony u dołu, gdzie kończył się las, zobaczyłem wylot wąwozu, do którego Mogollonowie właśnie wjechali. Poczekawszy, aż znikną w nim ostatnie szeregi, popędziliśmy konie poprzez wolny teren, aby zatrzymać się na dole.

Teraz wróg wpadł w zasadzkę. Na górze, na Łysinie, oczekiwali go nasi towarzysze, a na dole my przecinaliśmy odwrót.

Dotychczas powodzenie było dosyć wątpliwe. Gdyby Mogollonowie nas dostrzegli i zwrócili się przeciwko nam, nie zdołalibyśmy ich odeprzeć. A nawet gdyby to nam się udało, większość wrogów mogłaby się rozproszyć po bokach, wprowadzie bez koni, gdyż należało drapać się po skałach. Ale teraz oto tkwili w wąwozie, którego strome i wysokie ściany były niedostępne. Musieli bezwzględnie posuwać się naprzód; wstecz i po bokach nie było wyjścia.

Płaskowzgórze, gdzieśmy ich chcieli zamknąć, miało kształt następujący:



Tworzyło trójkąt, którego płaszczyznę stanowiła skała. Bok „a” stanowi rozciągającą się daleko, strzelistą wyżynę, za którą ukryła się część naszych wojowników. Bok „b” oznacza opadający las, w którym zaczął się drugi oddział Nijorów; „c” stanowi głęboki kanion — głęboką stromą otchłań ziejącą zagładą. Przy „e” jest wejście do wąwozu, prowadzącego na płaskowzgórzu, a przy „d” jego wylot zwrócony ku Mrocznej Dolinie.

Cały ten obszar był obsadzony trzystoma Nijorami; stu pięćdziesięciu ukrywało się za wyżyną „a” pod rozkazami swego wodza; stu pięćdziesięciu leżało w lesie „b” pod wodzą Winnetou. Plan polegał na tym, że się wpuści Mogollonów przez „e” i pozwoli im jechać wzdłuż kanionu „c” prawie aż do „d”. Zanim doszliby tam, ja bym już był wraz z Nijorami przy „e”. Wówczas Mogollonowie byliby tak zamknięci, że rozsądek nakazałby kapitulację. Znajdowaliby się bez osłony na płaskowzgórzu, podczas gdy Nijorowie byli osłonięci lasem i wyżyną skalną. Aby Nijorów wypędzić, musieliby naraz z obu stron szturmować — pewna klęska! Trzeba jeszcze uwzględnić, że podobnego rodzaju ataki nie są stosowane przez Indian.

Wódz Mogollonów, jadący na przodzie, pierwszy dotarł na górę. Osadził konia na chwil parę, aby się rozejrzeć dokoła. Nie widząc nic podejrzanego, pojechał dalej, a za nim wojownicy. Ten człowiek był tak pewny siebie, że nie wysłał nikogo na zwiady. Kiedy na górę wjechał ostatni z Mogollonów, czoło docierało już do połowy długości kanionu. Trzeba było pozwolić im jechać jeszcze przez dwie minuty, a następnie dopiero się ukazać. Niestety, wódz Nijorów był zbyt niecierpliwy, aby czekać tej chwili. Leżał na wyżynie „a” za wielkim głazem; wycelował ze strzelby w wodza Mogollonów i wypalił. Chybił. Natychmiast zerwali się jego ludzie ze swego ukrycia, wzniesli okrzyk wojenny i dali ognia — z tym samym wynikiem, co ich wódz, gdyż odległość była zbyt wielka. Winnetou, przewidując, że jego Nijorowie pójdą za złym przykładem, zawołał donośnym głosem:

— Nie strzelać jeszcze! Pozostańcie w lesie!

Nie zależało mu już na tym, aby zapobiec przedwczesnemu atakowi, lecz aby uchronić przed zbyt wczesnym przelewem krwi. To wszak było nasze podstawowe żądanie, na które wódz Nijorów wyraził zgodę. Niestety rozkaz poszedł istotnie w las. Jego stu pięćdziesięciu Nijorów ukazało się już między drzewami na skraju i wyjąć, strzelali w Mogollonów.

Silny Wicher, wódz Mogollonów, przerażony osadził konia na miejscu. Zobaczył, że wzniesienie przed nim jest obsadzone wrogami. Z lewej strony roiło się od nich w lesie, z prawej ziele głęboki kanion. Skoroby pojechał dalej, zbliżyłby się bardziej do wyżyny, z której chwilowo jeszcze kule nie trafiały; z drugiej jednak strony było o wiele bliżej do wąwozu, gdzie znajdował się ogon jego oddziału. Nawrócił przeto wierzchowca, skoczył wysoko w siodle, podniósł rękę i zawołał do swoich ludzi:

— Wracać, wracać! Jesteśmy zamknięci. Prędej wzdłuż wąwozu z powrotem!

Winnetou i ja, na jego miejscu działalibyśmy inaczej; Mogollona zaś ten niespodziewany napad na niebezpiecznym terenie pozbawił orientacji. Skoczył z powrotem, a wojownicy za nim. Jedni następowali na drugich, utworzył się wirujący kłęb jeźdźców, z których każdy chciał się jak najszybciej przebić do wylotu. Nijorowie z lasu zasypywali ten kłęb kulami. Był to prawdziwy mord masowy, dlatego Apacz wyskoczył z lasu, podniósł strzelby i zawołał:

— Nie strzelać, nie strzelać! Winnetou zakazuje!

Na szczęście, widok jego osoby bardziej podziałał na Nijorów, niż poprzednio słowa. Zaprzestano strzelaniny. Lecz niepodobna było zapobiec skutkom przedwczesnego ataku, gdyż Mogollonowie dorwali się już wylotu wąwozu.

— Co począć? Czy już byłem na miejscu?

Kiedy Winnetou zadawał sobie to pytanie, zobaczył, że ucieczka wroga utknęła. Nie mogli iść naprzód, ani wstecz, i to miało swój powód.

Skoro ze swoimi Nijorami przybyłem do skraju lasu, zatrzymałem się na kilka minut i natężyłem słuch. Z góry nie dobiegł żaden odgłos. Forysie na mój rozkaz ruszyli do wąwozu z kareta, a za nią wojownicy. Rozstrzygnięcie było bliskie. Jakże się jednak dostaniemy na górę?

Obie ściany wąwozu składały się z łupkowego kamienia. Tak się do siebie zbliżyły, że miejscami tylko dwóch jeźdźców naraz mogły przepuścić. To były zresztą miejsca najwęższe, powóz zatem mógł się od biedy przepchnąć. Ale za to droga była najeżona innymi trudnościami, mianowicie mnóstwem rozsianych po niej kamieni, nieraz tak wielkimi głazami, że koła omal nie pękały. Trzeba było głazy zawczasu omijać. Cwałowaliśmy mimo wszystko pod górę i przebyli, jak później stwierdziłem, połowę drogi, gdy naraz rozległy się strzały.

— Czyście słyszeli? Strzelają! — zawołałem do swych forysiów. — Rozpoczęto walkę, nie czekając na nas. Popędźcie koni! Teraz trzeba mknąć w galopie!

Spięli wierzchowce ostrogami, ja zaś zaciąłem cuglowe biczem; rwąc z kopyta, pomknęły chyżo przed siebie. Zrezygnowałem z ostrożnego powożenia i wymijania kamieni. Stara kareta przechylała się to na lewo, to znów na prawo, skakała jak zwierzę, kiedy przesadza kamienie. Trzymałem się mocno lewą ręką wysokiego siedzenia, z wysokiego utrzymując jaką taką równowagę; w lewej też ręce ściszałem cugle, podczas, gdy prawą trzaskałem z biczem.

Wreszcie rozległ się przed nami wielogłosowy krzyk. Spojrzałem i zobaczyłem skupiony tłum jeźdźców, cisnących się do wylotu wąwozu. To byli cofający się Mogollonowie.

— Dalej, dalej! — krzyknąłem do forysiów. — Byłe nie stać! Jedźcie, jedźcie przez sam środek tłumy!

Chwaccy Indianie posłusznie wykonali rozkaz. Głośno rycząc, napędzali konie, które pierwszy raz ciągnęły karocę. Poprzednio, na lepszej drodze, były posłuszne, teraz jednak, słysząc za sobą trzeszczenie starego wehikułu, otrzymując ciągi, klute ostrogami, przerażone rykiem, poniosły wreszcie, nie zatrzymując się przed żadną przeszkodą. Nastąpiło zderzenie z tłumem. Czy mi się powiedzie?

Kto przemoże, my, którzy nadciągaliśmy z dołu, czy też Mogollonowie, którzy pędzili z góry, a zatem mieli większy impet?

Zderzyły się przednie konie przeciwników; powóz przystanął.

— Naprzód, naprzód! — wołałem. — Bijcie kolbami ich konie!

Mogollonom wystarczyłoby zastrzelić nasze przednie konie. Nie pomyśleli o tym. Mieli oto na karku wrogów, a przed sobą własny powóz z obcymi jeźdźcami i białym woźnicą, który miotał się jak szalony. Stracili kilka cennych sekund. Moich sześciu Nijorów usłuchało rozkazu — zerwali broń z ramion i okładali kolbami wszystko, co im się pod rękę nawijało. Spienione rumaki zerwały się z miejsca. Smagałem konie cugowe z całej siły. Wreszcie karoca potoczyła się naprzód, Mogollonowie zaś odwrócili się i, rycząc, cofali wstecz. Pędziliśmy przed siebie, nie pozostawiając wrogom swobodnej przestrzeni, zwyciężyliśmy! Żywy taran spełnił swoją powinność. Za powozem jechali moi Nijorowie; krzyczeli, darli się na całe gardło. Nie dziwiłbym się gdyby wrogów spłoszył sam nasz widok.

Powóz dotarł do wylotu wąwozu, na płaskowzgórzu. Jeden rzut oka wyjaśnił mi sytuację. Z lewej strony oddział Apacza pod drzewami, on sam zaś, poza laskiem, trzymający srebrną strzelbę, spoglądał ku nam. Z tamtej znów strony drugi oddział Nijorów na skale tuż przede mną wrogowie, skupieni razem spojierający z przerażeniem na powóz. Trzeba było wykorzystać chwilę.

— Stój! Zatrzymajcie się tutaj i nie przepuszczać nikogo! — zawołałem, zwracając się wstecz, do swych wojowników; po czym krzyknąłem do forysiów — Coraz dalej, dalej! Na wprost, pomiędzy nich!

I pomknęliśmy naprzód! Wdarliśmy się w gęstą ciżbę, rozdzieliliśmy ją, torując sobie drogę. Liczyłem wprawdzie na oszołomienie Indian, ale nie przypuszczałem, że zapomną o broni parnej. Odstępowali, krzycząc i wyjąc. Przepuścili powóz, nie usiłując go nawet zatrzymać. Scena ta rozgrywała się w pobliżu kanionu. Jakże łatwo mogły nas przerażone rumaki ponieść w otchłań! Lecz moi forysie byli tak dobrymi jeźdźcami, że jeszcze teraz potrafili utrzymać konie w wodzach.

Przeszywaliśmy się przez gromadę wrogów, która za nami znów się zawieriała. Nie zwracałem uwagi na nieprzyjaciół, zajęty wyłącznie popędzaniem koni. To było — ach, oto zatrzymał się jeden z Mogollonów, prawie ostatni i wraził we mnie szeroko otwarte oczy. On także był jak gdyby sparaliżowany. Znałem go widziałem go już, kiedy z wody szpiegowałem Mogollonów, obradujących nad Jasną Skałą. To był Silny Wicher, wódz Mogollonów!

— Na lewo poprzez równinę, zatrzymajcie się przy skale! — zwołałem do forysiów.

Prawą ręką przerzucając cugle przez hak żelazny, lewą chwyciłem sztucer i zeskoczyłem z kozła, w chwili gdy powóz skręcił na lewo. Spadłem nie tylko na nogi, ale także na rękę. Szybko się zerwałem, błyskawicznym susem znalazłem się przy wodzu, pochwyciłem cugle jego rumaka i spałem go na miejscu. Gwałtowny ruch konia i oto siedziałem na jego tułowiu tuż za wodzem. Pomknęliśmy za karocą ku lewej stronie Łysiny.

Wódz nie mógł się spodziewać takiego napadu, ale okazał dosyć przytomności umysłu. Chwycił za nóż jedyną broń, jaką posiadał, gdyż strzelba spadła poprzednio na ziemię. Usiłował mnie zakłuć, ale nadaremnie. Aby zwolnić rękę, przerzuciłem broń przez ramię i wpiłem się dziesięcioma palcami w szyję wodza tak, że ręka z nożem opadła, po czym obie ręce bezsilnie zachygotały w powietrzu. Zabrało mu tchu.

Od owej chwili, kiedy dobiegłem do Łysiny, upłynęła dopiero jedna minuta. Trudno uwierzyć, co wszystko może się zdarzyć w ciągu jednej minuty w podobnych sytuacjach. Za mną Mogollonowie wyli z wściekłości, że porwano im wodza, z lasu i ze skały ryczeli Nijorowie z zachwytem — a ja bynajmniej nie byłem zachwycony. Musiałem trzymać szyję wodza, moja strzelba źle wisiała; tłukła mnie po uszach; koń całkiem się zbiesił, czego zresztą nie można mu było brać za złe. Rwał to na prawo, to na lewo, wierzgał, chciał nas z siebie zwalić, ja zaś nie miałem nad nim władzy, ponieważ wódz wypuścił z rąk cugle. Siedziałem tak, że nie mogłem sięgnąć nogami strzemion. To dopiero była woltyżerka, ale o wiele trudniejsza i niebezpieczniejsza, niż w cyrku. Nie było innego wyjścia, musiałem — wodza wysadzić z siodła. Spodziewałem się, że nie złamię karku. On sam również stracił pod nogami strzemiona. Przeciągnąłem go na bok, usiłowałem przełożyć mu drugą nogę na tę samą stronę i zepchnąć, nie narażając go przez to na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Ale ten litościwy zamiar nie doznał powodzenia. Wódz leżał omdlały na moim prawym ramieniu. Kiedy się przechyliłem, aby wolną ręką podnieść jego lewą nogę, koń spłoszony jeszcze bardziej tym nowym ruchem, skoczył potężnie w bok i obaj zlecieliśmy na — niestety — bardzo w tym miejscu twardą ziemię.

Przez parę chwil leżałem równie nieruchomo, jak mój wróg. Zdawało mi się, że skrzydło młyńskie cisnęło mnie ponad niebezpieczne Elberfeld i Barmen, w głowie wrzało, jak co najmniej w dwudziestu uszach, a w oczach stanęło mi tyle zórz północnych, że w Laplandii można naliczyć chyba w ciągu dziesięciu lat.

Usłyszałem huk wystrzałów, obejrzałem się i zobaczyłem gromadę Mogollonów, która mknęła ku mnie, aby odbić wodza. To Nijorowie dali w nich ognia. Gdyby mnie wrogowie doścignęli, byłbym zgubiony, a byli już bardzo blisko. W tej chwili, jak zresztą już nieraz, doświadczyłem, jaką potęgą duch panuje nad ciałem. Zerwałem się, zapodziały się gdzieś ule, zanikły zorze północne i ból się ulotnił. W pobliżu leżał mój sztucer, na szczęście cały.

Podniosłem go, przyłożyłem, wycelowałem w czterech najbliższych drabów i cztery strzały, a cztery kule utkwily w piersiach czterech koni, które niebawem runęły. Wsadzeni z siodła jeźdźcy podnieśli się i czym prędzej zmykali pod deszczem kul, padających z lewej i prawej strony, ale nie tak celnych; jak moje.

Ledwo uciekli, znów odczułem bóle. W głowie brzęczało mi jak poprzednio i barwne zorze ponownie zaiskrzyły się przed oczami. Teraz wódz Nijorów wpadł na dobrą myśl, wysłał do mnie oddział. Mógł wesprzeć mnie rychlej i lepiej od Winnetou, ponieważ znajdowałem się bliżej skały, niż lasu Nijorowie schwyтали rumaka wodza, jego samego spętali i wzięli na ręce. Ja zaś, wsparty na dwóch wojownikach, powlokłem się ku wyżynie.

Stwierdziłem, że niczego sobie nie połamałem, ale nabiłem mnóstwo tęgich guzów i byłem dotkliwie potłuczony, a wiadomo, że sprawia to większy ból, niż złamanie kości. Na wyżynie ułożono wodza i posadzono przy mnie. Był dla nas tak ważną zdobyczą, że sam chciałem go strzec, ponieważ nie mogłem już brać zbrojnego udziału w walce.

Świecek przed oczyma i brzęczenie w uszach świadczyły, że krew napłynęła mi do głowy. Przydałyby się zimne okłady. Nietrudno chyba było o nie, przecież w pobliżu wznosił się las, a gdzie las, tam zwykle jest i woda. Jednakże zrezygnowałem z okładów, bo wstydziłem się przed Indianami...

Nie mogłem dojrzeć, co się dzieje nad kanionem, do takiego stopnia błyskało mi się w oczach. Słyszałem, że ktoś tam głośno przemawia, ale brzęczenie w uszach głużyło wszelkie głosy. Wreszcie podszedł do mnie wódz Nijorów, aby zapytać, jak się czuję.

— Runąłem, ale niczego sobie nie złamałem — odparłem krótko. — Kto tam przemawia?

— Winnetou.

— Do kogo?

— Do wrogów.

— Co mówi wódz Apaczów do wrogów?

— Żeby się poddali bez oporu.

— Czy mogą coś postanowić bez wodza?

— Czemu nie? Gdyby nawet nie chcieli — muszą. Wódz jest naszym jeńcem, a zatem nie może im radzić. Tak, teraz jest naszym jeńcem, a to dzięki twojej odwadze.

— Nie była to odwaga, lecz szybko zdecydowane działanie. Wyciągnąłem korzyść z popłochu, który ogarnął Mogollonów. I jeśli nawet groziło mi niebezpieczeństwo, to w każdym razie niewielkie.

— Mogli strzelać.

— Ale nie strzelali. Kto jednak pierwszy dał ognia, zanim przybyłem na miejsce? Czy Mógollonowie?

— Nie — odrzekł zakłopotany. — Myśmy strzelali. Sądziłem, że mamy już wrogów w rękę.

— Zamiast iść za pierwszym porywem, powinieneś być ściśle przestrzegać naszego planu. Gdybym nie dotarł jeszcze do wąwozu, Mogollonowie zdołaliby się wymknąć. Ale o tym dosyć! Przekazałem ci jeńca. Czy dobrze kazałeś go strzec?

— Tak. Sprowadziłem go ze sobą i zostawiłem wraz z końmi po drugiej stronie tej ścieżyny.

— Czemuś go sprowadzał?

— Sądziłem, że zechcesz go zobaczyć, a poza tym pewniejszy jest przy swoich wojownikach, niż w wiosce przy starcach i *squaws*.

— Słusznie. A młody biały?

— Jest tutaj także. Nie chciał oddalić się od jeńca. Czy moi wojownicy mają ich przyprowadzić?

— Później, jeszcze nie teraz. Czy to Winnetou z dwoma wojownikami zbliża się do nas?

— Tak.

A zatem odzyskałem wzrok. Głowa nie ciążyła już tak bardzo. Ale z wodzem Mogollonów było krucho. Leżał z zawartymi oczami.

W ten stan wtrąciło go nie tylko okrutne działanie moich palców, to upadek z konia zaszkodził mu najbardziej.

Obaj Indianie, którzy towarzyszyli Apaczowi, to Mogollonowie, starzy wojownicy, którzy przyszli się zapewne naradzić. Zatrzymali się w pewnym oddaleniu z szacunkiem i powagą. Apacz podszedł do nas. Z początku zwrócił się do wodza Nijorów i rzekł surowym tonem:

— Kto rozpoczął strzelaninę?

— Ja. Sądziłem, że to był czas stosowny.

— Wszak umówiliśmy się, że ja pierwszy strzelam, o ile to uznam za niezbędne. Jesteś wodzem, powinieneś więc być bardziej, niż kto inny, przestrzegać naszej umowy. Czy wiesz, ilu zginęło wrogów?

— Nie.

— Ośmiu poległo; sporo zaś jest rannych. Można było tego uniknąć.

— Zasłużyli na swój los! Gdyby im się to poszczęściło, na pewno by nie oszczędzali moich wojowników.

— To prawda, wszelako powinieneś być dotrzymać przyrzeczenia. Winnetou nigdy jeszcze nie złamał słowa.

Teraz zwrócił się do mnie:

— Mój brat dokazał bohaterskich cudów waleczności. Będą o tym opowiadać u wszystkich ognisk indiańskich. Jak memu bratu się powiodło nad Cienistym Źródłem?

— Wyśmienicie. Schwytaliśmy eskortę powozu i zostawili pod dobrą strażą.

— A jakże się czuje mój drogi brat? Upadek z konia był dotkliwy. Czy wyszedłeś bez szwanku?

— Zamroczyło mnie tylko.

— Oszczędzaj się, przyjacielu! Lada skaleczenie może wywołać najgorsze następstwa. Dokonałeś dosyć; resztę niechaj czynią inni.

— Czuję się już prawie tak dobrze, jak przed wypadkiem. Przyprowadziłeś dwóch wojowników Mogollonów. Prawdopodobnie odbędzie się narada?

— Tak. Chcą się rozmówić ze swym wodzem.

— Leży tu obok. Nie poruszył się jeszcze. Mam nadzieję, że nie złamał sobie karku.

— Zbadam go.

Nachylił się nad omdlałym, a po chwili oznajmił:

— Zranił sobie głowę o kamień, nic ponad to. Ocknie się niebawem; musimy czekać.

— Ja zaś tymczasem wrócę do wąwozu, do swych Nijorów. Muszę wysłać gońca do Emery'ego.

— Aby go zawiadomić o zwycięstwie?

— Tak. Powinien przybyć tu wraz ze wszystkimi wojownikami i jeńcami.

— Słusznie, gdyż mógłby się później spotkać z wracającymi Mogollonami.

Podniosłem się. Winnetou powiedział: — Emery mógłby się później spotkać z wracającymi Mogollonami. — Miałem o jeden dowód więcej, jak zgodne były nasze myśli. Ze słów tych bowiem wynikało, że nie chciał Mogollonów oddać jako jeńców w ręce Nijorów.

Pierwsze kroki sprawiły mi ból. Zniosłem go i zmusiłem się do kroczenia z podniesioną głową poprzez Łysinę Kanionu ku wylotowi wąwozu. Skoro się zbliżyłem do lasu, Nijorowie poczęli mnie ku sobie przywoływać. Z lewej strony w pobliżu brzegu kanionu Mogollonowie przykucnęli w trzech długich rzędach. Każdy z wrogów trzymał w ręku cugle stojącego za nim wierzchowca. Utkwili we mnie badawcze spojrzenie. Z półotwartych warg wyrwała się żywa wymiana słów. Widać było, że upadek z konia nie nadszarpnął w ich oczach mego honoru.

Wysławszy jednego ze swoich Nijorów po Emery'ego, wróciłem do Winnetou. Obaj Mogollonowie siedzieli teraz w tym samym miejscu, na którym poprzednio stali. Apacz usadowił się przy ich wodzu, ja po drugiej stronie, a Szparka Strzała przykucnął naprzeciw nas.



Po pewnym czasie przez ciało Silnego Wichru przeszły pierwsze oznaki wracającego życia. Usiłował poruszyć to ręką, to nogą, ale na próżno; był bowiem spętany. Wreszcie otworzył oczy. Pierwsze jego spojrzenie padło na mnie. Oglądał mnie przez chwilę, po czym zapytał:

— Biała twarz! Kim jesteś?

— Nazywają mnie Old Shatterhandem — odparłem.

— Old Shatterhand! — powtórzył z widocznym przestraczem i znów przymknął oczy. Zdawał się zastanawiać i z trudem zbierać rozpierzchłe myśli o tym przynajmniej świadczyła gra jego twarzy. Wreszcie odemknął powieki i rzekł: — Jestem spętany. Kto kazał mnie związać?

— Ja.

Ponownie opadły mu powieki. Skoro następnie je podniósł, oczy miały żywszy blask. Odzyskał pamięć i przytomność umysłu. Skwitował mnie spojrzeniem i rzekł:

— Przypominam sobie Przybyłeś powozem, skoczyłeś na ziemię, a potem na mego rumaka. Co się dalej stało, nie wiem, albowiem pochwyciłeś mnie za gardło, aby zadusić.

— Jesteś w błędzie. Nie chciałem cię udusić, ani zabijać, tylko chwilowo unieszkodliwić. To mi się powiodło.

— Tak, to ci się powiodło! Biały skacze na mego rumaka, pędzi ze mną ogłusza mnie i bierze w niewolę. Tomahawkiem rozplatałbym głowę śmiałkowi, któryby się ważył powiedzieć, że coś podobnego może się zdarzyć. To hańba dla mnie!

— Nie, to nie hańba zostać pokonanym przez Winnetou lub Shatterhanda.

— Wszakże odbierzesz mi leki!

— Nie. Możesz je zachować.

— Ale mój skalp!

— Nawet skalpu nie zedrę. Czy słyszałeś kiedyś, aby któryś z obu wojowników, których wymieniałem, skalpował wroga?

— Nie.

— A zatem zachowasz zarówno skalp, jak i leki. Czy wciąż jeszcze sądzisz, że nie możesz się pokazać na oczy swoim?

— Nie. Wiem teraz, że nie okryłem się hańbą. Old Shatterhand zwycięża wodzów, których nikt przedtem nie pokonał, lecz klęska przez niego zadana nie pozbawia sławy. Powiedz mi jednak, jak to się stało? Czyś nie był w pueblo Yuma?

— Byłem tam wraz z Winnetou.

— Dokąd później pojechaliście?

— Do Góry Wężowej, a stamtąd do Łysiny Kanionu. Oczywiście nie dodałem nic ponad to. Spoglądał na mnie zamyślonym, chytrym spojrzeniem, i zapytał.

— Czy nie napadł ni ciebie w drodze pewien biały?

— Tak.

— Skąd miałeś powóz?

— Ten powóz należy teraz do mnie — odpowiedziałem wymijająco.

— *Uff!* Nikt jeszcze nie słyszał, aby Old Shatterhand i Winnetou jechali wozem! Gdzież jest Winnetou?

— Tuż przy tobie.

Leżał bokiem do mnie zwrócony, tak, że nie mógł zobaczyć Apacza. Teraz odwrócił się, doń i rzekł:

— Znakomity wódz Apaczów oszczędzał moich ludzi — zabronił w nich strzelać. Ilu macie tutaj wojowników Nijorów?

Ubiegłem Winnetou:

— Tylu, że się nie zdołacie im wymknąć.

— Czemu okrążyli Łysinę Kanionu?

— Aby was schwytać.

- Ale skąd wiedzieli, że my dzisiaj nadciągniemy?
- Zawiadomiłem ich.
- Ty? — zapytał zdziwiony. — Od kogo się dowiedziałeś?
- Od ciebie. Słuchałem przy Jasnej Skale waszej narady.
- *Uff!* Przy Jasnej Skale? Narada wszak odbyła się w sercu obozu!

— Wiem, gdyż byłem tam. Mówiliście tak głośno, że słyszałem każde słowo. Płynąłem z nurtem rzeki i przybiłem bo brzegu tuż przy waszych namiotach. Podśłuchawszy, zawróciłem i wydostałem się z obozu. Ponieważ Nijorowie są moimi przyjaciółmi, ty zaś chciałeś nas pojmać, przeto czym prędzej zawiadomiłem ich i poleciłem, aby oczekiwali was tutaj, na Łysinie Kanionu.

- A więc tobie winniśmy klęskę?
- Tak.

Długie i osobliwe spojrzenie wodza spoczęło teraz na mnie, ale nie dostrzegłem w nim nienawiści, ani mściwości, ani podobnych uczuć.

- Czy widziałeś wszystkich, co brali udział w naradzie?
- Tak. Był tam również biały mąż, który się nazywa Melton.
- Ten mąż powiedział nam, że jesteś naszym wrogiem!
- Oszukał was. Old Shatterhand jest bratem wszystkich czerwonych.
- Czy wiesz, gdzie przebywa Melton?
- Pojechał naprzeciw białej *squaw*, z którą mieszkał w jej pueblo.

Ta dyplomatyczna odpowiedź zadowoliła go w zupełności. Przypuścił, żeśmy nie spotkali Meltona i jego pięćdziesięciu wojownikami. A więc była jeszcze jakaś nadzieja ratunku. Zapytał:

- Czy byłeś nad Cienistym Źródłem?
  - Tak, wieczorem po waszej naradzie, kiedy dążyłem do Nijorów.
- Po długim namyśle podjął:
- Czemu siedzą ci dwaj starzy wojownicy mego szczepu?
  - Przyszli się naradzić nad warunkami uwolnienia swego wodza.
  - Jakież to warunki?

Dotychczas nie raczył spojrzeć na siedzącego naprzeciw wodza Nijorów, który teraz odezwał się:

- Musisz się mnie zapytać.
- Nie spojrzawszy nań, odparł Mogollon.
- Rozmawiam z Old Shatterhandem, z nikim innym. A zatem jakież to są warunki?

— Właściwie mówiąc, — rzekłem — stracić powinniście życie, skalpy, leki konie, broń i wszystko co tylko posiadacie, lecz my, to znaczy Winnetou i ja, nakłoniliśmy wodza Nijorów do łagodnego postępowania.

- Czemu jego właściwie?
- Ponieważ jest zwycięzcą.
- Nie wy, tylko Old Shatterhand i Winnetou, pokonali nas i tylko oni mogą nam stawiać warunki! Jestem gotów ich wysłuchać.

Czekał na moją odpowiedź. Spojrzałem na Winnetou, który wnet się ozwał:

— Zgodzę się na wszystko, co mój brat powie. Teraz więc mogłem odpowiedzieć Silnemu Wichrowi.

— Wyruszyliście, aby napaść na Nijorów. Wiem, że jesteś odważnym, a także prawdomównym wojownikiem i wodzem, i że się nikogo nie lękasz. Sądzę więc, że nie przemilczysz prawdy?

- Nie — odparł dumnie.
- Cóż byście zrobili, gdybyście pokonali Nijorów?
- Zabilibyśmy ich, zabrali ich kobiety i całe mienie.

— Mówisz prawdę. Prawo Zachodu brzmi: miarka za miarkę. Teraz oto zwyciężyli Nijorowie. Czego się po nich spodziewacie?

— Takiego samego losu.

— Tymi słowy sam przypieczętowałbyś wasz los, gdyby mnie i Winnetou tutaj nie było. Poparliśmy Nijorów, ale zażądaliśmy w zamian pewnych ustępstw.

— Jakich? — zapytał, rzucając bystre spojrzenie.

— Ujdziecie cało.

— A nasze leki?

— Zachowacie.

— *Uff!* A więc możemy wrócić do obozu przy Jasnej Skale?

— Tak.

— Zatem rozwiąż mnie. Godzę się z miejsca. Bezwłocznie odjedziemy stąd do domu.

— Stój! Nie tak prędko! Ocaliliśmy wam życie i leki, ale czy zdołamy ocalić jeszcze coś, to jest pytanie, które może rozstrzygnąć tylko wódz Nijorów.

Szybka Strzała machnął ręką i rzekł:

— Moi bracia zauważyli, że spętany, wódz Mogollonów nie chce ze mną rozmawiać co więcej, nie spoznał na mnie ani razu. Jakże mogę doń przemówić? I jakże mogę się spodziewać ode mnie łagodnych warunków!

— Mówię z tobą! — rzekł szybko Mogollon. — Spójrz, oglądam ciebie. A więc powiedz, czego żądasz!

Nijora zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

— Winnetou, słynny wódz Apaczów i Old Shatterhand, wielki myśliwy i wojownik Zachodu, są moimi braćmi i przyjaciółmi. Serca mają łagodne i miękkie, chociaż w ramionach posiadają moc niedźwiedzi. Niechętnie patrzą na krew i niechętnie oglądają chmurę troski na czyjekolwiek twarzy. Chciałbym tak postępować, jak oni, aby wywdziżyć się wypalenie ze mną fajki braterstwa. To jedno. Mogollonowie chcieli na nas napaść, wybić nas co do nogi i zagabić całe mienie — to się im — nie powiodło. Wręcz przeciwnie, sami wpadli w nasze ręce przy czym nie straciliśmy ani kropli krwi. To drugie. Dlatego przychyliłem serce swoje ku łagodności i dlatego zażądam od Mogollonów tylko rumaków i broni.

— *Uff!* — krzyknął Silny Wicher. — Na to nie możemy przystać!

— A zatem będziecie moimi jeńcami i doświadczycie takiego samego losu, jaki nam gotowaliście!

— Tylko zwyciężeni wojownicy mogą być jeńcami. Czy moi są zwyciężeni?

— Tak.

— Nie! Spójrz na dół! Oto siedzą. Czy nie mają broni w ręku?

Będą się opierać!

— Aby co do nogi wyginać. A potem ty umrzesz przy palu męczarni, a wraz z tobą wszyscy ci, którzy nie legną od kul, albowiem powiadam ci, żaden stąd nie uniesie swego skalpu!

— Spróbuj tylko! Nie możecie i nie powinniście nas zabijać, ponieważ przyrzekliście Winnetou i Old Shatterhandowi uszanować nasze życie i leki.

Gdyby się mógł na tym zasadzić, nie doszłoby zapewne do zgody. Dlatego odezwałem się poważnym głosem:

— Tak, o ile się poddadacie. W przeciwnym wypadku nie możemy was ocalić. Mogę ci tylko poradzić, abyś przystał na warunki wodza Nijorów.

— Zbyt surowe!

— Bynajmniej, są zbyt łagodne. Ty byś postawił zgoła inne.

— Czy mogę się zastanowić?

— Tak. Czy starczy ci do namysłu czas połowy drogi słonecznej?

— Tak.

— Dobrze! Twoi obaj starzy wojownicy mogą do ciebie podejść i naradzać się z tobą. Ale żądam, aby uprzednio wszyscy twoi ludzie złożyli broń.

— Nie złożą!

— Jeśli nie, dam znak do rozpoczęcia walki, która skończy się pogromem twoich wojowników.

— Dopiero co udzieliłeś mi zwłoki i powiedziałeś, że mogę się naradzić z obu wojownikami. Broń możemy tylko wówczas oddać, kiedy upłynie czas zwłoki i kiedy wyrazimy zgodę na wasze żądania!

— Słusznie. A jednak już teraz żądam jej od ciebie, zresztą tylko na pewien czas, ponieważ chcę mieć pewność, że twoi wojownicy nie porwą się do broni przed upływem wyznaczonego terminu.

— Czy następnie dostaną broń z powrotem?

— Naturalnie, dostaną, skoro tylko termin upłynie. Po czym dasz mi odpowiedź.

W tej chwili odezwał się jeden ze starych wojowników:

— To chyba pułapka, o wodzu! Będziemy zgubieni, jeśli w nią wpadniesz.

— Milcz! — osadził go wódz. — Czy słyszałeś, aby Old Shatterhand łamał słowo, albo Winnetou skłamał? Jeśli obaj przyrzekną, obietnicę ich przyjmę, jak zakłęcie Wielkiego Manitou! — i zwróciwszy się do mnie, dodał spokojniej: — A zatem obawiasz się zamieszek i dlatego tylko żądasz broni?

— Tak.

— Odzyskam ją, zanim jeszcze dam ci odpowiedź?

— Przyrzekam.

— A Winnetou też mi przyrzeka?

— Ja także daję słowo — rzekł Winnetou.

Wówczas Silny Wicher zwrócił się do swoich wojowników:

— Słowa obu wielkich wojowników są niczym dwie przysięgi. Wróćcie do naszych wojowników. Żądajcie od nich broni i każcie ją złożyć pośrodku płaskowzgórza. Mogą jej strzec wojownicy Nijorów. Potem wracajcie do mnie na naradę!

Podnieśli się i odeszli. Rozpatrując warunek złożenia broni, Mogollon i ja mieliśmy całkiem odmienne intencje.

Oczekiwałem Emery'ego wraz z jeńcami. Skoroby nadszedł i wojownicy Mogollonów zobaczyli swoich spętanych kamratów, na pewnoby schwycili za broń, aby ich odbić. To był powód mego żądania.

A on, wódz Mogollonów? Liczył na Jonatana Meltona z jego pięćdziesięcioma wojownikami, oraz na dziesięciu tych, którzy zostali wraz z adwokatem i śpiewaczką. Tych sześćdziesięciu, do których zapewne się przyłączyli Yuma, mogłoby już coś zdziałać. Zgodził się na moje żądanie, aby uspić naszą czujność.

Mogollonowie usłuchali rozkazu wodza. Wystaliśmy do nich kilku Nijorów, którym bezzwłocznie oddali wszystkie swe flinty, łuki, oszczepy, noże i tomahawki. Zwalono je razem pośrodku Łysiny, po czym na mój rozkaz ustanowiono dokoła dwudziestu dobrze uzbrojonych Nijorów. Po pewnym czasie wrócili obaj starcy do swego wodza. Usiedli przy nim. Nie zamierzaliśmy utrudniać im narady swoją obecnością. Postawiliśmy przeto dwóch strażników dla doglądnięcia więzów pojmanego w takiej odległości, że nie mogli słyszeć rozmowy Mogollonów. Nawet, gdyby źle się spisali i wódz został uwolniony z więzów, to nie mógłby się wydostać, gdyż wszystkie przejścia dookoła były obsadzone naszymi ludźmi. Miałem więc tyle czasu, że mogłem wraz z wodzem Nijorów pójść na drugą stronę wyżyny do Franciszka Vogla. Winnetou zaś został na Łysinie, aby doglądać porządku. Żaden człowiek nie nadawał się do tej czynności tak, jak on, gdyż żaden nie posiadał tak czułych i wyćwiczonych zmysłów.

Ścieżki nie prowadziły pod górę. Musieliśmy się wspinać z kamienia na kamień, przy czym każdy krok sprawiał mi dotkliwy ból. Doszedłem do przekonania, że nierychło pozbędę się bolesnych następstw upadku z konia.

Z tamtej strony wyżyny, u której stóp wznosił się wielokrotnie już wspomniany las, rozciągała się preria, zarośnięta gęstą trawą. Tam płynęła woda, której istnienia domyślałem się poprzednio. Konie Nijorów skubały trawę pod nadzorem kilku młodych wojowników. Opodal, przymocowany do wbitych w ziemię kołków, leżał jeniec — Tomasz Melton, a przy nim siedział Franciszek Vogel, nasz skrzypek, a zarazem najpilniejszy, najpewniejszy strażnik starego szpaka. Franciszek, ujrawszy nas, zerwał się, skoczył ku mnie i zawołał w ojczystej mowie:

— Nareszcie, nareszcie pana widzę! Ile się strachu nałykałem! Jakże łatwo coś nieprzewidzianego mogło pana zatrzymać, a nawet sprowadzić nieszczęście!

— W takim razie istotnie byłbym zwolniony ze słowa. Ale nic mi się nie przytrafiło i oto pan widzisz mnie przed sobą.

— Ku wielkiej radości! Teraz niechże mi pan opowie o wszystkim! Słyszałem strzelaninę. Potem ucichło. Zrobiło mi się nieswojo. Wszak walka z tak licznym wrogiem musi trwać nieco dłużej!

— Odpowiednie przygotowania mogą i tutaj coś pomóc. Tymczasem mamy zawieszenie broni.

— Na jak długo?

— Na jeszcze cztery godziny. Mogę panu oznajmić nader radosne wieści.

— Jakie? Jakie? Niechże pan powie!

— Usiądźmy spokojnie! Któż chciałby stać, skoro ma pod nogami tak piękną i miękką trawkę.

— Dobrze; siadajmy! Ale mówże pan wreszcie! Jakich to radosnych wieści chce mi pan udzielić?

— Mówię tymczasem o dwóch, aczkolwiek później nadejdzie ich więcej. Odwiedzi pana jegomość, który spodziewał się znaleźć pana we Frisco, Fred Murphy.

— Murphy? Czy to ów adwokat z Nowego Orleanu?

— Ten sam.

— Czego on sobie ode mnie życzył?

— Sam panu o tym powie. Zresztą jego podróż nie była całkiem pozbawiona pożytku. Oprócz niego ktoś jeszcze złoży panu wizytę.

— Wraz z owym Murphy'm?

— Tak.

— Któż to taki?

— Siostra pana.

— Jakie to nieprawdopodobne! Nigdy bym nie przypuszczał, aby moja siostra i ten adwokat zdobyli się na taki poryw!

— Poryw? Powiedz pan raczej, jeśli chcesz być szczerzy, na taką lekkomyślność lub, żeby się wyrazić łagodniej, na taki dowód absolutnej nieznajomości kraju. Ostrzegałem swego czasu pana siostrę, kiedy, jak pan sobie przypomina, chciała nam towarzyszyć.

— Ma pan rację, całkowitą rację! Ale skoro już tu jest nie będziemy jej czynić wymówek. Jakże się jednak zetknęła z tym adwokatem i jak im wpadło na myśl nas odszukać?

Opowiedziałem Voglowi, co powinien był wiedzieć. Objął mnie z zachwytu. Lecz skoro mnie chciał ucałować, przywołałem go do porządku:

— Umiaru, drogi przyjacielu! Nie jestem precudnej urody panienką, poza tym mam drugą niespodziankę?

— Co znowu! Jakkolwiek będzie, nie może mnie chyba tak ucieszyć, jak wiadomość, że uwolniłeś moją siostrę z rąk Mogollonów.

— Oho! Nie sądź tak pochopnie! Twierdziłbym raczej, że druga niespodzianka bardziej pana zachwyci, niż pierwsza. Nie wiedział pan przecież, że siostra, wpadła w ręce Indian.

— Istotnie. A zatem niech pan wydobędzie na światło dzienne tę drugą wiadomość!

— Wydobyc? Czy sądzi pan, że ją mam w kieszeni?

— Nie, to tylko przypadkowe wyrażenie.

— Które przypadkowo trafiło w sedno. Mam ją istotnie w kieszeni.

— A więc błagam pana pokaż ją!

— Oto i ona! — rzekłem, wyciągając pugilares Jonatana Meltona.

— Portfel? — zapytał nieco rozczarowany.

— Niechże pan otworzy! — odparłem.

Trzeba było widzieć jego minę! Jakże rozwarł szeroko oczy, skoro przeczytał napis na pierwszej kopercie skórzanej i zobaczył leżące wewnątrz banknoty. Cała jego dusza, całe serce, wszystkie zmysły, całe życie skupiło się w tych oczach. Otwierał jedną kopertę za drugą, oczy coraz bardziej się rozszerzały. Zerwał się z miejsca i stanął przede mną; ręce drżały, nie mógł przemówić słowa. Zaniepokoił mnie, albowiem radość nadmierna może także zaszkodzić, a nawet zabić. Gdy wypuścił pugilares z ręki, rzucił się na ziemię, zakrył twarz rękoma i zaczął głośno i długo płakać.

Milczałem. Włożyłem do pugilaresu koperty, które wypadły, zamknąłem go i położyłem przy skrzypku. Czekałem, aż łkanie coraz cichsze, zamrze zupełnie. Leżał jeszcze nieruchomo przez kilka chwil; po czym podniósł się, wziął pugilares do ręki i zapytał:

— Czy to... to... to... od Jonatana Meltona?

— Tak — odpowiedziałem i w krótkich słowach wyjaśniłem okoliczności sprawy.

— I czy to naprawdę spadek po starym Hunterze? — zapytał.

— Mogę na to przysiąc.

— I należy do mnie, a raczej do mojej rodziny?

— Naturalnie!

— Czy mogę go schować?

— Nie, gdyż chciałbym panu wręczyć w obecności tych, którzy jego stratę muszą przeboleć.

— Dobrze. Ma pan rację. Oto pugilares. Moje pytanie, czy mogę go schować, uraziło pana?

— Ani trochę. Zatrzymam go tylko przez krótki czas, po czym panu zwrócę. Nie jest dla mnie rzeczą obojętną, co później z nim zrobisz, a jednak...

— Dlaczego nieobojętną? — przerwał Franciszek — Powiedz mi pan. Bądź pan szczery!

— Chętnie! Wie pan jakim kosztem odzyskaliśmy te pieniądze, a właściwie nie wie pan o wszystkim. Koniec końcem, odzyskaliśmy. Ale zapędziliśmy się na Dzikie Zachód, z którym, nie jesteś obeznany. Czy mniema pan, że pańska kieszeń jest najlepszym, najpewniejszym schowkiem dla tych milionów?

Jak gdyby uświadamiając sobie przebyte niebezpieczeństwa, krzyknął przerażony:

— Ale nie! Nie wezmę pieniędzy, jeszcze nie teraz! Zachowaj je pan! W pana kieszeni są pewniejsze niż w czyjejkolwiek kieszeni. Nie dowiozłbym ich do domu. Nie, nie, zachowaj je pan, zachowaj!

— Pana siostra ma także głos w tej sprawie. Zapytamy jej, skoro tylko przybędzie. A teraz szczegółowo panu zdam sprawę z przebiegu zdarzeń, które dotychczas opowiedziałem bardzo pobieżnie.

Mogłem odłożyć relacje na później, ale po pierwsze miałem sporo wolnego czasu, a po wtóre chciałem odwrócić jego uwagę od podniecających go pieniędzy. Wszak nie każdy może spokojnie przyjąć kilka milionów dolarów. Moja opowieść uciszyła jego rozstrojone nerwy.

Dlatego też nie pominąłem żadnych szczegółów. Śledził przebieg wypadków z największą — ku mojemu zdumieniu — uwagą. Wreszcie dotarłem do chwili obecnej. Odetchnął głęboko i rzekł:

— A więc z takim trudem i takim niebezpieczeństwem było połączone odzyskanie spadku! Muszę się z panem podzielić tymi pieniędzmi!

— Oho! Czy aby jesteś pan jedynym spadkobiercą?

— Niestety, nie. Ale przeprowadzę mój zamiar. Dostanie pan co najmniej tyle, ile każdy ze spadkobierców.

— Nie mówmy o tym! Jeśli pan później zechce krzewić dobro, to przypomnij sobie o swojej wiosce rodzinnej i o jej mieszkańcach, dla których paręset dolarów stanowi ogromny majątek. Teraz pragnę odwiedzić starego Meltona. Jak się zachowywał u Nijorów?

— Milczał przez cały czas.

— Czy z panem też nie rozmawiał?

— Nie, aczkolwiek nie odstępowałem od niego na krok. Jedynie w czasie snu jęczy, bredzi i bełkocze, jakby doznawał straszliwych bólów. Może go sumienie dręczy?

— Nie. Boli go strata pieniędzy. Nie chce tego na jawie okazać, tym bardziej więc śni o tym w nocy. Wściekłość jego przejawia się tylko w nocy, mimo, że także za dnia żre go, wysysa jak wampir. Nie współczuję mu, zasłużył na gorszy los, który zresztą niebawem go spotka.

Podszedłem do Meltona. Nie mógł słyszeć naszej rozmowy, albowiem siedzieliśmy w znacznej odległości od niego. Rozciągnięty na ziemi, z głową zwróconą w naszą stronę, nie mógł nas również widzieć. Skoro więc zbliżyłem się znienacka, wraził we mnie spojrzenie, niczym w upiora, zawarł oczy, aby się zastanowić, czy to, sen czy jawa i wreszcie wykrztusił jęklawie:

— Ten szpieg zza oceanu, ten po tysiącokroć przeklęty, szpieg!

— Tak, to ten szpieg — przytaknąłem. — Cieszy się pan, że jestem żywy, świeży i że znów mnie widzisz przed tobą?

Rozwarł oczy, szarpnął wściekle więzami, krzycząc:

— To on, istotnie on! O bodajbym był wolny! O bodajbym miał wolne ręce! Zdrapałbym z ciebie skórę wraz z mięsem, ty psie przeklęty! A więc nie schwytali cię Mogollonowie? Może stchórzyłeś i uciekłeś przed nimi?

— Nie schwytali mnie, chociaż bardzo sobie tego życzyli, tym bardziej, że pański kochany Jonatanek podjudził ich przeciwko mnie.

Opanował się, skupił uwagę i zapytał:

— Jonatan! Czy pan go widział?

— Być może. Nie potrafię, niestety dokładnie powiedzieć.

— Jeśliś go jeszcze nie widział, to niebawem zobaczysz!

— A, pragnę tego z całej duszy!

— Nie pragnij tak, nie pragnij! Uwolni mnie i pomści. Wpadnie jak kula i zmiażdży wam głowy!

— Będę tej kuli oczekiwał.

— Nie śmieję się z mej groźby, bo niechybnie się spełni! Jonatan przybędzie wraz z Mogollonami, którzy pokonają wrogów i schwytają was w niewolę. A wówczas biada wam, po trzykroć biada, biada, biada!

— Od czasu, jak się po raz ostatni widzieliśmy, zyskał pan wiele dramatyczności. Niestety, nie naszedł mnie taki nastrój, że gotów jestem z przerażeniem, jak pan sobie zresztą tego życzy, przyjąć pańskie groźby. Nie obawiamy się Mogollonów, znamy bowiem ich zamiary i po to tu jesteśmy, aby je udaremnić.

Obejrzał mnie badawczo, zmienił wyraz twarzy i zapytał:

— Znacie ich zamiary? Ach istotnie? Sądzicie, że zdołacie je udaremnić? Czy nie za bardzo ufacie sobie, *sir!*

— Chyba nie. Wszak zna mnie pan jako tako. Zwykłem chwytac byka za rogi, a nie za ogon. Tak samo postąpimy z Mogollonami. Wiemy o wszystkim. Pański synalek przybędzie wraz z Mogollonami. Ale urządziliśmy piękną pułapkę, w która tak łatwo wpadną, że wystarczy nam

tylko zatrzaskać za nimi drzwi. Wiem dokładnie, że potrafię za kilka godzin pokazać panu Mogollonów wraz z Jonatanem.

Zdawało się, że mnie połknie oczami, kiedy się odezwał:

— Jako jeńców? Także Jonatana? *Pshaw!* Chcesz mnie doprowadzić do wściekłości, ale to się panu nie uda!

— Przepadł pan na zawsze, Mr Melton. Czy się pan cieszy czy smuci, ani mnie to grzeje, ani ziębi. Mówię zgodnie z prawdą; jeśli pan nie wierzy, przekona się senior naocznie.

— Do piorunów, wydaje się pan pewny swojej sprawy! Zresztą, wszystko mi jedno, czy Nijorowie pokonają Mogollonów, czy też Mogollonowie Nijorów. Obchodzą mnie inne sprawy. Jeśli będziesz rozsądny, to możesz ze mną ubić niezmiernie dobry interes. Chce pan?

— Czemu nie, jeśli interes jest uczciwy, — odpowiedziałem zaciekawiony jego propozycją.

— Nader uczciwy, wyjątkowo rzetelny, oczywiście, o ile mnie pan nie oszuka.

— Nie jestem oszustem, mógł się pan o tym przekonać.

— Wiem, i dlatego właśnie wierzę, że Mogollonowie wpadną w pułapkę. I na tym opieram interes, który chcę panu zaproponować.

— A więc mów!

— Żądam od pana małej, drobnej przysługi, a przyrzekam zapłatę niewspółmiernie hojną.

— Przyrzeka pan, ale nie dotrzyma.

— Bądź pewny, ach, bądź pewny, *sir!* Nie uzyskam od pana nic, dopóki cię nie wynagrodzę.

— Takiej propozycji mogę wysłuchać. Czego pan żąda?

— Uwolni mnie pan i zwróci pieniądze.

— Istotnie, nader drobna przysługa! A zatem żądasz wolności i pieniędzy, które wyjąłem z butów. To podziwu godne!

— Nie szydź pan, bo nie wiesz; co ci dam w zamian.

— Pan? Co ma pan? Co możesz mi dać?

— Miliony?

— Do piorunów! Gdzie są pana miliony?

— Powiem panu, o ile mi pan przyrzeknie wolność i pieniądze!

— Dostanę miliony wcześniej, niż dotrzymam przyrzeczenia?

— Tak, zapłacę z góry. Widzi pan, że uczciwie postępuję.

— Stanowczo. *Mr Melton*, zdaje się, że niesłusznie pana potępiałem.

— To prawda! Na szczęście, daję panu sposobność sprostować to mniemanie z własną korzyścią.

— Pięknie! Przy tak wielkim obopólnym zaufaniu interes prędko dojdzie do skutku. Miliony, to coś znaczy. A zatem, gdzie one są?

— Przyrzeknij mi pan uprzednio wolność!

— Chciałbym wiedzieć tylko, ile jest tych milionów?

— Dwa do trzech. Nie będzie pan przecież obstawał przy ścisłym oszacowaniu. A zatem chce pan?

— Tak.

— I daję mi pan słowo, że będę wolny i że odzyskam swoje pieniądze?

— Tak. Skoro tylko dzięki pomocy pana lub dzięki pana wskazówkom dostanę te miliony, puszczę pana i wypłacę mu żadaną kwotę.

— A potem będę mógł odejść, dokąd zechcę?

— Tak. Od chwili, gdy pana uwolnię, przestanę się panem interesować.

— Dobrze! Obstawiałem swoje żądania takimi klauzulami, że mogą być pewny.

— Stanowczo. No, a teraz miliony!

— Zaraz? Musimy pomówić ze sobą szczerze. Powiedz pan, *sir*, i czy istotnie jesteś pewny, że pokonacie Mogollonów?

— Więcej, niż pewny. Schwytamy ich, od pierwszego do ostatniego.



— A więc również Jonatana?  
— Jonatana również.  
— Dobrze! To wprawdzie mój syn rodzony, ale obszedł się ze mną, jak ostatni łotr. Podzielił pieniądze Huntera w taki sposób, że schował prawie wszystko, mnie zaś zbył głupią bagatelką. Słusznie więc go zdradzę. A zatem, uważaj pan! Jonatan nosi czarną skórzaną torbę...

— Pięknie!  
— W owej torbie tkwi pugilares, a w pugilaresie miliony.  
— Czy to aby pewne?  
— Bez wątpienia! Wiem na pewno. Czy jest pan zadowolony?  
— Właściwie nie bardzo.  
— Czemu to? Wszak dostanie pan miliony! Pomyśl tylko, miliony! Omal nie wariuję, że muszę je panu odstąpić!  
— Ale wziął mnie pan na plewy. Miliony wpadłyby w moje ręce bez wskazówek pana. Jonatan będzie w każdym razie moim jeńcem; wraz z nim dostałbym jego torbę.  
— Niech i tak będzie! Ale mam nadzieję, że z powodu tego wyrachowania nie będzie się pan na mnie gniewał?  
— O proszę, wcale a wcale! Ale ja także mam nadzieję, że pańskie informacje okażą się słuszne, mianowicie, że Jonatan ma jeszcze przy sobie pieniądze. Przecież postawiłem warunek, że uzyskam je dzięki pana pomocy lub dzięki pana wskazówkom.  
— Oczywiście!  
— A co się w wóczas stanie z Jonatanem? Być może, przypłaci życiem!  
— Każdy człowiek jest sprawcą własnej doli. Nie mogę mu pomóc. Dał mi za mało, oszukał mnie wyrzekam się więc go i wszystko mi jedno, co się z nim stanie. Jeśli umrze, tym lepiej dla mnie, będę miał spokój. Ale pan zrobi na tym najlepszy interes, o wiele lepszy, niż ja!  
To mówił ojciec! Wstrząsnąłem się, jak gdyby przyłożono mi łód do grzbietu. Opanowawszy się jednak, spokojnie rzekłem:  
— Tak, moja zapłata jest bardzo wygórowana, ale nie może mnie oszołomić, gdyż i tak jestem bogaty. Posiadam już miliony. — mówiąc to, trzepnąłem się w pierś.  
— Chciałbym je zobaczyć! — odparł ze śmiechem.  
— Mogę panu sprawić tę przyjemność. Niewinne figle każdemu przystoją. A zatem patrz pan! Tu... tu... tu... i tu!

Wyjąłem pugilares, otworzyłem i pokazywałem po kolei wszystkie koperty. Boże wielki, wrażenie było piorunujące. Jakże się szybko zmienił wyraz jego twarzy! Wydawało się, że oczy wyskoczą mu z orbit. Podniósł głowę, na ile pozwoliły mu więzy, i ryknął:  
— To... to... to jest przecież... skąd pan wziął ten pugilares! O! Diable, diable, diable! — krzyknął zaraz i wpił we mnie spojrzenie, którego niepodobna opisać.  
— Niech się pan nie unosi! — odpowiedziałem. — Co to panu szkodzi, że zwiedziłem po kryjomu namiot pańskiego syna? Ale współczuję panu. Nie może pan dotrzymać słowa; nie możesz przyłożyć się do zdobycia — mam je bez pana pomocy i wskazówek. A więc nie mogę pana wypuścić.  
— Ni... i... e? — wybełkotał w podnieceniu, drżąc na całym ciele.  
— Nie. I nie odzyskasz pieniędzy.  
Nie odpowiedział. Głowa mu opadła, policzki zapadły się głęboko, a oczy zawarły. Sądziłem, że wpadł w omdlenie. Odwróciłem się, aby odejść, gdy szarpnął więzami, że aż kołki się powykrcęcały i ryknął:  
— Jesteś z piekła rodem! Czy wiesz, kim jesteś? Szatanem, szatanem w ludzkim ciele!  
— Przesada. Twój brat był diabłem. Nazywałem go tak zawsze od pierwszego spotkania. A ty jesteś Judaszem, zdrajcą. Wszystkim, którzy ci czynili dobro, złem odpłaciłeś. Zabiłeś własnego brata i ograbiłeś go, a dopiero co zdradziłeś własnego syna, swoje własne dziecko!

Tak, jesteś Iskariotą i umrzesz, jak ów zdrajca, który sam się powiesił. Nie zginiesz z ręki kata, lecz z własnej. Niechaj Bóg ma większe nad tobą zlitowanie, niż ty sam nad sobą.

Odróciłem się i poszedłem do Franciszka, który stojąc w pobliżu, był świadkiem tej sceny.

— Straszliwy człowiek! — rzekł młody skrzypek. — Czy sądzisz, że może się jeszcze skruszyć?

— Pragnąłbym, aby się każdy grzesznik nawrócił. Ale ten nie nawróci się. Jest gorszy i bezbożniejszy, niż jego brat, którego sam zabił. Należałoby płakać, gdyby łyzy coś tutaj pomogły.

— Ten człowiek mnie niepokoi. Czy mam pójść z panem?

— Nie. Zostań tu jeszcze. Młodzi Nijorowie, którzy strzegą koni, nie są zbyt doświadczeni. Mogliby popełnić jakieś głupstwo. Zresztą, po tamtej stronie jest jeszcze niebezpiecznie. Chwilowo mamy zawieszenie broni, ale nie pokój. Może jeszcze dojść do walki.

— Czy uważa mnie pan za tchórza?

— Nie. Wszelako nie powinien się pan wystawiać na kule, gdyż musisz odprowadzić siostrę do domu i zachować swoje życie dla rodziców.

Usłuchał mnie i został. Wódz, który mnie tutaj przyprowadził, odszedł był już dawno. Wróciłem na Łysinę. Mogłem ją ogarnąć wzrokiem z grzbietu wyżyny. Nic się nie zmieniło. Winnetou stał w pobliżu broni Mogollonów; spętany wódz leżał na dole obok swoich najstarszych wojowników, wódz zaś Nijorów wydawał właśnie rozkaz, aby przyrządzono posiłek.

Garść wojowników udała się do koni, gdzie leżały również zapasy mięsa, i niebawem wróciła z jadłem. Wszędzie dookoła, wzdłuż lasu, na wyżynie i przy kopcu broni, widać było posilających się Indian. Dostaliśmy również ja i Winnetou po kawale mięsa; były to najlepsze kęski.

Spodziewając się rychłego przybycia Emery'ego wysłałem na jego spotkanie wojownika, który miał wkrótce wrócić i uprzedzić mnie o zbliżaniu się oddziału. Musiałem przecież wiedzieć, kiedy nadciągną, aby poczynić odpowiednie zarządzenia i zapobiec rozruchowi.

Koło godziny drugiej po południu wrócił goniec i zameldował, że Emery przybędzie za dziesięć minut. Uprzedziłem Winnetou, co należy czynić. Poszedł do lasu, do wojowników Nijora, ja zaś zwróciłem się do Szybkiej Strzały:

— Dwudziestu twoich wojowników strzeże złożonej broni, ale nie jest to ilość wystarczająca.

— Dlaczego? — zapytał.

— Wkrótce przyjdą Mogollonowie, których schwyciłem nad głębokimi wodami oraz nad Cienistym Źródłem. Być może, bracia ich w porywie wściekłości pobiegną po broń, aby odbić jeńców. Miej więc w pogotowiu jeszcze dwudziestu wojowników. Skoro tylko dam ci ręką znak, ześlij ich na dół do kopca broni. Będzie jej zatem strzegło czterdziestu ludzi.

Następnie udałem się do Silnego Wichru i jego najstarszych wojowników, przysiadłem się do nich i rzekłem:

— Wkrótce upłynie czas, który ci dałem do namysłu. Omówiliście ze sobą sprawę, czyście doszli do porozumienia?

— Jeszcze nie — odparł wódz.

— Śpieszcie się zatem! Skoro minie wyznaczony czas, musicie dać odpowiedź.

— Czy nie przedłużysz terminu?

— Nie. To ani nam, ani wam na nic się nie przyda.

— Opowiadają, że Old Shatterhand był zawsze wyrozumiały.

— Dałem wam sporo czasu do namysłu.

— Ale nie tyle, ile nam trzeba!

— Potrzebowalibyście o wiele mniej, gdyby w twojej głowie nie kołatały się złudne nadzieje pomocy.

— O jakiej pomocy mówisz?

— O dziesięciu wojownikach, których dziś rano zostawiłeś nad Cienistym Źródłem.

Opanowawszy nagle zaskoczenie zapytał:

— Mówisz o dziesięciu wojownikach? Czy sądzisz, że nad Cienistym Źródłem obozują moi wojownicy?

— Tak. Zostali tam, aby pilnować dwojga jeńców, kobiety i mężczyzny. Czy nie tak?

— Nic o tym nie wiem.

— Czyż nie mówiłeś uprzednio, że usta twoje nigdy nie skalały się kłamstwem? A teraz okłamujesz mnie bezczelnie! Ty sam obozowałeś poprzedniej nocy nad Cienistym Źródłem. Siedziałeś z trzema starszymi wojownikami nad wodą przy małym ognisku, ja zaś leżałem obok was i podsłuchiwałem. Następnie nadjechało dwóch wywiadowców i jeden z nich zameldował, że widział wojownika Nijorę. Czy nie tak?

Nie odpowiedział. Ciągnąłem dalej:

— Nijora, którego spotkałem, był gońcem. Wysłałem go bowiem do Szybkiej Strzały z wieścią, że dzisiaj przybędziecie do Łysiny Kanionu. Następnie oddaliłem się i, mimo że w pobliżu siedział wartownik, dostałem się do powozu i uprzedziłem jeńców, że ich dzisiaj rano wyzwolimy.

— *Uff, Uff!* — zawołał zupełnie już przekonany wódz. — Tylko tobie lub Winnetou może się powieść tak zuchwała wycieczka. Czy dotrzymałeś słowa, danego jeńcom?

— Tak. Podczas gdy ty wyruszałeś ze swoimi wojownikami, ja ze swoimi leżałem za wzgórzem nad źródłem. Skoro zniknęliście nam z oczu, schwytaliśmy W niewolę dziesięciu twoich Mogollonów, uwolniliśmy jeńców, zaprzęgli wóz w osiem koni i ruszyli naprzód za wami.

— Czemu powozem?

— To był fortel! I w zupełności się powiodł. Przypuszczałeś ponadto, że inni jeszcze wojownicy przyłączyli się do tych dziesięciu.

— Jak to?

— Pięćdziesięciu Mogollonów, których oddałeś pod rozkazy Meltona.

— *Uff! Uff!* — krzyknął wódz ponownie. — Skąd wiesz?

— Dowiedziałem się podczas waszej narady wojennej. Mieli schwytać mnie i Winnetou.

— Ale czy wiesz, że istotnie wyruszyli?

— Tak. Widziałem ich nad studnią Góry Wężowej. Leżałem tam nad wodą i podsłuchiwałem.

— *Uff!* Czyżby Old Shatterhand posiadał dar niewidoczności?

— Nie. Ale skoro czerwoni nie mają ani oczu, ani uszu, łatwo ich podejść. Melton zaś powiedział, że pojedzie ku Głębokim Wodom, a stamtąd podąży w ślad za tobą.

— Czy spełnił zapowiedź?

— Miał najszczerze chęci. Ale kiedy przybył z pięćdziesięcioma wojownikami nad Głęboką Wodę, byłem już tam z oddziałem Nijorów i wziąłem ich do niewoli.

Spojrzał mi badawczo w oczy i zapytał:

— Ale gdzie są jeńcy; skoro ty tu jesteś!

— Czy do walki potrzebni są jeńcy? Zostawiłem ich nad Cienistym Źródłem. Skoro zrozumiałem, że spodziewasz się od nich ratunku, posłałem gońca. Niebawem ujrzysz ich na własne oczy. Spójrz tam! Oto nadciągają!

Ujrzałem, jak Winnetou wyszedł z za drzew i podniósł rękę do góry. Na ten znak pięćdziesięciu Nijorów wyłoniło się z lasu, uklękło i skierowało lufy w rozbrojonych Mogollonów.

— Cóż to znaczy? Co się ma tu stać? — zapytał mnie przerażony wódz.

— Nic się nie stanie, jeśli twoi wojownicy zachowają spokój, — odparłem. — Posłuchaj!

Rozległ się potężny głos Winnetou:

— Wojownicy Mogollonów niech wysłuchają, co im powiem! Sprowadzi się teraz ich braci, których schwytaliśmy do niewoli. Kto zachowa spokój, temu nic się nie stanie; lecz ktokolwiek z was ruszy się z miejsca, padnie natychmiast od naszej kuli.

— Czy mówi serio? — zapytał wódz.

— Nie widzisz? Czyż lufy Nijorów nie są wycelowane w twoich wojowników?

— Tak. A po co schodzi z góry oddział Nijorów? Bezpośrednio przed tym pytaniem skinąłem na wodza Nijorów; teraz zaś oznajmiłem Silnemu Wichrowi:

— Dwudziestu mężów na mój rozkaz wzmacnia obecnie straż przy waszej broni, albowiem twoi wojownicy mogliby ważyć się na rozchwytanie oręża i odbicie jeńców.

— Moi wojownicy nie popełnią głupstwa! Moglibyście ich powystrzelać, zanimby dotarli do broni.

Zwrócił się do obu starych wojowników i rzekł:

— Spieście do naszych i powiedzcie im, żeby cokolwiek się stanie, nie opuszczali swoich miejsc. A potem wracajcie do mnie czym prędzej!

Spełnili rozkaz w samą porę, bo właśnie, kiedy dotarli do swoich, zobaczyłem u wylotu wąwozu Emery'ego na czele oddziału. Zerwałem się z miejsca i wymachując ręką, krzyknąłem:

— *Halloo*, Emery, tu do mnie, wszyscy!

Skierował się w moją stronę, a za nim jego Nijorowie w trzech grupach, między którymi, rozdzieleni na dwie partie, jechali spętani jeńcy. Cisza śmiertelna zaległa płaskowzgórze. Dzięki Bogu, nasze zarządzenia zapobiegły rozruchom.

Podniosłem wodza Mogollonów o tyle, że wsparty plecami o głaz, mógł wszystko widzieć.

— Czy poznajesz? — zapytałem.

— Melton — odpowiedział. — Biała *squaw* oraz mężczyzna i *squaw*, których schwytaliśmy w powozie.

— Przelicz swoich!

— Sześćdziesięciu.

— Pozostali jeńcy to Yuma, którzy przybyli wraz ze *squaw* Meltona.

Oddział wyminął nas i zatrzymał się opodal. Jeńcy, widząc przy mnie spętanego wodza, zwiesili głowy. Melton spozierał mi w oczy beczelnie. Kiedy jeńcy zostali ułożeni na ziemi, wrócili obaj starzy wojownicy Mogollonów.

Zapytałem Silnego Wichru:

— Czy żądasz jeszcze przedłużenia terminu?

— Nie! Poddajemy się.

— Dobrze! Mamy już waszą broń; musicie oddać nam tylko amunicję i konie. Z początku puścimy tych, którzy tam siedzą, następnie jeńców, co teraz przybyli, a na ostatku was trzech. Zajmie się tym Winnetou, ponieważ ja nie mam czasu. Musicie natychmiast opuścić płaskowzgórze, oczywiście pieszo, w kierunku Cienistego Źródła. Po godzinie roześlę na wszystkie strony wojowników, ażeby zabijali każdego przychwyconego w pobliżu Mogollona. Miarkuj to sobie!

Po tej złowrogiej przestrodze odszukałem Winnetou i poprosiłem, aby zajął się uwolnieniem jeńców. Wziął do pomocy sporą gromadę Nijorów. Ja zaś udałem się do Marty, która czekała na mnie w pobliżu.

## ZAKOŃCZENIE

Dzięki Bogu, nie jest pan ranny! — zawołała Marta wyciągając do mnie ręce. — A więc jednak się pan oszczędzał?

— Tak się oszczędzałem, że aż spadłem z konia.

— Ale nie wyrządził pan sobie żadnej krzywdy?

— Tacy niedzielni jeźdźcy nigdy sobie nic złego nie robią.

— Niech pan nie kpi! Upadek z konia może mieć bardzo niebezpieczne następstwa. Chciałabym wiedzieć jak to się stało?

— Później opowiem. Teraz muszę pani coś pokazać. Proszę iść za mną!

Wspięliśmy się na wyżynę. Wskazałem jej brata, który siedział w trawie, zwrócony do nas plecami.

— Oto brat pani. Proszę do niego podejść; on pani coś pokaże.

— Co?

— Coś, co leży w tym oto pugilaresie. Proszę go wziąć!

— Czy pan dotrzyma mi towarzystwa?

— Nie. Muszę pośpieszyć do Łysin, ale niebawem wrócę, albo przyślę po panią.

Wręczyłem jej pugilares. Ledwo uszedłem kilka kroków, usłyszałem za sobą radosne okrzyki.

Skoro ukazałem się na Łysinie, podszedł do mnie adwokat. Z ponurym wyrazem twarzy, przemówił tonem zwierzchnika:

— Widziałem, jak pan odszedł z panią Werner. Dokąd ją pan zaprowadził?

— Czemu się pan pyta?

— Ponieważ *tady* jest pod moją opieką, a zatem obchodzi mnie, kto jej dotrzymuje towarzystwa.

— Czy uważa pan towarzystwo Old Shatterhanda za nieodpowiednie?

Nie odpowiedział. Dodałem więc:

— Potwierdź pan tylko, a polecisz do kanionu! Pani Werner przekonała się dostatecznie, ile jest warta pana opieka. Nie mógł pan nawet siebie przed niebezpieczeństwem uchronić. Ponieważ jestem tu z panem sam, co się nieprędko powtórzy, chcę skorzystać z okazji i zapytać pana, czy stary Hunter zostawił jakieś nieruchomości?

— Co *sir* nazywa nieruchomościami? — zapytał.

— Grunty, domy, place, hipoteki, prawo użytkowania, renty państwowe itd.

— Nie uważam za stosowne odpowiadać!

— A więc przypominam panu, że Dzik Zachód zna niezawodne środki rozwiązywania języka. Jeden z nich zaraz panu zademonstruję.

Wziąłem lasso i chciałem nim związać ręce Murphy'ego. Bronił się; wobec czego rzekłem:

— Cicho, bo pana powalę pięścią! Nie jesteśmy w Nowym Orleanie, gdzie mógł pan wobec mnie i Winnetou udawać wielkiego mecenasa. Tu obowiązują inne prawa, z którymi niebawem pana zapoznam.

Podniosłem go, po czym tak rozciągnąłem na ziemi, że krzyknął, z trudem chwytając oddech. Jednym końcem lassa związałem mu ręce, drugi zaś przymocowałem, do stojącego w pobliżu rumaka, którego też dosiadłem. Z początku jechałem stępą, wskutek czego mógł iść za mną, ale skoro zacząłem cwałować runął i, objając się po ziemi, ryczał:

— Stój, stój! Będę odpowiadał!

Osadziłem konia, podciągnąłem lasso, postawiłem adwokata na nogi.

— Dobrze! Ale niech się pan jeszcze raz tylko wzbrania, a puszcę konia w galop. Niech pan to sobie zapamięta! Jeśli przetrączę panu kości, winę będziesz musiał sobie przypisać.

— Odpowiem! — rzekł wściekły. — Ale niech no pan tylko przybędzie do Nowego Orleanu! Pociągnę pana do odpowiedzialności i każę cię ukarać!

— Pięknie! Wkrótce już nadarzy się sposobność; zamierzam bowiem odwiedzić tam Meltonów, a ponieważ w tej sprawie muszę i z pana coś niecoś wyklepać, więc będzie pan mógł mnie zaskarżyć. Wątpię jednak, czy tamtejsi sędziowie będą się zbytnio zajmować tym, co się działo w Nowym Meksyku, czy w Arizonie. Mają po szyję własnej pracy. A zatem, odpowiadaj pan! Czy po Hunterze zostały jakieś nieruchomości?

— Tak.

— Na pewno zachowały się spisy? Ponieważ milczał, spałem konia.

— Stój, stój, zachowały się spisy! — zawołał. — W testamencie i pozostałych aktach.

— Nie staraj się pan, aby te dokumenty zginęły! I w Luizjanie można pana związać lassem, co prawda nie przez tułów, lecz przez szyję. Jonatan Melton oczywiście spieniężył te nieruchomości?

— Tak.

— Ponieważ spieszył się, zapewne sprzedawał za grosze. Niech pan wymieni kupców!

Ociągał się z odpowiedzią, ale, kiedy chwycił za cugle, zawołał:

— Ja, oraz inni jeszcze kupiliśmy wszystko.

— Ach tak! Wobec owych innych był pan pośrednikiem?

— Tak.

— Piękne rzeczy, *sir*, piękne rzeczy! Może pan przyplącić gardłem. Dlatego więc pan się aż tak przeraził, że puściłeś się w daleką podróż do Frisco, do prawowitych spadkobierców. Teraz to rozumiem! Będę więc i pana uważał niejako za jeńca. Poza tym muszę pana spytać, kto sprzedawał?

— Melton.

— Czy był prawnym spadkobiercą?

— Nie.

— Czyż więc ta sprzedaż ma znaczenie prawne?

— Nie.

— Jak prędko i świetnie odpowiadasz, kiedy cię przytroczą do siodła! Obiekty sprzedaży muszą być zwrócone i to w tym stanie, w jakim znajdowały się w momencie kupna.

— Ale kto poniesie stratę, *sir*?

— Oczywiście, że nabywcy. Padli wszak ofiarą oszustwa.

— To mnie zupełnie zrukuje!

— Nie szkodzi! Na podobnych interesach wkrótce odzyska pan majątek. Zresztą te straty nie budzą współczucia, gdyż pan to właśnie poparł i błogosławił matactwa Meltona. Na dzisiaj dosyć! Później wrócę do tej sprawy, gdyż chętnie widzę zapał, z jakim odpowiadasz.

Zeskoczyłem z konia i uwolniłem adwokata. Odszedł; skrył się jak najdalej ode mnie.

Jonatan Melton leżał spętany na ziemi. Po walce z adwokatem miał spuchniętą twarz. Zobaczywszy mnie, odwrócił się na drugi bok.

— Wyprawa wojenna skończyła się Melton, — rzekłem. — Pana przyjaciele wydali cię na sztych. Czy wciąż jeszcze mniema pan, że zdołasz dać drapaka?

Obrócił się do mnie i krzyknął:

— Nie tylko umknę, ale ponadto odzyskam pieniądze!

— Z góry panu wieszczę! Poza tym mam dla pana radosną niespodziankę.

Wydałem po cichu rozkaz, aby sprowadzono jego ojca. Wraz z nim przybyli Franciszek i Marta. Ujrzawszy Meltona młodego, Melton starszy oniemiał na chwilę, ale wnet zawołał:

— A więc jednak, jednak! Jesteś schwytany. I ty jesteś schwytany! Komu to zawdzięczasz?

— Temu oto! — odparł Jonatan, wskazując na mnie.

— Temu kundlowi, który nas wszystkich zgubił? Gdzie masz pieniądze?

— Ten je zagarnął!

— Już nie on! Teraz są w ręku muzyka, którego słyszałem w Albuquerque.  
— Mylisz się ojczu!  
— Nie, widziałem, jak trzymał pugilares. Przyniosła mu śpiewaczka. Liczyli pieniądze.  
— Tak jest. — wtrąciłem. — *Lady* i ten młody człowiek są, jak panu wiadomo, właściwymi spadkobiercami Huntera, dlatego wręczyłem im pugilares.

Roześmiał się szyderczo.

— Niedługo będą go mieli!

— A potem znów wróci do pana? Tak pan mniema? Już raz panu winszowałem, teraz winszuję po raz drugi. Kiedy zaś pan odzyska pieniądze, powinszuję po raz trzeci i ostatni. Na tym chwilowo przestaniemy!

Nie uszło mojej uwagi, że Jonatan i Judyta zamieniają ze sobą porozumiewawcze spojrzenia. Zdawało się, że są pojednani, dlatego rzekłem do Judyty:

— Seniora! Yuma odeszli wraz z Mogollonami. Wracają, do pueblo. Czy nie chciałaby pani pójść za ich przykładem?

Spojrzała na mnie zaintrygowana. Nie zdawała sobie sprawy z pobudek owego zapytania, rozumiała jednak, że nie nasunęła go życzliwość.

— Czy chce pan mnie uwolnić, abym mogła wrócić do pueblo?

— Może.

— A więc zmienił pan swój sąd o mnie!

— Nie jest to przecież dowód słabości charakteru.

— Mężczyzna nie powinien myśleć dziś tak, a jutro inaczej!

— Nawet jeśli się dzisiaj myli? Więcej trzeba mieć siły charakteru, aby wyznać błąd, niż aby w błędzie wytrwać. Mylnie panią potępiałem.

— Ach! Jak to?

— Uważałem panią za istotę złą, a pani jest tylko lekkomyślna.

— To nie jest komplement!

— Wcale nie chcę prawić komplementów. Nie wspólny interes sprzął panią z Meltonem lecz miłość. A zatem pani wina nie jest tak wielka, jak sądziłem i została pani już w dostatecznej mierze ukarana. Nie chcę seniory bardziej jeszcze unieszczęśliwiać, wydając ją sądowi. Jesteś wolna! Może pani pójść, dokąd ci się żywnie podoba.

Słowa te wywarły zgoła inne wrażenie, niż należałby przewidzieć. Ja wszakże tego się właśnie spodziewałem.

— Zostanę tutaj — odparła krótko i stanowczo.

— Z jakiego powodu?

— Należę do Jonatana. Tam gdzie on jest, tam i ja muszę być i pójdę za nim wszędzie.

— Istna Ruth! Niestety nazywa się pani Judyta. Dopiero wczoraj omal żeście się nie pozabijali, a dzisiaj już nie chce go pani opuścić. Ta nagła zmiana uczuć musi mieć jakiś doniosły powód. Czy mogę wiedzieć, jaki?

— Czemu pan sam nie odgadnie! Widocznie stracił pan swój osławiony dar wszechprzenikliwości.

— O, bynajmniej, nie straciłem.

— Tak? No, więc powiedz pan proszę!

Spojrzała na mnie z wyrazem takiego szyderstwa, że postanowiłem otworzyć karty.

— Kiedy się pani zdawało, że pieniądze znikły w wodzie, cała miłość do Meltona wzięła w łeb. Następnie dowiedziała się pani, że miliony są w ręku Vogla. Jonatan zaś twierdzi, że je odzyska z powrotem — i ta miłość pani odżyła z nową siłą. Miarkuje seniora, że nie będę mógł jej strzec równo surowo, jak mężczyzna; a zatem, być może, nadarzy się pani, sposobność zrzucenia więzów. Potem, uwolni pani Jonatana. Oczywiście, że to się stanie w nocy. Odbierzecie pieniądze od Vogla i oboje ulotnicie się jak kamfora. Jak pani myśli, czy dobrze odgaduję zamiary?

— O bynajmniej!

To słowo, wypowiedziane z zająknięciem, przekonało mnie, że miałem rację.

— Pięknie! — dodałem. — Powiniennem zabrać panią ze sobą, gdyż zasłużyłaś na karę. Ale musiałbym strzec panią z podwójną czujnością. Wolę więc zwrócić jej wolność!

— Nic z tego! Każ mi odejść, a ja zostanę!

— Mr Dunker!

Długi Dunker przybiegł w te pędy.

— Mr Dunker, czy chciałbyś wziąć na koń tę oto damę, jeśli nawet się będzie wzbraniała?

— Z rozkoszą! — roześmiał się. — Z rozkoszą tym większą, im bardziej się będzie, wzbraniała. Czy mam zamienić ją w spokojniutki, bierny tłumok?

— Tak. Weź pan do pomocy dwóch Nijorów. Pojedźcie do Cienistego Źródła, tam się udali Mogollonowie i Yuma. Skoro tylko na nich natraficie, wydajcie im *lady* i wróćcie czym prędzej.

— *Well*. Uwiniemy się szybko.

W tej chwili zbliżył się wódz Nijorów. Rozmawiając z nim, przyglądałem się jednocześnie rozpaczliwym wysiłkom Judyty. Dunker niewiele sobie z Żydówką robił zachodu. Związał ją i wsadził na konia z pomocą dwóch Nijorów. Po czym odjechali.

Wódz zapytał, gdzie rozbijemy obóz. Nie uważałem za stosowne zostawać tutaj, na Łysinie, gdyż nie należało ufać Mogollonom, aczkolwiek byli rozbrojeni. Gdyby na przykład wrócili w nocy, byłibyśmy narażeni, wprawdzie nie na niebezpieczeństwo, ale bądź co bądź na nieprzyjemności. Dodajmy, że Nijorowie pragnęli co rychlej wrócić do domu. Nie dziw więc, że jednomyślnie postanowiliśmy wyruszyć do ich wioski rodzinnej.

Po upływie godziny byliśmy gotowi do wymarszu. Podzielono między wojowników zdobytą na wrogach broń i konie. Jeńców przytroczono do siodła. Marta wsiadła do karety, ja powoziłem.

Pojechaliśmy, zostawiając na miejscu jednego czerwonego, aby przyprowadził Dunkera i jego obu towarzyszy, skoro wrócą.

Nie będę opisywał uciążliwej podróży. Po dwóch godzinach przybyliśmy do wielokrotnie wspomnianej Doliny Mrocznej; następnie doścignął nas Dunker i oznajmił ze śmiechem, że się szarmancko pozbył *lady*, przekazując ją kilku nader, czerwonym gentlemanom.

— W niespełną godzinę przed wieczorem powitali nas z entuzjazmem mieszkańcy wioski, uprzedzeni przez gońca o naszym przybyciu.

Przez resztę tego dnia, a także przez następne, świętowano łatwe zwycięstwo. Winnetou, Emery, Dunker i ja doznaliśmy przedniej gościnności. Oglądano nas z ciekawością i z czcią, jak gdybyśmy byli potomkami bogów. Bawiliśmy we wiosce przez pięć dni, na poły z musu, na poły dobrowolnie, albowiem byliśmy spragnieni wreszcie wypoczynku, tym bardziej, że oczekiwała nas daleka droga powrotna.

Stara kareta była tak roztrzęsiona, że musieliśmy ją zostawić. Za to Nijorowie sklecieli dla Marty lektykę z wygarbowanych skór, rzemieni i żerdzi.

W dzień przed naszym wyjazdem, oddział Nijorów urządził polowanie na antylopy. My zostaliśmy w domu. Kiedy myśliwi wrócili, powstał w wiosce straszliwy zgiełk. Siedzieliśmy podówczas w namiocie wodza. Wyjrzelśmy i... oto niespodzianka! Myśliwi zamiast antylop, przyprowadzili ze sobą dwoje jeńców, a mianowicie jednego Mogollona i Judytę.

Jak się okazało, w odległości godziny jazdy od wioski myśliwi natknęli się na Żydówkę i sześciu Mogollonów. Z czerwonych zdołali schwytać tylko jednego; pozostałych pięciu ratowało się ucieczką, ale, rzecz najbardziej zdumiewająca, wszyscy byli uzbrojeni we flinty.

Z początku badaliśmy jeńca. Milczał uporczywie, niepodobna było słówką wydobyć z niego. Następnie zwróciliśmy do zdobyczy, która nie straciła nic ze swej bezczelnej arogancji.

— Czego pani szukała w pobliżu wioski? — zapytałem.

— Niech się pan domyśli! — odparła ze śmiechem.



— Oczywiście swego Jonatanka?  
— Powiedziałałam już panu, że należę do niego!  
— Wie pani, że zrezygnowaliśmy z jej towarzystwa, ale może nie wie seniora, że jej towarzysze narażali na szwank życie, podchodząc tak blisko do Nijorów?  
— To mnie nie obchodzi.  
— Skąd wzięli broń?  
— Nie powinien pan o tym wiedzieć.  
— Czy przyszła pani mnie zmusić, abym ją ze sobą zabrał?  
— Cóż innego mogłam mieć na celu?  
— Uwolnienie Meltona.  
— Czy sądzi pan, że ważylibyśmy się wkroczyć do tak wielkiego obozu? Nie jesteśmy głupcami.

— W nocy można się było na to ważyć. Ale pani zamierzała co innego. Wyszła pani na zwiady, aby podglądać nasz wyjazd. Następnie chcieliście się udać za nami i napaść na nas. Odzyskalibyście Jonatana oraz pieniądze, a nadto Mogollonowie powetowaliby sobie klęskę.

— To dziwne, jaki z pana szczwany lis! — rzekła z wymuszonym uśmiechem, prawdopodobnie więc trafiłem w sedno.

— Smutne jest pani życie — powiedziałem — i skończy je pani tak samo.

— Cóż to pana obchodzi! Jakie jest moje życie i jak je skończę, to moja rzecz, a nie pańska.

— Skoro pani stale wchodzi nam w drogę, mamy prawo zająć się panią. Postaramy się już o to, abyś nie mogła nam zawadzać. Wódz Nijorów a nasz brat, przetrzyma panią tutaj w niewoli przez kilka tygodni. To będzie jedyny skutek pani obecnej przygody.

Znać było po niej przerażenie. Ale wnet się opanowała i rzekła zmienionym, błagalnym głosem:

— Postąpi pan wobec mnie nader niesłusznie, *sir!* Nie chciałam bynajmniej oswobodzić Meltona, a pragnęłam tylko prosić pana, abyś mnie ze sobą zabrał.

— Prosić?! I po to zabrałaś ze sobą sześciu ludzi? I do tego uzbrojonych? Niech pani kogo innego wpuszcza w maliny. Zostanie pani w niewoli przez kilka tygodni. Co potem, to pani rzecz. A teraz niech mi się pani więcej na oczy nie pokazuje!

Odeszła, ale wnet się odwróciła i zapytała:

— A więc istotnie Melton będzie ukarany?

— Tak.

— To jedź pan! Ale nie ominie cię pewna przygoda, nawet jeśli mnie przy tym nie będzie.

Ta groźba była dowodem, że gotowano na nas napad. Pięciu Mogollonów zdołało umknąć. Należało się spodziewać, że w nocy wkradną się do obozu, ciekawi losu swej przywódczyni i współplemieńca. Przeto wieczorem zaciągnęliśmy dookoła wioski łańcuch straży, schowanych w wysokiej trawie. Skutek sprawdził przewidywania. Czterech zdybaliśmy, tylko piąty zdołał zbiec.

Następnego dnia mogliśmy wyruszyć bez obawy. Odprowadzał nas przez kilka godzin oddział Nijorów, po czym byliśmy już zdani na własne siły. Konie ciągnęły lektykę Marty. Nijorowie postarali się dla nas o dobre wierzchowce, dzięki czemu pędziliśmy z ogromną szybkością. Wyminęliśmy okolicę Góry Wężowej i Flujo Blanco. Stąd skierowaliśmy się na tę samą drogę, którą przybyliśmy.

Meltona nadzieja ratunku słabła z dnia na dzień. Postaraliśmy się o to, aby nie mógł rozmawiać z ojcem, który wpadł w jakiś stan osobliwy. Mamrotał wciąż niewyraźnie, budził się w nocy z krzykiem i bredził na jawie.

Po drugiej stronie małej Colorado dotarliśmy przed Acoma do miejsca, gdzie stary Melton zamordował brata. Rozbiliśmy na noc obóz koło grobu zamordowanego. Na tym upiornym miejscu bratobójstwa leżał jeszcze szkielet konia, pożartego przez sępy.

Gdyby nas zapytano, czemu tu właśnie urządziliśmy postój, nie umielibyśmy dać zadowolającej odpowiedzi.

Jedliśmy wszyscy, prócz starego Meltona. Leżał na ziemi i stękał. Naraz, księżyc dopiero co wypłynął na niebo, poprosił:

— *Sir*, uwolnij mi ręce!

— Czemu to? — zapytałem.

— Abym mógł je złożyć. Pragnę się modlić!

Co za nieoczekiwana prośba! Czy mogłem jej odmówić? Naturalnie, że nie! Poleciałem ją spełnić Dunkerowi, który siedział najbliżej Meltona.

Dunker natychmiast wykonał rozkaz. Melton, zanim ten jeszcze uwolnił mu ręce, spytał:

— Gdzie spoczywa mój brat?

— Tuż przy panu. Pod głazami.

— Pogrzebcie mnie przy nim!

W tej samej chwili Dunker wydał okrzyk zgrozy. Ujrzeliśmy, jak schwycił Meltona za ręce.

— Co się stało? — zapytałem.

— Wyciągnął mi nóż zza pasa — odpowiedział Dunker.

— A więc odbierzcie mu żywo!

— Nie tak łatwo, mocno trzyma! Przebija się... już za późno! Podskoczyłem, odtrąciłem Dunkera, nachyliłem się nad starym.

Z ust jego wydobywało się rżenie. Trzymając nóż obiema rękami wbił go sobie w serce. Po kilku sekundach skonał.

Cóż jeszcze mogę dodać? Kto naprawdę przeżył takie chwile, nie może o nich opowiadać, ani pisać. To był sąd boży! Na tym samym miejscu ta sama śmierć! Zakłuty! Czyż sam nie zapowiadałem w chwili niepojętej grozy, że zginie jak Judasz, z własnej ręki? Jakże prędko spełniły się moje słowa!

Byliśmy tak oszołomieni, że mogliśmy tylko modlić się w milczeniu. A Jonatan, jego syn? Leżał, spoglądając na księżyc i nie wypowiedział ani słowa.

— Melton — zawołałem po pewnym czasie — czy słyszał pan co się zdarzyło?

— Tak — rzekł spokojnie.

— Ojciec pana nie żyje.

— *Well!* Zakłut się.

— Czy to pana nie boli?

— Dlaczego? Lżej mu teraz. Śmierć tutaj, na tym miejscu, była najlepszym wyjściem, inaczej dyndałby na stryczku.

— Człowieku, tak oto mówisz o własnym ojcu?

— Czy sądzi pan, że on o mnie mówiłby inaczej? Wiedziałem, że ma słusność, ale rzekłem:

— Stanowczo inaczej, zgoła inaczej!

— Nie. Zdradziłby i wydał mnie tak samo, jak każdego innego, gdyby mu to mogło przynieść jakąś korzyść. Wtrąć go pan do wspólnego dołu z bratem, którego zamordował!

Ten brak serca i to okrucieństwo podziały na mnie bardziej, niż sam czyn desperacki. Czy naprawdę mogą istnieć tacy ludzie?

Pogrzebaliśmy nieboszczyka, nie wyciągnąwszy z jego piersi noża, tam, gdzie pragnął — przy bracie. Po czym przebyliśmy znowu szmat drogi i znów rozłożyliśmy się obozem. Sądzę, że nikt, prócz Jonatana i Marphy'ego, nie zmrużył tej nocy oka.

Następnego dnia przybyliśmy do Albuquerque; tam konie wypoczęły. Zdaliśmy władzom sprawę z naszych przeżyć i przygód, i poprosiliśmy o przydanie nam dwóch policjantów do strzeżenia Meltona. Dla Marty nabyliśmy powóz. Ruszyliśmy dalej do fortu Basom, a stąd traktem Red River do Missisipi i dalej aż do Nowego Orleanu.

Jakże się zdumieli detektywi tamtejsi, gdyśmy sprowadzili złoczyńcę z najbardziej ukrytego zakątka Dzikiego Zachodu! I jakim szacunkiem otoczono nas skoro wyszły na jaw okoliczności

sprawy. Winnetou, „książę zwiadowców”, stał się bohaterem dnia, ale nie udzielał się, tak samo zresztą, jak i my. Niestety musieliśmy jednak bardzo wiele czasu tracić na składanie zeznań.

W mieście dowiedziano się gdzie mieszka Marta i jej brat. Opowiadano sobie, że jest nader piękną *lady* i wspaniałą śpiewaczką.

Odtąd przysyłano jej dziennie co najmniej pół tuzina propozycji małżeńskich. Franciszek zaś otrzymywał przerażającą ilość projektów, które miały w krótkim czasie potroić, a nawet stokroć powiększyć przypadający mu w udziale majątek.

Istotnie, majątek ten został mu przyznany. Murphy, lękając się moich pogroźek, postarał się powetować straty, które sam wyrządził. Ale nikomu nie opowiedział, że go moje łąso nauczyło godnie odpowiadać. Znacznie zaś później przeczytałem jego sprawozdanie z ówczesnych przygód, które drukowano, o ile się nie mylę w *Crescent*. Ku mojemu zdumieniu przeczytałem czarne na białym, że Murphy wszystkiego dokonał, na wszystko się ważył, wszystko osiągnął sam jeden; Winnetou zaś, Emery, Dunker i ja odgrywaliśmy nieznaczące, pomocnicze role. Tak oto można się mylić co do własnych, dobrze w pamięci przechowywanych przeżyć! Od tego czasu lękałem się cokolwiek uczynić, powiedzieć, nawet pomyśleć, jeśli w promieniu trzech, czy pięciu mil znajdował się amerykański adwokat. Moje opowieści podróżnicze zostały przedrukowane w setkach amerykańskich pism i tysiącach książek, a nikt mnie nie zapytał o pozwolenie, nikt nawet nie przysłał egzemplarza — czego zresztą żaden roztropny człowiek nie będzie żądał. Wydawcy amerykańscy zbili fortuny, jedynym zaś moim honorarium był grubiański list, który mi w odpowiedzi przysłał najbardziej oświecony z pośród tych panów. Reszta i tej fatygi sobie nie zadała. Lecz skoro na domiar jeszcze przychodzi taki Fred Murphy i, zamiast po prostu przedrukować, przypisuje sobie twoje własne czyny, wówczas, człowieku, jeśli i nie opuszcza cię dobry humor i jeśli dobrze życzysz swoim bliźnim, postanów odtąd nie wychylać się z domu, iżbyś też mógł raz przedrukować, co taki ktoś spisze zamiast ciebie, tłukąc się po szerokim świecie.

A koniec? Długi Dunker wciąż jeszcze wędruje po Dzikim Zachodzie. O Emery'm czytelnik dowie się niebawem. Krüger-bej umarł, jak o tym pisały gazety, niestety, nie w jego malowniczym stylu. Jonatan Melton, fałszywy Small Hunter, został skazany za wieloletnie więzienie, ale niebawem umarł w swej celi. O Judycie zaś i jej ojcu nigdy już nic nie słyszałem.

A rodzina Voglów?

Nie mogę odpowiedzieć na to bez głębokiego wzruszenia. Nie w wielkich światowych pismach, lecz w prowincjonalnych małych gazetach czyta się czasami ogłoszenia tej mniej więcej treści:

*Zdolne dzieci biednych, uczciwych rodziców mogą być umieszczone i wychowane bezpłatnie w pensjonatach. Bliższe informacje itd..*

Na zgłoszenie zjawia się zwykle bardzo miły i elegancki człowiek, zbadać dziecko. Jeśli odpowiada ono warunkom zostaje sprowadzone do wielkiego, sympatycznie urządzonego domu, gdzie w bramie wisi miedziany szyldzik z napisem: FRANCISZEK VOGEL. Dziecko głodnego robotnika, czy biednej wdowy, które przekracza próg tego domu, opuszcza je po latach ze łzami wdzięczności, moralnie i fizycznie przygotowane wyśmienicie do walki życiowej. A kiedy ktoś zapyta tego miłosiernego pana, czemu oddaje się wychowaniu dzieci, wówczas uśmiecha się łagodnie, czasem zaś, w chwilach wylewności, odpowiada:

— Ja sam byłem takim ubogim chłopcem. Mój ojciec nie przeczytał żadnego ogłoszenia, ale mimo to wyrwano mnie z odmętu życia!

A pewnej wiosce górskiej wznosi się wysoki, uwieńczony wieżyczkami, otoczony pięknym ogrodem budynek. Zwiedziłem go, zaproszony przez właścicielkę. Nie znałem tej budowli, ponieważ przez długi czas przebywałem na obczyźnie, nie otrzymując nawet żadnych listów.

Jakże byłem zdumiony, kiedy zobaczyłem wspaniały budynek! Nad wysoką i szeroką bramą odczytałem złote zgłoski: *Ojczyzna opuszczonych*. Zadzwoiłem. Ukazała się stara, schludnie ubrana kobieta, zapytała, czy pragnę widzieć panią Werner i poprosiła, abym wymienił nazwisko. Skoro je wymieniłem, klasnęła w ręce i zawołała:

— A więc to pan jesteś owym dobrym panem Old Shatterhandem, o którym nam tak często i wiele czytała i opowiadała pani Werner! Musi pan poznać nasze schronisko; ja sama byłam niegdyś opuszczona i samotna!

Zaprowadziła mnie do skromnie urządzonego pokoju, w którym stała również skromnie ubrana kobieta. To była ona, niedawna śpiewaczka, obecna milionerka.

— Nareszcie, nareszcie pan przybył! — rzekła, uśmiechając się i wyciągając obie ręce. — Przede wszystkim panu pragnęłam i powinnam była pokazać moje małe królestwo!

„Ojczyzna opuszczonych”! Co za piękne słowa! Kochany Czytelniku, ja i ty także będziemy kiedyś opuszczeni, wszystko, co do nas należy, zniknie przed naszym obumierającym spojrzeniem. Wtedy otworzą się dla nas bramy tamtej ojczyzny, o której mówił Zbawiciel: — *W domu mego ojca jest wiele mieszkań, a idę oto, aby je przygotować dla was!*